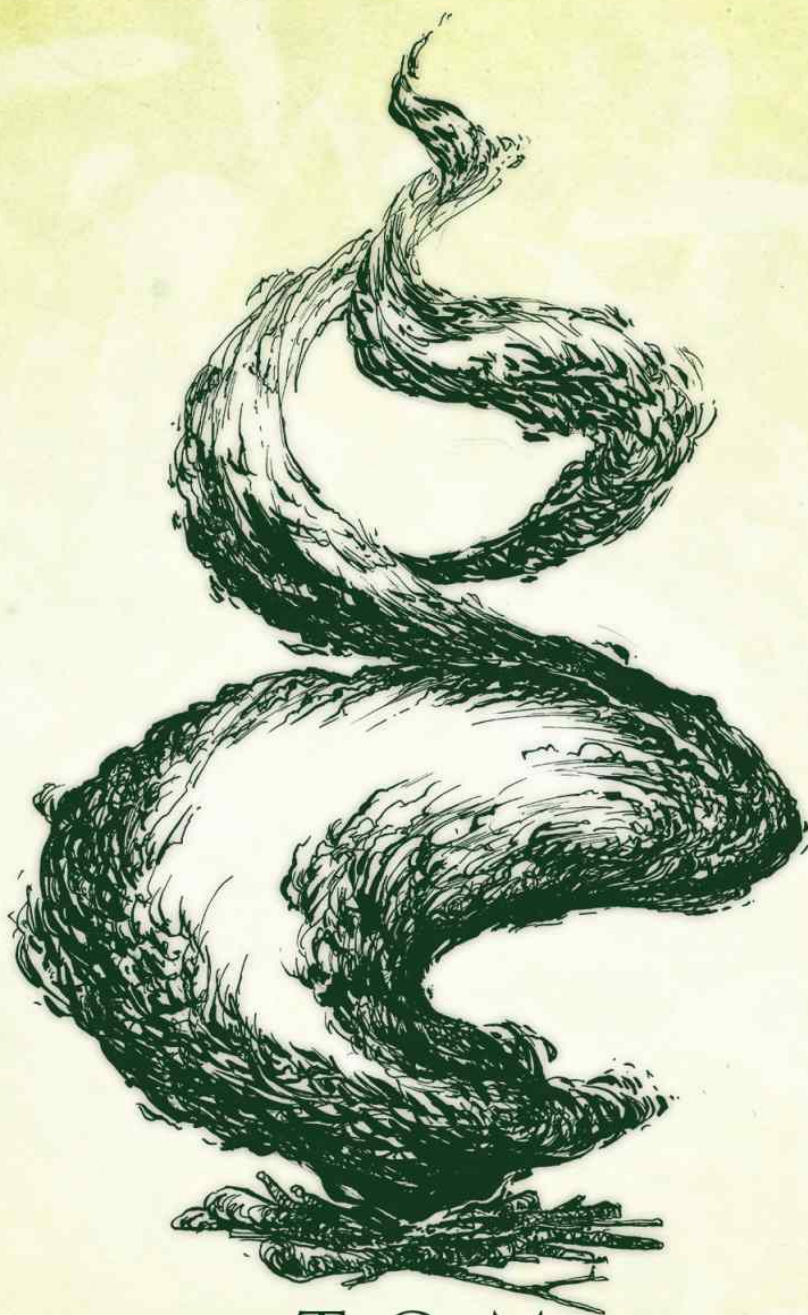


ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



T·O·M

III

DZIEJE TAGUNA

*Fala - fala - fala - fala. Fala - faala - faalaa. Cwira - cwira.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Eglka z cwrą*

*Fala - fala - fala. Fala - faala - faalaa. Cwira - cwira.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Eglka z cwrą*



waramyr

ANNA BORKOWSKA

Gar'Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·III·
DZIEJE TAGUNA

WYDAWNICTWO

ZONA ZERO

Okładka, grafika na okładce i portret Autorki

Monika Lipiec

Redakcja

Martyna Połuszną

Dyrektor projektów wydawniczych

Maciej Marchewicz

Skład i łamanie

Point Plus

ISBN

Copyright © by Anna Borkowska

© Copyright for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca

Zona Zero Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział pierwszy. Mistrz Delu Chwan

Rozdział drugi. Piętno niewoli

Rozdział trzeci. Sługa z Wyspy Szczęśliwej

Rozdział czwarty. Tajemne słowa

Rozdział piąty. W małym kraju

Rozdział szósty. Droga do Nahidene

Rozdział siódmy. Następcy, piraci i bagno

Rozdział ósmy. Powrót nieupragniony

Rozdział dziewiąty. Ślady na piasku

Rozdział dziesiąty. Duet filozoficzny

Rozdział jedenasty. Bitwa pod Sawandu

Rozdział dwunasty. Wilki na drodze

Rozdział trzynasty. Błazen

Rozdział czternasty. Słowa niezapisane

Rozdział piętnasty. Druga fala

Rozdział szesnasty. Drugie Imperium

Rozdział siedemnasty. Trzecia fala

Rozdział osiemnasty. Or

Rozdział dziewiętnasty. Dziewięć kamieni

Dramatis personae



Rozdział pierwszy

Mistrz Delu Chwan

Zaraz pierwszego dnia po wypłynięciu z Adongo Tagun wyszedł rano z namiotu (z namiotu, bo Nuno Lagmi zakupił dla niego na resztę drogi miejsce pasażera) i zobaczył na maszcie małą.

Tagun pamiętał, że Memuke wiezie jako cenny towar kilka małą, ale ta wydawała mu się inna od tamtych. Przede wszystkim była o wiele większa i futerko miała jasne, mniej więcej koloru kłoszącego się żyta: srebrnoszare ze wspomnieniem zieleni. Poza tym była jakby złożona cała z bardzo długich kończyn, z maleńkim tylko tułowiem pośrodku. Ogon też miała bardzo długi i widać mocny bardzo, bo wisiała na nim z rei głową w dół, huśtając się z lekka. Jej smutna i mądra twarzyczka, ciemnobrunatnej barwy, znajdowała się przez to tuż nad głową chłopca.

Tagun uśmiechnął się i zrobił ręką taki ruch, jakby chciał zwierzaka pogłaskać, ale mała rzuciła się lekko w bok i wyciągnięta ręka trafiła w próżnię. Trzeba się więc było zabrać do powolnego oswajania. Tagun zaczął przyjacielską gawędę:

– Dlaczego wisisz głową w dół zamiast stać na nogach? – powiedział. – W ten sposób myślę ci się rozmiary i wydaje ci się, że ja jestem kimś dużym i groźnym, kogo się można bać.

– A dlaczego ty stoisz na nogach zamiast wisieć głową na dół? – zapytała spokojnie mała.

I zanim zdumiony chłopiec zdołał pomyśleć o jakiegokolwiek odpowiedzi, ciągnęła dalej:

– Jak mógłbyś mi udowodnić, że to właśnie twoja, a nie moja postawa jest właściwa?

– Wszyscy stoją na nogach – odpowiedział Tagun.

– A gdyby ci wszyscy mówili, że w życiu nie ma na co czekać, czybyś

im przyznał rację?

– Nie – odrzekł Tagun. – Ale co ty wiesz o oczekiwaniu?

– O tym potem – zastrzegła się małpa grzecznie. – Na razie usiłuję cię tylko przekonać, że większość nie stanowi o słuszności.

– Rzeczywiście.

– A więc nadal pozostaje nierozstrzygnięte, kto z nas ma rację: ja wisząc głową na dół, czy ty stojąc głową do góry.

Tagun usiadł pod masztem i oparł brodę na dłoni.

– Ale chodzić można tylko głową do góry – rzekł wreszcie.

– Nie mówię o chodzeniu, które jest dobre dla mrówek i ich krzątaczki, ale o postawie właściwej istotom myślącym. O postawie obserwacji i refleksji.

– A długo w niej wytrzymasz? – uśmiechnął się Tagun. Małpa nagle skoczyła z reji, wywinęła kozła i spadła na pokład tuż obok chłopca. Usiadła i z gracją młodej kotki owinęła się ogonem, srebrzystym jak jej całe futerko, ale zakończonym czarno.

– Młodzieńcze – rzekła uroczyście – wprowadzasz do dyskusji teoretyczny czynnik praktyczny, co z punktu widzenia metodologii jest oczywistym błędem. Jednakże na swój sposób masz rację, bo już mi się zaczynało kręcić w głowie. Myślę więc, że z tej wstępnej utarczki słownej wychodzimy obaj zwycięsko: ty zmusiłeś mnie do zmiany postawy, ja zaś, jak mniemam, zdołałem złożyć na niwie twojego umysłu ziarno Idei Względności. Ponieważ mamy przed sobą długą podróż, może zdołam ją także wyhodować.

– Więc i ty jedziesz do Lhed? – zapytał Tagun zdziwiony, że małpa wie tak dobrze, gdzie Memuke ma zamiar ją sprzedać.

– Do Lhed i dalej. Pozwól, że ci się przedstawię! Jestem Delu Chwan, mistrz filozofii, obywatel miasta Bukry, w którym prowadzę dość znaną szkołę. Gdybyś kiedy wybrał się tam na studia, miło mi będzie cię powitać. Pytaj tylko o szkołę magistra Chwana.

Tagun powińszował sobie po cichu, że nie nazwał nowego znajomego głośno małpą, po czym odrzekł:

– Niestety nie mam prawa sam wybierać się tu czy tam. Jestem niewolnikiem i Memuke ma mnie sprzedać w Lhed. A nazywam się Tagun Imanu.

– Wiem – rzekł magister Chwan. – Twoje imię i twoja historia były przedmiotem wielu plotek i bajek w Adongo. Megnici lubią bajki, a mędrzec zawsze gotów jest ich słuchać, bo kto wie, czy która nie zawiera więcej prawdy niż prawda sama? W ten sposób i ja dowiedziałem się trochę o tobie. Sądzę jednak, że każdy ma prawo spodziewać się odmiany losy na lepsze, nieprawdaz?

Tagun pomyślał, że on sam zrobił ostatnio wszystko, żeby się móc spodziewać odmiany właśnie na gorsze, ale o tym nie zamierzał gadać z Obcym. Więc zamiast tego zapytał:

– A do jakiego ludu należysz, mistrzu Chwanie?

– Galgal-pa’asz – odrzekł uczony. – Tak zwie się mój lud, a kraj zwie się Galgal-Mubara: leży on na lądzie Temi na zachód i południe od siedzib ludu Tmutów. Słyszałeś już kiedy o nas?

– Słyszałem – odpowiedział Tagun powoli. Pamiętał dobrze, co słyszał i skąd wziął przekonanie, że przez siedziby tego właśnie ludu została dlań wytyczona droga ku Oczekiwanemu. W pierwszej chwili uznał, że i ten temat należy ominąć jak najdalszym łukiem; zaraz potem jednak zapytał wprost:

– Powiedz mi, mistrzu, czy to prawda, że wy oddajecie cześć Aldhiru?

– Widzę – odrzekł magister – że muszę przystąpić bez dalszej zwłoki do tego, co przed chwilą nazwałem obrazowo wyhodowaniem rośliny z ziarna. Zważ więc, Tagunie Imanu, że każda rzecz jest względna: wygląda tak lub inaczej, zależnie od tego, z której strony stoisz i patrzysz. Ty na przykład siedzisz w tej chwili na wschód ode mnie, ale zrób no tylko dwa kroki i stań tutaj, a już cię będę musiał określić jako coś położonego na zachodzie. Inny przykład: wiem dobrze, że w pierwszej chwili wzięłeś mnie za małpę i dlatego chciałeś mnie pogłaskać. Może wielu uważałoby to za obelgę; mędrzec jednak, obeznany z ideą Względności, umie przytoczyć siedem i pół przyczyny, żeby to właśnie uznać za komplement. Dzięki temu możemy teraz spokojnie rozmawiać ze sobą. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– A więc słuchaj. Siedziby ludów, które znałeś dotąd, jak wy Megnici, jak Wehowie i różni inni jeszcze, znajdują się na północnych połaciach świata. Tam wiatr północny niesie śmierć, bo niesie mróz; południowy zaś niesie odwilż i ciepło, a więc życie. Nic dziwnego, że te ludy utożsały swoje życiodajne bóstwo z Południem, zaś przeciwne mu śmiercionośne siły (bo dualizm zawsze nęci) z Północą. My jednak, Galgal-pa’asz (co, mówiąc nawiasem, oznacza w naszym języku Lud Równikowy) żyjemy w kraju, w którym właśnie chłód zwilża i ożywia, gorąco zaś przynosi suszę i zagładę. Nic dziwnego, że ci z nas, którzy jeszcze potrzebują pociechy mitologii, wielbią Aldhiru, nie Alhoru. Rozumiesz?

– Nie rozumiem – powiedział Tagun zgnębiony. Nie mógł dodać, że on, który raz już spotkał i Alhoru, i Aldhiru, nie potrafi w żaden sposób uwierzyć, by ci dwaj działali na zmianę, w zależności od miejsca na ziemi.

– Więc powiem ci więcej. Siedziby Ludu Równikowego, a jest to lud bardzo liczny i kraj duży, rozciągają się od granicy Ut-mutu aż po pustynię, przez którą przebiega równik. Wiatr południowy dociera do nas przez pustynię i jest tym bardziej zabójczy. Ale zaraz za pustynią na południu, już poniżej równika, mieszka pokrewny nam Rakhe-pa’asz, Lud Południowy, dla którego z północy, bo z pustyni, wieje śmiertelny

huragan gorący, a z południa, bo od morza i od bieguna, nadchodzi ożywczy chłód. Toteż Rakhe-pa'asz kłaniają się Południu równie gorliwie jak Megnici, chociaż z całkiem innej przyczyny. Jest to zresztą lud mały i bez znaczenia, siedzący na skalistym południowym wybrzeżu Temi, nad cieśniną Kaar. A teraz słuchaj dalej: za tą cieśniną znajduje się ogromna wyspa zwana Karimba. Ludy tam mieszkające nie utrzymują żadnych kontaktów z półkulą północną i nie są na niej znane; my jednak wiemy o nich, że będąc narażone na mrozy i śniegi nadchodzące od bieguna południowego, modlą się bezustannie o ożywcze ciepło równikowe, które na ich siedziby nadchodzi z północy. Masz więc w sumie na świecie jakby cztery warstwy w przekładanym cieście: czcicieli Południa i czcicieli Północy. Jaki z tego wniosek?

– Że nie wiedzą sami, komu się kłaniają – odpowiedział Tagun. Delu Chwan przyłożył obie ręce do czoła i skłonił głowę.

– Młodzieńcze – rzekł z namaszczeniem – podziwiam bystrość twojego umysłu. Dałeś oto odpowiedź, która jest do przyjęcia dla nas obu, aczkolwiek jestem pewien, że sens, jaki pod nią obaj podkładamy, jest diametralnie różny. Sprawa jest tak ciekawa, oczywiście głównie metodologicznie, że z największą przyjemnością wznowię z tobą tę dyskusję wieczorem. Zaliczam cię oto tymczasowo do grona moich słuchaczy. A więc student Imanu spotka się ze mną ponownie dzisiaj na godzinę przed zachodem słońca, a czas dzielący nas od tego spotkania zużyje na przygotowanie się do diatryby. Żegnam uprzejmie!

I filozof przymknął oczy i owinał się ciasniej ogonem, dając tym samym znak, że wykład uważa za skończony. Tagun odszedł na palcach aż na dziób łodzi, w to samo miejsce, gdzie niegdyś po raz pierwszy rozmawiał z nim Nuno Lagmi. Pod wpływem tego wspomnienia pomyślał, że oto ma już w ciągu niecałego roku czwartego nauczyciela – piątego nawet, jeśli liczyć od Dejna Imanu. Ale Dejna i Nuna kochał i szanował, panów Geb i Kri lubił szczerze – a tym razem czuł tylko strach rosnący, strach taki, że gdyby mógł, toby uciekł od uprzejmego mistrza Chwana na odległość dzielącą wschód słońca od zachodu. Spojrzał w stronę masztu. Uczony siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami, oparty wygodnie, jakby spał; ale Tagun był pewien, że on nie śpi wcale, a tylko przewiduje pytania i obmyśla z góry odpowiedzi. Na pokładzie panował już zwykły poranny ruch; niedaleko dziobu dymiło palenisko kuchni. Tagun wstał i podszedł do kucharza.

– Witaj, Geha-geha – powiedział. – Masz pewnie dla mnie dużo roboty?

– Witaj, mały – uśmiechnął się kucharz. – Nie, nie mogę cię zatrudnić. Jedziesz na prawach pasażera.

– Ale ja chciałbym coś robić.

– Pogadaj z szyprem. Mnie nie wolno.

Tagun spojrział ku rufie, gdzie Memuke stał właśnie przy sterze.

Memuke był teraz dla niego bardzo uprzejmy, ale i bardzo daleki. Powie pewnie, że umowa z Wielkim Bardem to rzecz święta i że Tagun powinien korzystać z tego czasu względnej swobody, bo nie wiadomo, co z nim zrobią w Lhed. I tak dalej... I tak czy siak nie będzie dokąd uciec przed uprzejmością mistrza Chwana.

A przecież on nie chciał uciekać! Dobrowolnie i umyślnie wyruszył w stronę kraju i ludu wroga – a teraz po jednej rozmowie z pierwszym spotkanym członkiem tego ludu już żałuje, że nie może zawrócić z drogi. Czego się spodziewał wtedy, w Larri, gdy podejmował decyzję? Trudów, prześladowania, nawet tortur? To wszystko, chociaż straszne, działałoby się na zewnątrz i można by zacisnąć zęby i wycofać się za swój wewnętrzny szaniec. Jeżeli jednak lud Aldhiru cały podobny jest do Delu Chwana, to sługę Alhoru, który by się tam udał, czeka atak na ten wewnętrzny szaniec właśnie; gorzej, czekają tysiące dowodów, z miłym uśmiechem podawanych, że ten szaniec nie istnieje wcale.

Gdybyż jakiś znak, jakieś umocnienie. Ale żagle napełnia ostra bryza wschodnia, obojętna i rzeczowa jak koń pociągowy. Nie ma znaku. Może nie jest potrzebny?

„On w twoje ręce pójdzie sam, dlatego że tamtędy droga w moje”. Więc gdyby teraz uciekł przed atakiem, toby już może nigdy na szerokim świecie nie trafił na Oczekiwanego.

Aldhiru musiał o tym także wiedzieć, bo odpowiedział wtedy głosem śnieżnej śmierci, że do takiej drogi nie dopuści. Potem jednak ustąpił ze wstydem, gdy echa świętej góry przypomniały mu jakieś Tajemne Słowa. W tych to słowach leży widać teraz cała nadzieja. One to w jakiś sposób umożliwiają spotkanie.

Tak, ale jakże można rzec w dyskusji z mistrzem Chwanem, że się za ostateczny dowód swojej racji ma słowa, których się nie zna? I nawet nie wiadomo, kto je wypowiedział?

Trzeba więc przyjąć z góry, że się nie wyjdzie zwycięzcą z rozmowy, że przeciwnik nie zostanie pokonany, a już zwłaszcza – przekonany o swojej klęsce. Trzeba przyjąć całe ponizienie należne głupszemu, mniej wprawnemu w słowną zonglerkę, mniej obeznanemu z chytrymi chwytami dowodów. A jednocześnie trzeba wytrwać stojąc, nawet jeżeli się w dyskusji padnie. I z taką gotowością trzeba iść do mistrza Chwana.

I Tagun wieczorem poszedł.

Potem przez całą noc lizał rany jak zbity psiak. Miał wkrótce niemal zatracić świadomość różnicy między dniem i nocą: jedno i drugie było czasem następującym bezpośrednio po kolejnej rozmowie z uczonym, czasem, w którym rosła udręka przeplatała się z chwilami niespokojnej drzemki sprowadzanej przez coraz większe zmęczenie. Już podczas drugiej rozmowy Delu Chwan postawił jasno swoją tezę, że zarówno Alhoru jak Aldhiru są tylko wytworami wyobraźni,

wspieranymi i utrzymywanymi przez serie przypadków, a ozdabianymi tym wszystkim, co istoty myślące potrafią wysnuć z własnego serca i wpisać w przyrodę. Potem jakoś tak się działo, że dosłownie wszystko: drobne zdarzenia dookoła i cała historia świata, zwyczaje ryb i budowa łańcuchów górskich, wszystko okazywało się tej jego tezy potwierdzeniem. Tagun zaś na jej obalenie nie miał nic oprócz własnej nieprzekazywalnej nadziei.

W dodatku Delu Chwan zorientował się dość szybko, że chłopiec ma na swój użytek jakąś wewnętrzną tarczę, za którą chowa się z takim przynajmniej skutkiem, że chociaż pod koniec każdej rozmowy jest już niemalże pokonany, to jednak na następną przychodzi znowu z wolą walki. Badając powoli sprawę za pomocą przemyślnych, okrężnych zachodów (nie były to pytania, ale świadomie błędne stwierdzenia i Tagun dawał się wciągać w ich prostowanie) zmiarkował uczony wkrótce, że tą tarczą jest nie tyle tradycja Wyspy, ile właśnie jakieś tajemnicze przeżycie. Poświęcił więc cały tydzień na to, aby – w pozornym oderwaniu od tematu – podważyć stopniowo zaufanie chłopca do każdego świadectwa istot myślących o tym, co widziały i słyszały. Tagun powitał tę zmianę przedmiotu wykładów z wielką ulgą i jakby nieco odtajał: szedł łatwo i prawie bez oporu za myślą filozofa. I dopiero kiedy już był gotów śmiać się na samym początku każdego zdania w rodzaju: „Memuke syn Keoheki powiada, że widział...” – nagle któregoś wieczoru Delu Chwan, tym samym niby-poważnym tonem, który tak bawił chłopca, rzucił znienacka:

– A Tagun Imanu powiada, że widział Ora...

I wtedy świat pękł i zawalił się w gruzy, a na tych gruzach siedzieli we dwóch z tą uśmiechniętą uprzejmie szarą małpką, która mówiła coś dalej, ale co? Nie sposób było już nawet zrozumieć. Tagun patrzył przez chwilę na poruszające się wargi uczonego, ale nie wiedział, ani kto jest i czego chce, ani co on sam robi tu obok. Wstał i bez żadnego wyjaśnienia czy pożegnania odszedł znów na dziób łodzi. Delu Chwan patrzył za nim z uśmiechem zwycięzcy. Czuł, że trafnie odgadł tajemnicę chłopca i że wykorzystał ją po mistrzowsku. Teraz Tagun nie pokaże się u niego przez kilka dni, ale nie trzeba go zmuszać; owszem, zostawić w spokoju, a wkrótce przyjdzie sam, jak tylu innych przed nim. Najpierw może ze skargą, a potem, kiedy już się przyzwyczai i pogodzi z losem, to i po dalszą naukę.

Jednego tylko nie wziął pod uwagę: wieku Taguna. Ktoś dorosły zapewne by się i zachował na jego miejscu według przewidywań mistrza; ale ten dzieciak był już po prostu zmęczony, tak zmęczony, że cios decydujący nie mógł głęboko przenikać. Tagun, zawlókłszy się na dziób łodzi, natychmiast tam zasnął. W godzinę później znalazł go Memuke i zaniósł do namiotu. Dobrze i przezornie zrobił, bo przed świtem zerwał się nagle wiatr północny i powtórzyły się oczywiście łowy

na delfina; Tagun nic o tym nie wiedział, spał twardo jeszcze przez cały dzień następny i obudził się dopiero pod wieczór. Wyszedł z namiotu, zjadł podwójną kolację i dopiero wtedy pomaszerował znowu na dziób łodzi, żeby się zastanowić, co go właściwie tak dręczy.

Śmiech Delu Chwana, jego pogarda dla prostackich złudzeń? Wypoczętej głowie nie wydawało się to już ani straszne, ani rozstrzygające, ani nieodparte. Przecież wiadome było od początku, że mistrz należy do ludu Aldhiru. Nie mógł więc rozumieć Oczekiwania, więcej: musiał je zwalczać, musiał z niego drwić... ale to wcale nie znaczyło, że miał rację. Mógł mieć po prostu takie polecenie od samego Wroga. Na zawsze albo przynajmniej na czas tej właśnie podróży.

Tagun otrząsnął się więc jak opryskany błotem i zdecydował, że tym samym strząsa z siebie wszystkie nauki Delu Chwana. Nie mógł wprowadzić o nich zapomnieć, jak nie mógłby zapomnieć bólu i przestachu, gdyby go wąż ukąsił. Ale czuł, że świat wokół niego wygląda równie sensownie jak dawniej, a przerażenie było złudą. Niemniej na samo wspomnienie tej złudy czuł dreszcze. Pomyślał też, że może było błędem z jego strony zgodzić się na rolę ucznia, skoro rozumiał przecież od początku, że to będzie walka, nie nauka. Był w tym fałsz, który na pewno nie ułatwiał obrony.

Toteż od następnego dnia Tagun ograniczył swoje kontakty z Delu Chwanem do wymiany uprzejmości przy spotkaniu. Memuke (ku miłemu zdziwieniu chłopca, który przespał smacznie wczorajsze uderzenie północnego wiatru) zrobił się właśnie jakiś dostępniejszy i mniej pewny siebie; chociaż nie było na pokładzie żadnego barda, stary Fingaj coraz wyraźniej już uważał obecność chłopca za równoważną. Dał się więc w końcu uprosić, by Tagun mógł przez resztę drogi pomagać nieco żeglarzom. A Tagun potrzebował właśnie zdrowego ruchu; po paru dniach tego lekarstwa powiedział sobie, że im wyżej wyleźć na maszt, tym dalej zostawia się za sobą pułapki wszelkich Delu Chwanów. Z dnia na dzień czuł się coraz lepiej i weselej.

A Delu Chwan był z dnia na dzień coraz bardziej niespokojny o skutek swoich zabiegów. Ten student zachowywał się zupełnie nietypowo... Po dłuższych rozważaniach uczony uznał wreszcie, że sytuacja wymaga, aby i on odstąpił od zwykłej taktyki. Może zresztą po prostu ciekawość zwyciężyła w nim w końcu względy taktyczne? W każdym razie wykorzystał chwilę, w której Tagun znajdował się blisko, bo tuż nad jego głową, na najniższej rei, gdzie właśnie sprawdzał węzły – i nawiązując do ich pierwszego spotkania spytał uprzejmie:

– Czemu to łazisz po drzewach, zamiast chodzić zwyczajnie po ziemi?

Tagun sprężył się: wyczuł ostatnią, decydującą walkę.

– Mistrz Chwan pouczył mnie, że miejsce jest rzecznią względną – odpowiedział.

– Niewątpliwie... – Uczony najwyraźniej wcale nie był zadowolony

z tego cytatu. – A czy można już wiedzieć, co też nowego widział student Imanu?

– Sen widziałem – odparł chłopiec bez zastanowienia. I natychmiast uznał, że to dobry pomysł, bo trudno przecież przykładać do snów te same miary, co do mów na jawie, toteż cała miażdżąca logika mistrza Chwana jest wobec nich bezradna. A że chciał jakoś dać do zrozumienia uczonemu, za czyjego służbę go uważa, ciągnął dalej, rozbudowując na poczekaniu swą opowieść:

– Śniło mi się, że były wielkie czarne chmury, a pod nimi jakby pole białe. Potem widziałem, że to pole się rusza, i to było morze, ale pod warstwą śniegu...

– Śnieg nie leży na morzu – przerwał uczony. – Albo się w nim topi, albo mróz skuwa fale, tak że się już nie ruszają.

– Ale we śnie się ruszały. I statek też był cały biały od śniegu i bardzo od niego był gorący...

– Dziwny śnieg!

– Przecież to było we śnie. Może pamiętałem twoje nauki o tym, że zimny czy gorący wiatr to jedno? Dalej widziałem, że na tym statku było zupełnie pusto i tylko ty jeden, mistrzu Chwanie, stałeś tu właśnie, gdzie stoisz teraz, i mówiłeś do kogoś, kto stał obok ciebie...

– Kto taki? – zapytał uczony niespodziewanie ostro.

– Ktoś w długim płaszczu, całkiem takim jak te chmury i ten śnieg. Słyszałem, jak ty mówisz: „Kiszba, kiszba...”. Czy jest takie słowo w twojej rodzinnej mowie, mistrzu Chwanie? Nie znam zupełnie tej mowy.

– Nie ma – odrzekł uczony. – No, nie bawmy się opowiadaniem snów!

– Kiedy to był taki ciekawy sen! Potem ten ktoś zaczął tobie wydawać rozkazy i powiedział...

Jednym susem małego ciała mistrz Chwan znalazł się nagle przy Tagunie. Jego palce, wczepione w olinowanie, zacisnęły się tak mocno, że krew poszła z nadszarpniętych paznokci; jego twarz przybrała barwę fioletowo-błądą. Zdumiony chłopiec nie miał dokąd się cofnąć, zresztą całą siłą woli pragnął nie stchórzyć, nie uciec, wytrzymać ten atak nagłej nienawiści, nieporównywalnej z niczym, czego dotąd doświadczył od jakichkolwiek abalahinda. Ich twarze były teraz tuż przy sobie. Delu Chwan bełkotał:

– Wiesz tyle... wiesz tyle... a czy wiesz, coś stracił? Szцениaku niegodny uwagi mędrca, gdzie twój skarb? Gdzie twoje Oczekiwanie?

Nagle rozprężył się i jakby fala przeszła po jego ciele: zjeżone futerko ułożyło się znowu gładko na bokach, twarz wróciła do zwykłego wyrazu i barwy. Powoli i godnie mistrz Delu Chwan zlął z masztu, po czym skłonił się Tagunowi.

– Uniżony sługa – rzekł. – Gdybyś potrzebował dalszej nauki, wiesz, gdzie mnie szukać..., a nie wątpię, że ci się wraził w pamięć raz na

zawsze. Pytaj o szkołę mistrza Chwana!

I odszedł. A Tagun dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że przez cały czas podróży, od pierwszej dyskusji aż dotąd ani razu nie zajął się Oczekiwaniem, tak jak się nim zajmował przedtem przez całe życie. Był ciągle tak zaprzątnięty: najpierw długą porażką, potem nagłym odzyskaniem gruntu pod nogami... Stracił miesiąc czasu: o ten miesiąc opóźni się spotkanie z Oczekiwaniem...

Jeśli jednak Delu Chwan liczył na to, że (jak z innymi bywało) wstyd i zmieszanie utrudnią chłopcu powrót do tego, co kochał, to się raz jeszcze przeliczył. Tagun, siedząc na maszcie, płakał z żalu, ale jego tęsknota tylko się przez to wzmogła. Niemniej przez resztę drogi dręczyła go obawa, o której tamten wiedzieć nie mógł, nie znając jego zamiarów. Oto na co naraża się przez to, że dąży do Galgal-Mubara! Oto co tam potrafią zrobić z takim jak on dzieciakiem! Tym razem jeszcze mu się upiekło: Delu Chwan był jeden i był z nim przez krótki czas. Ale iść tam, gdzie mieszka cały lud takich Delu Chwanów? I nie wiadomo, na jak długo?

A jednak nie miał innej drogi i nie chciał mieć.

Zbliżali się do Lhed.



Rozdział drugi

Piętno niewoli

Panowie Geb i Kri jeszcze w Adongo przesiedli się na statek należący do ich własnej firmy i Tagun podczas dalszej podróży nieco już zapomniał wyglądu i zwyczajów Tmutów. Przeżył więc wszystko na nowo, kiedy wpłynęli do Sierpowej Zatoki. Nawet ziemia była tam różna od krain, które dotychczas oglądał. Nie było płaskiego brzegu, nadmorskiej równiny: prosto z wody sterczało niewiarygodnie wysokie, postrzępione urwisko, ukoronowane tu i ówdzie grzebieniastymi formacjami zielonawej skały. Wzdłuż tego urwiska płynęli przez czas jakiś, aż nagle otwarł się przed nimi wąski korytarz, w który Memuke wprowadził swój statek, trzymając się starannie linii kolorowych pływaków z korka widocznych na wodzie. I znowu dobre pół mili płynęli między dwiema skalnymi ścianami, tak wysokimi, że słońce tylko w południe dotykało tam wody; potem nagle zatoka ostro skręciła w lewo i natychmiast rozszerzyła się amfiteatralnie, tworząc ogromną nieckę o szerokich, łagodnych zboczach, zabudowanych wszędzie jak okiem sięgnąć kopulastą architekturą Tmutów. Tagun zauważył od razu, że na lewo od portu, pomiędzy końcem zatoki a morzem, znajduje się dzielnica reprezentacyjna, coś jak Szengo tin-Zená w Adongo: kopuły domów były tam wyższe i czasami barwne, rozstawione luźno w zieleni ogrodów. Szerokie ulice, poprzerzucane jak mosty w powietrzu ponad ogrodami, dążyły coraz to malejącymi zakolami (żadna prosto) ku widniejącej u szczytu ogromnej tęczowej kopule, którą Memuke wskazał chłopcu jako pałac królewski. Na prawo natomiast, w głąb lądu, gdzie zbocze było najbardziej połogie, leżały dzielnice biedniejsze: mury miały tu tylko naturalną barwę szarego kamienia, a miejscami, tam widać, gdzie skupiała się najuboższa ludność, całe połacie dachów były płaskie.

Ulice też były tam wszystkie po prostu przerwami w zabudowie, a nie wyrzuconymi ponad tę zabudowę pochylniami. Tagun, mając już za sobą długą podróż, rozpoznał także łatwo w samym centrum miasta dzielnice cudzoziemskie; zwłaszcza fingajska rozciągała się szeroko i przypominała, jak wszędzie, popularną wśród dzieci całego świata zabawę w „Znajdź wyjście z tego labiryntu”.

Gdyby Tagun dopłynął do Lhed prosto z Wyspy, nie zawijając po drodze do tyłu portów różnych ludów, a zwłaszcza nie zimując w Adongo, byłby tak oszołomiony nowością tego świata, że z nadmiaru wrażenia nic by właściwie nie widział. Teraz jednak mógł już patrzeć na wszystko z podziwem i ciekawością, ale bez strachu, jak się patrzy na nowy wzór ułożony ze znanych od dawna kamyków. Nawet o swój los pośród Tmutów był w pewnym sensie spokojny: co to znaczy być niewolnikiem, wiedział, bo niewolników spotykał wielu w Megni, więc w każdym razie nie czuł już dawnego lęku przed czymś niewyobrażalnym i niepojętym. Poza tym wiedział także, że jeśli gdzieś, to dopiero dalej, za krajem Tmutów, leży prawdziwe niebezpieczeństwo; nie wiedział tylko, jak on, niewolnik, zdoła się tam kiedykolwiek wybrać. Ale to mógł na razie zostawić przyszłości.

U wejścia do portu wzięli pilota Tmuta i pogrążyli się pod jego kierunkiem w ten ogromny labirynt wodny, jakim była handlowa przystań w Lhed. Ruch też tam panował taki, że wrzask był pod niebiosami. Pasażerowie Memukego (kilku Megnitów i Delu Chwan) stali już na pokładzie, gotowi do zejścia. Tagun umieścił się na swoim ulubionym miejscu na maszcie, skąd mógł widzieć i słyszeć wszystko, ale nie musiał brać udziału w żadnej rozmowie. Trzeba było dość długo czekać na celników; Memuke przez ten czas targował się zajadle z którymś pasażerem o zapłatę, w co zresztą wkrótce wdali się i wszyscy inni. Wreszcie Tagun zobaczył, jak po przerzuconym z nadbrzeża wąskim trapie sunie coś jakby oddział ogromnych chrabąszczy: nawet barwy podtrzymywały to wrażenie, bo służba celna w porcie nosiła kasztanowo-czarne mundury. W chwilę później te same lśniące kule rozsypały się po pokładzie; obok stojącego pod masztem Memukego zatrzymał się dziesiętnik celników.

– Kto, skąd, czyj statek – powiedział po fingajsku, znudzonym głosem, któremu nawet nie potrudził się nadać pytającego tonu.

– Memuke syn Keoheki, kupiec, rodem z Bamabeha, poddany Wielkiej Rady Fehine. Statek jest mój.

– Pasażerowie?

– Pięciu. Żadnego barda obecnie, ale wiozłem już dwóch Wielkich Bardów.

– Mój stryjeczny dziadek też wozził, ale mnie z tego powodu nie zwalniają z opłat. Towar?

– Skóry jaszczurcze, szkło megnijskie, pięć małp, jeden niewolnik.

– Gdzie ten niewolnik?

Memuke zadarł głowę.

– Chodź no tu, mały! – zawołał. Tagun zsunął się z masztu i stanął przed dziesiętnikiem. Znał już na tyle fizjonomię Tmutów, by zauważyć, że dziesiętnik spojrzał na niego tak, jak patrzy fachowiec na towar: była to po prostu szybka, pobieżna lustracja zalet i wad przedmiotu. I niewątpliwie chłopiec, ubrany tylko w żeglarskie spodnie, ogorzały i zdrowy, przedstawiał się jako towar zupełnie dobrze.

– Piętno niewypalone.

Tagun spojrzał na Memukego zdziwiony, nie rozumiejąc, o co chodzi. Kupiec zaś miał jakąś dziwną minę.

– Czcigodny – rzekł – chłopiec jest jeszcze za mały.

– Przepisy nie mówią o wieku. Towar musi być znaczony, inaczej na ląd nie przejdzie.

– Czcigodny...

– Mały, szkło, skóry... znaczony?

– Tak jest, czcigodny.

– Niewolnika oznaczysz także albo zabierzesz z powrotem. Dość jest w porcie zbiegłych włóczęgów, za których nikt nie odpowiada. Płacisz trzy sztuki złota. Tu masz znak.

Memuke wziął z rąk dziesiętnika cynową gwiazdę o nierówno poprzycinanych promieniach. Obejrzał ją i skrzywił się: zezwalała na handel przywiezionym towarem, ale z zastrzeżeniem „po dopełnieniu warunków”. Delu Chwan, wchodzący właśnie na trap, obejrzał się i przesłał Tagunowi czarujący uśmiech. Celnicy, którzy tymczasem zdążyli obieć statek, powrócili z raportem do dziesiętnika. Ten raz jeszcze powtórzył swoje zarządzenie i potoczył się ku zejściu: za łodzią Memukego wyrósł już długi sznur innych łodzi, czekających na swoją kolej.

– Tak – powiedział Memuke. – No tak.

Po czym nagle zaczął kłać cicho i z taką pasją, jakiej Tagun jeszcze u niego nie widział. Geha-geha, który przez cały czas stał blisko, podszedł do swego dowódcy.

– Mówiłem ci, Memuke-gwe – powiedział smutno.

– A ja tego nie zrobię, rozumiesz? – wrzasnął kupiec.

– To zawracaj i płyniemy na Megni. Tylko co powiesz Wielkiej Radzie?

– Precz! – krzyknął Memuke i zamierzył się na kucharza końcem listy zwisającej z rei. Potem ramiona mu obwisły i cały jakoś jakby zmałał. Zwrócił się do Taguna:

– Mały...

– Słucham, ogai.

– Chodź ze mną... do ładowni. Chodź.

Poszli. W ładowni było zaledwie tyle miejsca, żeby mogli usiąść obok

siebie na opakowanych w smołowane płótno wiązkach skór. Tuż obok w zamocowanej klatce siedziały małpki; Memuke wsunął wąską dłoń pomiędzy pręty i chwycił jedną z nich.

– Patrz, mały – rzekł – tu na łebku wypaliłem znaki. Nie ja właściwie, tylko Geha-geha, bo to jego robota, ale na jedno wychodzi. Mój znak kupiecki. To jest odwieczny zwyczaj wszystkich ludów na Temi: towar znaczy każdy jego kolejny sprzedawca. W ten sposób walczy się tutaj z przemytem. U Tmutów dawniej to nie obejmowało niewolników, ale obecny król rozciągnął to i na nich. Zaraza by wygniotła...

Tagun patrzył na małpkę. Znak był nieduży, ale wyraźny; już wygojony, ale widać było, że ogień wszedł głęboko i blizna po nim nie zatrze się nigdy.

– To ją musiało bardzo boleć – powiedział chłopiec oburzony. A wtedy nagle zrozumiał. I jakby Memuke nie był Obcym, jakby był kimś najbliższym, jedynym obrońcą, Tagun wtulił się w przerażeniu w płaszcz żeglarza.

– Tak – powiedział Memuke znowu. – Właśnie.

Dotknął ramienia chłopca jakby nieśmiało; cofnął rękę, zamruczał coś całkiem niezrozumiałego, po czym rzekł już spokojnie:

– Słuchaj, mały. Długo żyję i różne rzeczy z konieczności już robiłem, ale katem dzieci nie byłem i nie będę. Myślałem, że się tego jakoś da uniknąć, i dałoby się, gdybyśmy trafili na znajomego dziesiętnika... Ale zaraza musiała przynieść tego właśnie, a to najgorszy pies w całym porcie: kiedy raz coś zarządził, to i przypilnuje wykonania. Geha-geha tam już pewnie wsadził do ognia żelazo, ale ja ci powiadam: nie ma zgody! Bieda w tym, że ciebie tu przysłał twój władca, a mnie mój kazał transakcji dopełnić; więc gdybyśmy teraz stąd uciekli, to jedynym schronieniem na resztę życia dla nas obu byłoby tylko święte Larri. A coś mi się obojętne o uszy, że ty sam wolałeś stamtąd zniknąć... Co? Jak to właściwie jest?

– Nahidene – wykrztusił Tagun za całą odpowiedź; i jakby to słowo nagle przywróciło mu siły, wyprostował się i wypuścił z rąk płaszcz Memukego. Kupiec jednak nie zrozumiał go, bo pokręcił głową i rzekł:

– Tam, synku, płynąć nie ma po co. Nic oprócz wody nie znajdziesz. Tylko na Megni możemy uciekać... chyba, żeś tam coś przeszkrobał!

Tagun zamyślił się. Jeszcze niedawno zgodził się przecież z góry na wszelkie męki. Potem przeżycia związane z „nauką” u Delu Chwana utwierdziły go w przekonaniu, że od bólu ciała znacznie groźniejsze są cierpienia myśli. Więc czymże jest ten ogień, którego kropla czeka go teraz? „Tamtędy droga w moje ręce”...

– Nie przeszkrobałem nic na Megni – powiedział. – Ale nie mogę tam wracać, bo moja droga do Nahidene tu leży, a nie tam. Więc jeśli tylko w ten sposób możesz mnie tutaj zostawić, to nie ma rady: niech Geha-geha przygotuje... swoje żelazo...

Jednak głos mu zadrżał. Memuke wstał.

– Wolnego – powiedział ze złością. – Jeszcze spróbuję pochodzić po znajomych. Może uda się nałgać coś albo kogoś przekupić. Znam ich tu dobrze!

I wyskoczył na pokład. Tagun pomyślał, że bardzo się dotąd mylił w ocenie poszczególnych Fingajów. Oto wbrew wszelkim jego spodziewaniom Memuke przez cały czas tej rozmowy nie wspomniał ani słowem o swoich interesach, jakby nagle przestały dla niego istnieć, i najwyraźniej był gotów z litości poświęcić całą dalszą kupiecką karierę. Tymczasem Geha-geha... cóż, głupawa poczciwość kucharza miała w sobie widać tyleż okrucieństwa, co i dobroci.

Memuke wrócił pod wieczór, zawiedziony i wściekły. Kazał żeglarzom natychmiast szykować statek do drogi, zaciągnął znowu Taguna do ładowni i tam wybuchnął potokiem złorzeczeń skierowanych ku zdziwieniu chłopca głównie na głowę Delu Chwana. Okazało się, że bukrański filozof zaraz po zejściu ze statku złożył wizytę naczelnikowi portu i oskarżył Memukego o przemyt. Toteż kupiec, mimo kołatania po kolei do wszystkich znajomych urzędników, nie tylko nie zdołał zapewnić sobie nadziei na jakiegokolwiek pobłażanie, ale przeciwnie, dowiedział się jeszcze, że jego zabiegi zwiększają podejrzenia i że jutro rano zjawi się na jego statku specjalna komisja śledcza. Otóż Memuke tym bardziej był wściekły, że istotnie niejedno miał na sumieniu i podczas dawnych podróży, i teraz; a wiedział, że urzędnicy Ihedzcy, chociaż nie mniej przekupni niż wszyscy inni na świecie, z chwilą nadania sprawie oficjalnego biegu stają się największymi na świecie rygorystami. Za udowodniony przemyt groziło ucięcie jednej dłoni: kara mniej straszna dla samych Tmutów niż dla istot dwuręczkich jak Fehine, ale stosowana jednakowo wobec wszystkich. Memuke miał przed sobą wybór: albo zniszczyć póki czas wszystkie niezadeklarowane towary i nacechować niewolnika, albo natychmiast podnosić kotwicę, o ile jeszcze nie zamknięto dla niego bram portu. Toteż decyzję już podjął i teraz tylko tłumaczył ją Tagunowi. Chłopiec jednak, zupełnie już spokojny, położył mu rękę na ramieniu.

– Nie martw się, Memuke – powiedział – i nie uciekaj. Przyjmę twój znak.

– Ja czegoś takiego na swoje sumienie nie wezmę! – wybuchnął kupiec.

– Ale ja biorę. Memuke, słyszysz? Ja proszę... żądam!

Fingaj milczał przez chwilę, potem obejrzał się na otwór wjazdu – i niespodzianie przyklęknął.

– Mały... – szepnął. – Chciałem rzec, panie... Ja sobie dziś niejedno w tępej łepetynie poskładałem. Tyś większy od bardów i jeżeli tak każesz, zrobię... Ale prosz za mną Pana Południa!

Wyszli na pokład. Tam Memuke odwołał wydane poprzednio rozkazy,

toteż wkrótce żeglarze zasiedli wokół ognia do wieczerzy. Gwar miasta i portu cichł coraz bardziej; tu i ówdzie wybijał się nad nim brzęk strun albo rytmiczny stukot tubylczego bębena. Była już granatowa noc. Ogromny żółty księżyc, jakby w sieć złowiony, wisiał nad ich głowami w plątaninie masztów i lin, podobnej nieco w swojej zawiałości do uczonych konstrukcji starego Dejna Imanu na palenisku Znicza.

Może zresztą Tagunowi tego wieczoru bardziej niż kiedykolwiek wszystko się kojarzyło z Wyspą i Placem Wschodnim. Wolał też patrzeć w górę ku świecącym pomiędzy linami gwiazdom niż w dół ku ognisku i temu, co już sterczało z ogniska. Wreszcie żeglarze zjedli, ale się nie rozeszli, tylko usiedli wygodniej. Memuke burknął:

– Śpiewajcie!...

Samotny głos jednego z Fingajów rozpoczął – najpierw nieśmiały, potem potężniejący jak wiatr:

Pławco, statek swój opatrz i mocne naciągnij nań liny:

Oto ci droga daleka poprzez ucichłe głębiny.

Nahidene! Nahidene!

Nocą wypłyn, drухom by i najbliższym nie mów ni żonie,

boć zadzierzą, serce zawiążą, skują łańcuchem przy ścianie.

Nahidene! Nahidene!

Refren widać podjęto od razu i na sąsiednich statkach, bo już przy drugiej zwrotce zagłuszył cały gwar portowy. Tagun zdjął bluzę i zwrócił się do kupca:

– Ty mnie przytrzymaj, Memuke – szepnął.

Ostrożnie, jakby wyciągał dłonie po jakieś kruche naczynie, Memuke objął chłopca w pól i ułożył na swoich kolanach, zakrywając mu jednocześnie oczy. Czuł, jak to małe ciało wiotczeje w jego rękach, w miarę jak ostateczna zgoda na to, co się stanie, przenika z serca powoli do wszystkich członków. Kupcowi się zdawało, że jeszcze chwila, a i jemu udzieli się ta zgoda, a z nią razem i tajemnica chłopca. Nie! – pomyślał z nagłym buntem. – Ja nie mam prawa: mnie się na to sercem zgodzić nie wolno!

– Prędeż, Geha-geha – szepnął w udręce.

Czujesz tchnienie lekuchne, jakoć owo igra z włosami?

Dziekiem jużes raz czuł je na twarzy. Cicho uderzaj wiosłami!

Nahidene! Nahidene!

Syk, swąd. Memuke uczył, jak ciało chłopca kurczy się z bólu, ale natychmiast – jeszcze zanim Geha-geha cofnął żelazo – znowu się pracowicie rozpręży, z każdym oddechem coraz luźniejsze, spokojne, wolne.

Kucharz sypał na ranę świeży popiół, skrapiał oliwą. Memuke zaczął kołysać się z wolna w przód i w tył, w przód i w tył, jak piastunka niańcząca chore dziecko.

*Patrz, oto cichnie i ginie, i samotny zostajesz w ciszy.
Więcej nie będzie już takiej godziny. Nikt do dwakroć nie słyszy.
Nahidene! Nahidene!
Dosyć ci na tym wezwaniu. I w miłej ojców twych mowie
Lepiej ci drogi żaden nie wskaże, jaśniej nie powie.
Nahidene! Nahidene!
Za burtę rzuć cały ładunek. Cóż ci po drogim towarze,
Gdy między tobą i ziemią najbliższą rozciągnie się morze?
Nahidene! Nahidene!
Niech inni dążą, gdzie kupczyć im wolno za dań należyta.
Ty płyniesz do takich portów, gdzie życie się daje na myto.
Nahidene! Nahidene!
Niech inni krzyczą z uciechy, którą dziś daje, a jutro zabierze.
Ty milcz, boś znalazł. I podnieś znaki. I dłoń złóż na sterze!
Nahidene! Nahidene!*

Powietrze napełniało się ciężką, kadzidlaną wonią żywicy: to płonęło wsunięte przez Memukego pod żar zawiniątko z okruchami bursztynu.



Rozdział trzeci

Sługa z Wyspy Szczęśliwej

Memuke zełgał nieco, opowiadając później Nulani, że przy sprzedaży Taguna oglądał króla Kneha osobiście. Kneh nie zajmował się sam takimi drobiazgami jak nabycie każdego niewolnika. Stary Fingaj, odczekawszy tydzień, aż piętno na piersi Taguna zablizniło się zupełnie, zaprowadził go po prostu do tylnej bramy pałacu i tam sprzedawał tu-tenowi, czyli urzędnikowi zajmującemu się skupowaniem służby.

– Alawi... – powiedział mu cicho na pożegnanie i odszedł szybko, a Tagun po raz drugi został zupełnie sam w obcym i nowym świecie. Kiedy tak stał w bramie, czekając, aż rozstrzygną się jego dalsze losy, poczuł nagle silniej niż kiedykolwiek gorzyc swojej niedoli. Oto jest jak rzecz, bezwolna i bezsilna, zdana na łaskę i niełaskę kolejnych właścicieli. Musi być tym, czym każdy z nich zechce go zrobić, nawet nazywać się musi tak, jak go nazwą: nikogo nie interesuje, czym on jest naprawdę, i może wkrótce w ogóle przestanie być sobą, a stanie się tylko tym czymś, czego akurat potrzeba jego panom. Znak ostatecznej utraty samego siebie wypalono mu ogniem na ciele...

Ogniem – pomyślał. – Ogniem, któremu służę. I dostałem od Niego znak nie do starcia. Jak nie da się oddzielić soli z raz posolonej potrawy, tak nikt już nie oddzieli ognia od mojego ciała. Tmutowie myślą, że to znak niewoli. A Pan Południa dokonał przez to czegoś zupełnie innego. Błogosławiona chwila, w której król Kneh wydał to straszne prawo, i błogosławiona chwila, w której bezmyślnie okrutny Geha-geha wyjmował z ognia czerwone żelazo. I błogosławiony...

Radość zalała go silniejsza jeszcze niż przedtem udręka. Tymczasem urzędnik ułożył wreszcie jeden na drugim trzy czy cztery arkusiki

miedzi, cienkie jak płatek róży, i zaczął dziurkować je szydłem, wypełniając formularz w kilku egzemplarzach.

– Twój wiek? – zapytał po fingajsku.

– Trzyście lat – odpowiedział Tagun.

– Języki?

– Rozumiem po tanhidyjsku, po fingajsku i po tmucku.

Urzędnik przeszedł z widocznym zadowoleniem na swoją rodzinną mowę:

– Jesteś Megnitą, tak? – zapytał.

– Tak – odrzekł Tagun, wiedząc, że na szerokim świecie oznaczano tą nazwą nie tylko mieszkańców samej wyspy Megni, ale i całą ich rasę.

– Rzemiosło?

Odruchowo, zamiast wyliczać to wszystko, czego się uczył w domu i po drodze (a czego zresztą nawet Memuke jakoś zapomniał wymienić przy transakcji) chłopiec powiedział:

– Jestem Sługą Ognia.

– Aaa – rzekł urzędnik i spojrzał uważniej – Ooo... Porwany przez Feinu, co? To zmienia postać rzeczy. Potrzebny inny formularz. Mamy, chłopcze, ugodę z królem Kanumem, według której porwanych bezprawnie poddanych zwracamy sobie wzajemnie, a także porywaczy dostarczamy w miarę możliwości na ukaranie... Nie martw się, wkrótce wrócisz do swoich. Z kapłańskiego rodu, co? Bezczelność tych pajęczonogich przechodzi już wszelkie granice. To ten formularz... tak. Imię porywacza?

– Ależ ja nie zostałem porwany – zdołał wreszcie powiedzieć Tagun. – I nie pochodzę z Tanhidu. Zostałem sprzedany feineńskiemu kupcowi przez władcę mojej wyspy daleko stąd na Wschodzie.

Oczekiwał, że urzędnik rozzłości się teraz na niego za mitręgę z tymi swoimi „formularzami”; ale urzędnik spojrzał jeszcze uważniej i zapytał:

– Jakiej wyspy?

– Gar’Ingawi... to znaczy Wyspy Szczęśliwej; ale Feinu nazywają ją Wyspą Mgieł, Kagi-Ogana.

Urzędnik zeskoczył ze swej wyściełanej ławy.

– Sługa z Wyspy Szczęśliwej! – zawołał i znowu: – Sługa z Wyspy Szczęśliwej! Chodź natychmiast ze mną!

I porzucając wszystkie swoje niezapisane karty, ruszył stromą pochylnią w górę tak szybko, że Tagun dobrze się zdyszał, usiłując za nim nadążyć. Biegli przez jakiś zupełnie dla chłopca niezrozumiały labirynt coraz to szerszych i coraz wspanialej zdobionych korytarzy i pochylni, pełnych toczących się bezszelestnie we wszystkie strony Tmutów, aż wreszcie stanęli przed półkolistym złożonym portalem; Tu-ten wymienił hasło ze stojącą tam strażą i wpuszczono ich do środka.

Była to duża sklepiona komnata, której sprzęty, zresztą nieliczne, zbyt były jeszcze wtedy Tagunowi obce, żeby mógł odgadnąć ich

przeznaczenie i zapamiętać rozkład. Zauważył tylko wyściełający podłogę dywan i rozwieszony po ścianach kosze kwiatów. Na czymś, co mogło być megnijską sofą, ale pokryte było kobiercem o zgoła niemegnijskich kolorach i wzorach, siedziało dwóch Tmutów, a właściwie – sądząc z rozmiarów i odcienia skóry – jeden mężczyzna Tmut i jedna kobieta. Kobieta uderzała w bębenek i śpiewała znaną już chłopcu pieśń:

Cziwa, czii-waa, cziiii-waaaa...

– To król, uklęknij – szepnął Tagunowi urzędnik i Tagun posłusznie ukląkł. Sam urzędnik przywarł do podłogi, jak niegdyś panowie Geb i Kri przed Wielkim Bardem. Tamci chwilowo nie zwracali na nich uwagi; kobieta skończyła pieśń, mężczyzna rzekł:

– To pięknie, Mren, ale powtarzam zawsze: poeci nie lepsi są niż baby. Twój Kerg tyleż miał w sobie ze zdobywcy, co i ty sama. Praszczur nasz Weje, między gwiazdami, kazał go kiedyś lżyć swoim sługom, a on wiesz, co na to? Odcinał się kpiącymi zwrotkami... Ot, masz mężczyznę! Czcijże w nim dzielność!

– Czczę w nim mędrca, ojczu.

– I mędrzy twoi nie lepsi. Żaden z nich nigdy nie potrafił określić czasu nadejścia Godziny Tmutów. Aż ja dopiero zrozumiałem, że można je przyspieszyć decyzją czynu! Nie, nie mów już nic więcej! Czego tu chcesz, Czuk?

Tu-ten, jak się Tagunowi zdawało, splaszczyl się jeszcze bardziej.

– Zgodnie z rozkazem twojej słonecznej postaci, panie – odpowiedział – przyprowadzam ci sługę z Wyspy Szczęśliwej natychmiast po zakupieniu.

Król Kneh zerwał się z sofy i podbiegł do chłopca. Ten ani rusz nie mógł zrozumieć, dlaczego jego przybycie robi aż tyle zamieszania, toteż mimo pobranych na statku lekcji Ihedzkiej etykiety nie skłonił się nawet, tylko patrzył szeroko otwartymi oczami na tę dziwną scenę. Król ujął jego głowę w ręce i zajrzał mu w oczy – a wtedy Tagun zdziwił się jeszcze bardziej; tyle odczytał napięcia, przejęcia w spojrzeniu tej żukowatej istoty!

– Jesteś z Gar'Ingawi? – zapytał Kneh, bezbłędnie wymawiając nazwę wyspy w jej rodzimym brzmieniu.

– Tak jest, panie.

– I przysłała cię tutaj twój książę Ungana Nile?

– Nie, panie. Kupcowi feineńskiemu sprzedał mnie nowy władca Wyspy, którego nazywamy Dżauri Tanu. Ale dowiedziałem się później, że to książę Ungana kazał, żebym tutaj został sprzedany właśnie twojej słonecznej postaci.

Król cofnął się o krok.

– Godzina Tmutów! Godzina Tmutów! – zawołał. – Czuk, wezwij mi tu gońców!

A gdy oni przybiegli:

– Zwołajcie do mnie natychmiast radę wojenną! Zawiadomcie kolegium świątyni Najdalszej Gwiazdy, że nadeszła Godzina Tmutów: niech poświęcą bębny wojenne i znaki!

I wreszcie do córki:

– Wracaj do siebie, Mdan, i odtąd mi się nie naprzykrzaj. Nie będzie już czasu na pieśni, oprócz bojowych!

Księżniczka zeszła z sofy i pokłoniła się ojcu.

– Stanie się według woli twojej słonecznej postaci. Ale zrób mi jeszcze tylko jedną łaskę: podaruj mi tego sługę!

– Weź go sobie... i idź już wreszcie!

Mdan skinęła na Taguna i wyszła drzwiami prowadzącymi do swoich komnat. Oszołomiony chłopiec ruszył za nią, podnosząc po drodze jej bębenek. Zauważyła to natychmiast i podziękowała mu uśmiechem, a on się raz jeszcze zdumiał, bo słońce było w tym uśmiechu.

– Umiesz na tym grać? – zapytała.

– Nie, pani. Ale śpiewać umiem. Także i to, co twoja słoneczna postać śpiewała przed chwilą.

– Zaraz mi wszystko opowiesz.

To „zaraz” miało nadejść dopiero po długiej wędrówce do osobnej, przeznaczonej dla kobiet części pałacu. Tam Tagun został usadzony na miękkim dywanie i obstawiony mnóstwem tmuckich przysmaków (niektóre całkiem jadalne) przez kilkanaście gigantycznych biedronek. (Wśród dam w Lhed panowała tego roku moda na suknie w wielkie grochy). Na koniec szatna ubrała go w nowy strój, megnijskiego kroju, ale koloru ciemnego wina, bo taką barwę nosiła służba księżniczki. Mdan ze swej sofy kierowała całą tą posługą, a po jej zakończeniu odesłała z komnaty wszystkich oprócz chłopca.

Tagun myślał, że teraz zaczną się pytania, zmierzające do wyjaśnienia zagadki jego przybycia – sam by chętnie próbował dociec, czemu tak się nim przejął król Tmutów; ale na księżniczce nie zrobiło to jakoś większego wrażenia. Po odejściu dam najpierw milczała długo, uderzając w zamyśleniu cichutko w swój bębenek: układało się to nieomal w melodię. Wreszcie rzekła:

– Jesteś z Wyspy Szczęśliwej: opowiesz mi o niej!

To było zdumiewające, ale zrozumiał nagle, że ze swą nową panią – i tylko z nią jedną na całym dworze króla Kneha – może i powinien mówić o tym wszystkim zupełnie jasno i szczerze. Więc mówił i śpiewał, i grał – księżniczka miała kolekcję instrumentów muzycznych z całego świata, w tym kilka doskonałych szalánów. Opowiadał tego dnia i przez wiele następnych, bo okazało się nagle, że ma do powiedzenia ogromnie dużo, o wiele więcej, niż umiał przekazać bardom. Może pomagały mu w tym bardzo szczegółowe pytania stawiane bezustannie przez Mdan, która wszystkiego chciała dowiedzieć się jak najdokładniej. Było przy

tym widać, że interesują ją nie tyle losy Taguna – w tej sprawie poprzestała na kilkuminutowym streszczeniu – ile właśnie sama Wyspa, a raczej to, co było przez całe wieki jej życiem: Oczekiwanie.

Tagun ani się spostrzegł, jak zaczął uczyć Mdan Oczekiwania. Był już wtedy mianowany jej nadwornym śpiewakiem i nie rozstawali się całymi dniami. Mdan tego lata ani razu nie wyszła poza swój ogród, nie urządziła ani jednej uczyty dla stołecznych dam, nawet nie zatęskniła za przejażdżką. Jej dwór tak ucichł, że sam król zwrócił uwagę na dziwny brak zwykłego gwaru ze strony babinca. Księżniczka żyła opowieściami Taguna.

Odkąd po raz pierwszy usłyszała nazwę Wyspy Mgieł, swojej przyszłej siedziby gubernatorskiej, ta nazwa z wolna coraz więcej miejsca zajmowała w jej świecie. Najpierw z obowiązku: bo trzeba było przestudiować raz jeszcze mapę i powtórzyć najważniejsze wiadomości z geografii. Ale Tmuccy geografowie już od wieków wyznawali tezę, że „kraj stwarza lud, a lud stwarza kraj”, toteż ich dzieła obejmowały zarazem i to, co Dzugidowie Równinni wydzieliliby ściśle jako etnografię. Z brzęczących metalicznie kart wielkich foliów spływały wiadomości coraz bardziej poruszające. Wkrótce jednak Mdan doszła do końca tego, co wszyscy dostępni jej autorzy mieli do powiedzenia o Gar'Ingawi. Nie było tego dużo, po parę zdań tu i tam, i chyba w całym Ut-mut właśnie Mdan pierwsza złożyła z tego jakąś całość i zapragnęła koniecznie dowiedzieć się więcej. Kazała sobie sprowadzać żeglarzy i kupców spośród wszystkich ludów, ale ci, jak się okazało, znali na Wyspie Mgieł jedynie porty i rynki, a ludność i jej tradycje zbywali zwykle jakimś pogardliwym słowem.

Toteż przybycie Taguna stało się dla Mdan świętem. Wysłuchawszy do końca wszystkiego, co miał do powiedzenia, poprosiła go natychmiast, by jeszcze raz powtórzył; i znowu, i znowu. Kiedy dziwił się jej żarliwości, mówiła:

– Czyż nasi mędrzy nie uczą, że tylko to ma cenę, co trwałe? Patrz, ile już imperiów wyrosło i padło, a wy trwacie i trwa wasza nadzieja. Nie ma w całym świecie niczego podobnego!

– Nie bardzo już trwamy – odpowiadał Tagun ze ściśniętym sercem. – Wiesz, co się teraz dzieje na Wyspie.

– Nie wiem ani ja, ani ty. Rok już upłynął, albo prawie, jak ją opuściłeś. Mogło się wiele zmienić. A zresztą, choćby się i wszyscy odwrócili, jeszcze ty jesteś i ja jestem.

– Ignu telenni! (Obyś doczekała Powrotu). Ale skąd wiesz, że i ciebie, Obcą, obejmuje nasza nadzieja?

– I pośród was bardzo wielu nigdy Powrotu nie ogląda, a mimo to nie przestają czekać.

To była prawda, i Tagun już odtąd bez żadnych wahań uczył ją Oczekiwania. A w końcu nawet zawstydzil się, że się z początku wahał.

Siedząc na Wyspie Szczęśliwej, nie wychylając nosa poza jej brzegi, można było w głupawym zadufaniu mniemać, że Or poza nią się nie pokazuje, ani żadną inną nie włada. Ale po takiej drodze, jaką przebył Tagun, zamykać Pana Południa w świątku jednej wysepki i jednego ludu było równie roztropne, co próbować zamknąć wielki huragan we własnej kieszeni. To było teraz jasne, jak słońce w południe; ale dopiero teraz. Widać trzeba było dojechać aż na dwór Mdan, żeby to zrozumieć.

Planowali też oboje, że gdy popłyną na Wschód z armią Tmutów i Mdan obejmie tam rządy, przepędzi z Wyspy Dżauriego i pomoże Ludowi powrócić do Oczekiwania; a Lud wtedy stanie się sobą jak dawniej i nie zginie, mimo że wokół siebie będzie miał znowu wielkie imperium. A gdyby Lud nie chciał powrócić, to i tak Tagun i Mdan zamieszkają na Placu Wschodnim i tam będą palić Znicz i czekać na Pana Południa. I pozwolą zamieszkać ze sobą każdemu, kto także będzie chciał czekać, czy to będzie Tmut, czy Megnita, Dżugida czy Fingaj, czy Weha...

Tagun był przez te dwa lata bardzo szczęśliwy szczęściem spokojnym i cichym. Nie spodziewał się tego: jechał tu gotów na wszelkie udręki, przebył ciężkie próby, ogień pałacy myśli i ogień pałacy ciała – i nagle Oczekiwany wyrwał go z niewoli, a dalszą jego drogę ułożył spokojnie i bezpiecznie. O wyprawie do Galgal-Mubara nie było co i myśleć: nie zgadzała się na to Mdan, a wbrew jej woli mały sługa nie zdołałby nawet wyjść z pałacu, cóż dopiero przewędrować cały kraj aż do granicy. W końcu więc uznał, że może i bez tego spełniły się już słowa usłyszane na świętej górze: pojechał na Temi, przeżył spotkanie z Delu Chwanem, jakoś więc przeszedł już przez ręce Wroga i teraz będzie mógł spokojnie czekać tam, gdzie wymarzył, na Wyspie, na Placu Wschodnim – na spełnienie się niezawodnej obietnicy.

Czasem odwiedzał go Rha, który mieszkał na stałe w Lhed, chociaż na zimę udawał się zawsze na Megni. I on wkrótce zaczął uczyć się Oczekiwania. Przez niego też przesłał Tagun przed drugą zimą list do Nuna Lagmi, przechowywany później w larryjskim archiwum świątynnym i będący dziwną mieszaniną stylu tmuckiego, megnijskiego i reminiscencji z Wyspy; wszystko to w języku Tanhidu.

Tagun z Wyspy Szczęśliwej, Sługa Ognia, obecnie śpiewak nadworny Jej Słonecznej Postaci księżniczki Mdan, swojemu mistrzowi i panu, Wielkiemu Bardowi Nunowi Lagmi w świętym mieście Larri, pozdrowienia. Proszę cię, panie mój, abys się o mnie nie martwił, ponieważ los mój został pokierowany przez Moc Południa, której służę. I gdybyś uznał to za stosowne, przybądź do mnie, a podzielę się z tobą moją nadzieją. To wszystko, co mnie dotyczy, opowie ci twój brat, pan mój Wielki Bard Rha, który razem ze mną służy Ogniewi. Bądź

zawsze zdrowy. Tyle słów moich, Taguna Sługi Ognia.

Daty nie napisał, bo tak tmucki jak i megnijski kalendarz były dla niego wciąż jeszcze zupełnie niezrozumiałe. Nuno dopisał własnoręcznie na tym liście datę jego otrzymania: dwudziestego piątego dnia Miesiąca Nagich Drzew, a więc na miesiąc przed zimowym Przesileniem, drugim po odjeździe Taguna. A wysłuchawszy opowieści Rha, poszedł jak zwykle do Kanuma.

– Myliliśmy się – zakończył swoją relację przed królem. – Pozwól mi teraz przynajmniej jechać do niego! Tam dzieje się coś o wiele większego niż nasze Bractwo i byłbym szczęśliwy, gdyby ten chłopiec dał mi bodaj ostatnie miejsce wśród tych, których wokół siebie zgromadzi.

Król potrząsnął głową w zamyśleniu.

– Jak zwykle ty się śpieszysz, a ja jeszcze czekam – rzekł.

– Czyż Pan Południa nie objawia się wyraźnie w tej historii? Teraz Tagun wróci na Wyspę...

– Właśnie. Wróci z pierwszą, najslabszą falą.

– Wybacz... nie rozumiem?

– Mówię o Prawie Trzech Fal. Przez cały znany nam bieg dziejów świata działało ono jak dotąd bezbłędnie. Według niego przygotowywana obecnie przez Kneha wyprawa jest pierwszą z trzech fal z Zachodu; skazana jest więc z góry albo na niepowodzenie, albo na powodzenie krótkie. Dziwne, że o tym zapomnieli mędrcy w Lhed...

– Najważniejsze, że Tagun znajdzie się z powrotem na Wyspie, a my z nim.

– Już tam jest kilku naszych, niestety.

– Dlaczego „niestety”, bracie?

– Bo sam ich tam posłałem... jak się okazuje, na zgubę. Patrz, dzisiaj właśnie przywieziono mi ich listy. Naraz od wszystkich trzech, ale osobne...

Były to straszne listy. Adun, Hwa i Tsamonume opisywali w nich dzieje pierwszego roku swego pobytu na Wyspie. Już same wydarzenia, o których pisali, były przerażające: widać było, że nie tylko niczego nie dokonali, ale nawet nie zdołali zapobiec dalszemu postępowi zła na Gar’Ingawi, krwawemu powstaniu i okrutnemu tego powstania stłumieniu. Co jeszcze gorsze, wynikało z ich relacji, że znajdują się każdy w innym obozie, że się zwalczają i nienawidzą, i oskarżają się wzajemnie o wszelkie możliwe winy. Zwłaszcza Tsamonume, jak było widać z jego listu, odszedł już tak daleko od postawy barda, że Kanum nie miał innego wyboru, jak przesłać mu natychmiast zwyczajowe ostrzeżenie i naznaczyć rok do opamiętania: gdyby tej możliwości nie wykorzystał, wkrótce trzeba go będzie w ogóle usunąć z Bractwa.

– To straszna wyspa, bracie – mówił król. – Posłałem tam najlepszych spośród nas, mądrych i prawych, i patrz, co z nich zostało! Mogłem ich

równie dobrze wysłać na dwór Gabiego z Chaonu...

To było już przysłowiowe.

– ...I widzisz przecież także sam z ich listów, że każdy z nich szuka winy wszędzie, tylko nie we własnym sercu, i widzi na zło każde lekarstwo, tylko nie to, które by jego zmuszało do odjazdu. Innych by wygnał, ale sam musi pozostać jako zwycięzca. Ta wyspa wchłania jak bagno i topi jak w bagnie. Tsamonume już ugrzązł po szyję, Hwa do połowy, Adun może jeszcze najmniej, ale za dwa – trzy lata będzie i z nim to samo. Dlatego ostrzegam cię, bracie! Bo widać z tego, że nie ma w nas mocy opierania się temu złu, które tam działa.

– Jest moc w Tagunie.

– Oby nie okazała się złudą... Bo jeśli Pan Południa jest i jeśli działa naprawdę, toć by go przecież nie posyłał na wschód z Pierwszą Falą.

– Następna może przyjść dopiero za kilkaset lat, kiedy chłopca już nie będzie na świecie.

– Tobo sobie nie wybierał kogoś, kto żyje w czasach tej pierwszej. Ja ci zresztą nie zabraniam, bracie: owszem, jedź do Lhed wiosną, raz jeszcze przebadaj sprawę. Ale na Wyspę Szczęśliwą zabraniam ci jechać, zabraniam pod posłuszeństwem bardów. I to jest moje ostatnie słowo: innego już nie usłyszysz.

Nuno dotknął ziemi czołem i wyszedł.

A wiosną, ledwo żeglugę otwarto, popłynął w towarzystwie Rha, wracającego do domu. Nie mogli wiedzieć, że tego samego dnia, w którym oni podnieśli kotwicę w Adongo, z Lhed wypłynęła ostatnia już eskadra wojennej floty Tmutów, wioząca króla Kneha i księżniczkę Mdan, ale niewioząca Taguna.

Miasto zastali, mimo rześkiej pogody, jakby senne i uciszone. Zamarł ruch dostaw wojskowych, stanowiących przez ostatnie lata niemal połowę całego handlu w Lhed. Ucichł gwar kilkunastotysięcznych koszar w podzamczu. Ponieważ z wojskiem przy królu popłynęło mnóstwo urzędników, więc surowa i sprężysta jeszcze przed miesiącem administracja portu niemal zupełnie się rozprzegła: brakowało dozoru i kontroli. Obaj Wielcy Bardowie dowiedzieli się już w porcie, co się stało, i nie zachodząc nawet do domu Rha, pośpieszyli pod Tęczową Kopułę, by zasięgnąć wiadomości o Tagunie. Nuno w drodze zaciągnął płaszcz na oczy, by przechodnie nie widzieli jego łez: wyrzucał sobie, że wahał się tak długo, aż w końcu przybył za późno i stracił całą nadzieję ponownego zobaczenia chłopca, który zapewne dopływa już właśnie u boku księżniczki do Kamgany... Ale może warto ich ścigać? Jeżeli Kneh zamierza w drodze uderzyć na Dohum, może zabawi tam dość długo, żeby Nuno mógł jeszcze dogonić Taguna, nie jadąc mimo to na Wyspę?

W Pałacu trudno było znaleźć kogoś, kto by mógł nawet tak dostojnym gościom udzielić jasnej odpowiedzi. Wyższych urzędników nie

było, niżsi odsyłali ich jeden do drugiego z jakimś wyrazem zakłopotania i przestachu. Powoli Rha i Nuno doszli do wniosku, że Taguna ani w Lhed nie ma, ani go z wojskiem nie zabrano; gdzie by jednak był, tego im nikt nie umiał albo może i nie chciał powiedzieć. W końcu Rha wpadł na pomysł udania się do tylnej bramy, do nadzorcy skupu niewolników; wiedział, że gdzie jak gdzie, ale w aktach gospodarczych Tęczowej Kopuły nawet pod nieobecność króla na pewno panuje porządek.

Tu-ten powitał Wielkich Bardów uniżenie, ale gdy usłyszał, o co im chodzi, zrobił minę równie zakłopotaną i przestraszoną, jak wszyscy inni.

– Skreślony z listy, dostojni panowie, skreślony z listy... Cóż ja mogę poza tym wiedzieć? Wszystko plotki starych bab... Ot tu jest znak na jego karcie, znaczy: darowany... Czy ja mogę wiedzieć, komu? Gadają, różnie gadają... podobno – tu zniżył głos – chłopiec krzyczał ze strachu, księżniczka płakała... Ale król nie cofnął słowa. Ja nie wiem... nie byłem przy tym.

Więcej nie zdołali z niego wyciągnąć ani dowiedzieć się od kogokolwiek. Przerażeni, gubiąc się w domysłach pełnych na zmianę nadziei i grozy, poszli do domu Rha. Pod wieczór wpadło im do głowy zasięgnąć wiadomości u Feinu. Natychmiast, przerywając rozpoczętą już wieszczę, niemal pobiegli obaj do domu Starszego Ihedzkiej gminy pajęczonogich żeglarzy; ten jednak przysiągł im na wszystkie Wiatry, że nie wie nic o tej sprawie. I byliby się do końca niczego nie dowiedzieli, gdyby nocą nie przyszedł do nich Memuke.

Nie spali jeszcze – nie mogliby zasnąć – więc usłyszeli od razu jego pukanie i Rha wpuścił go, nie budząc służby. Stary Feinu był wychudzony i ponury.

– Byłem w domu Seosetego syna Imy, kiedy wyście tam byli, dostojni – powiedział im bez żadnego wstępu. – I zdawałem mu właśnie sprawę ze swojej podróży. Usiłowałem dostać się do Galgal-Mubara śladem Taguna, ale mnie nie wpuszczono.

– Więc on jest tam? – zawołał Nuno z rozpaczą. Do Galgal-Mubara od lat nie mieli wstępu bardowie, nigdy, żadnego stopnia, w żadnych okolicznościach.

– Ciszej, dostojny! Chłopiec został darowany Dirowi Łowcy. To było w samym dniu odjazdu króla Kneha. Dir zjawił się w Lhed poprzedniego wieczoru i przez całą noc rozmawiał z królem, a rano wrócił do siebie, to znaczy nie do swojej nadmorskiej siedziby, gdzie już od roku nie mieszka, tylko do innej, którą ma w Galgal-Mubara.

– Stamtąd jest rodem? Jest jedną z tych bluźnierczych małp?

– Ciicho... na wszystkie wiatry Północy... Któż może wiedzieć, skąd jest rodem Dir Łowca? Mieszka ponoć na skraju pustyni w małpiej ziemi... ale kto może wiedzieć, kim jest? Kto by śmiał pytać? Każdemu życie miłe.

– Nie rozumiem – jęknął Nuno.

– Wielu rzeczy wy, oświeceni i wtajemniczeni, nie rozumiecie! Ale ja nie jestem od tłumaczenia wam wszystkiego od początku.

– Na przykład tego także nie rozumiem – powiedział Rha – dlaczego ty tu przyszedłeś i mówisz nam o tym.

To z kolei doprowadziło do pasji starego kupca.

– Dlaczego? Dlaczego? – Mimo gniewu nie podniósł głosu, co nadawało jego szeptanemu krzykowi szczególną siłę. – Dlatego, że taki mój psi los, dlatego, że ja się już od sprawy tego chłopca do końca życia nie uwolnię, dlatego, że jeszcze i głową nałożę! I dobrze, zaraza na nich wszystkich, i słusznie, bom ja go kupił, i wiozł, i sprzedał, i swoim znakiem nazaczył, i żaden z was, rozumiecie, żaden, nie ma tyle do niego, co ja!

– Chcesz go odzyskać na własność? – zapytał zdziwiony Nuno. Kupiec spojrział na barda tak samo, jak kiedyś na jego statku bard na niego.

– Tfu – rzekł – żebyście nie byli przyjaciółmi Taguna, tobym z takimi nie gadał. Ale teraz wiecie już wszystko, co wam trzeba wiedzieć, i nie potrzebujecie mnie więcej.

I zanim zdążyli mu zadać następne pytanie, wyszedł i zniknął w ciemności. Obaj bardowie wrócili zgnębieni na taras. Było już po północy, i była zupełna cisza, tylko lekki zachodni wiatr miał coś nieciekawego do powiedzenia krzewom magnolii.

– A więc Kanum miał rację z Pierwszą Falą – szepnął Nuno. – I Tagun z nią nie jedzie. Jeszcze jeden dowód... Jakby po to tylko, żeby wiedzieć, cośmy stracili!

– Nie rozumiem! – wybuchł Rha. – Jak mógł Kneh darować chłopca komuś o takiej reputacji jak Dir Łowca?

(W tej samej chwili Mdan zadawała ojcu to pytanie, nie po raz pierwszy zresztą. Kneh był właśnie w wyjątkowo dobrym humorze; kończyła się uczta wydana po zdobyciu Kamgany i podbój kraju Dohum zapowiadał się pomyślnie. Toteż tym razem wreszcie dał odpowiedź, zamiast zbyć córkę byle czym, jak robił dotąd.

– Widzisz – powiedział – Dir Łowca pierwszy mnie kiedyś pouczył o Godzinie Tmutów i przyniósł mi dotyczące jej dokumenty. Słuszne więc, żeby dostał w nagrodę to właśnie, co było znakiem umówionym nadejścia tej Godziny. Zażądał zresztą sam takiej nagrody... Nie umiałbym mu odmówić!).

Nuno oczywiście zapytał teraz znów o Dira Łowcę. I tak już zeszła im ta noc i wiele następnych: na domysłach, obawach i planach. A dni schodziły na próbach przedsięwzięcia czegokolwiek, by Tagunowi pomóc.

Nic jednak z tych prób nie wyszło: żadnych posłów, żadnych nawet szpiegów nie udało im się przez granicę przesłać. Latem Nuno zniechęcony wrócił do Tanhidu; Rha usiłował znaleźć przynajmniej Memukego, ale i to mu się nie udało. Tej zimy jednak nie pojechał już do Larri; nie chciał oddalać się z Lhed, bo może właśnie pod jego

nieobecność mogłaby przyjść jakaś nowina, mogłoby coś się zdarzyć?

Wieczorami spisywał starannie, na złotych kartach, wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Tagunie i od Taguna. Nikt nigdy nie miał przeczytać tej książki. Rha, pracujący niezmiernie powoli i tygodniami cyzelujący każde zdanie, nie zdążył jej wykończyć; kiedy w Ut-mut wybuchło prześladowanie bardów, zginął autor, a książkę przetopiono na cztery złote dukaty.



Rozdział czwarty

Tajemne słowa

Tak więc nie chciałeś zgodzić się z twierdzeniem, że ja jestem tylko wymysłem – powiedział Wróg. Może zresztą nie mówił tego głosem, tylko jakoś wprost dawał do zrozumienia, tak jak czasami porozumiewali się na Wyspie zwłaszcza bliscy krewni. Tagun nie umiałby tego odróżnić teraz, tak jak nie umiałby powiedzieć, gdzie się właściwie znajduje. Półżywego, półprzytomnego z przerażenia – bo rozpoznał Wroga od razu – wyniesiono go z Tęczowej Kopuły, a potem jakby nagle znikło miasto zadławione przez ciemność. Czy była to droga i jaka – konno, pieszo, na skrzydłach ostrego wiatru? – i czy obecnie byli już u celu, czy też podróżowali dalej, nie wiedział zupełnie. Wszystko przesłaniała bezbrzeżna udręka.

Gdyby Wróg choć na chwilę spuścił go z oczu, może by zdołał jakoś przynajmniej pozbierać myśli. Może zorientować się, gdzie jest i od jak dawna: parę godzin czy parę lat. Ale pomimo ciemności jednego był pewien przez cały czas, że ta ciemność jest tylko dla niego, a tamten widzi go dobrze – i triumfuje.

Nie wiedział nawet, czy sam coś odpowiada na to, co wydaje mu się, że słyszy, czy nie. Tamten nie czekał odpowiedzi: tylko przez cały czas jak gdyby rósł i ukazywał Tagunowi swoją moc, przeraźliwą rzeczywistość swojej obecności; i rozkoszował się tą mocą, i tym, że chłopiec ją widzi.

Potem – chyba potem, a nie przedtem, chociaż nawet i następstwo wydarzeń w czasie przestało być jasne – przyszła chwila, w której ciemność ustąpiła na tyle, że było widać coś jakby ściany komnaty, a Wróg przestał być wszędzie dookoła, tylko skurczył się do tej samej postaci, w której przyszedł przedtem (chyba przedtem, a nie potem)

do pałacu królewskiego w Lhed. Przyjrząwszy się uważniej, Tagun zauważył, że tamten siedzi na czymś w rodzaju ogromnego tronu, za stołem zastawionym jak do uczy, a dookoła uwija się mnóstwo czegoś jakby służba, ale co to była za służba i jakie istoty ją stanowiły, tego chłopiec nie potrafił rozeznaczyć. Wiodąc wzrokiem coraz dalej od Władcy wzdłuż tego stołu, zobaczył nagle drugi jego koniec tuż przed sobą i stwierdził, że i on także siedzi tam na rzeźbionym krześle i bierze udział w uczcie Wroga. Czuł, jak zadrżała mu ręka, którą właśnie unosił do ust kubek; natychmiast cały rój tej mglistej służby rzucił się podtrzymywać mu dłoń i naczynie, i prowadzić je właściwą drogą ku wargom.

– Pij – powiedział Władca. – Dzisiaj nie masz się czego obawiać: dzisiaj jest mój dzień łaskawy. Nie jestem dzisiaj Łowcą, ale Bardem.

Rzeczywiście u pasa zwisała mu lira, a ściany komnaty (teraz Tagun zdał sobie sprawę, że była bardzo duża) odbijały echem jakieś leciutkie brzęczenie: jakby gdzieś w oddali, albo może blisko, ale bardzo cicho, śpiewał chór czy też grała jakaś kapela.

– Pij – powtórzył Władca i Tagun uczył, jak ręka sama unosi mu się do góry, jak rozchylają się usta, a język wciąga chłodny strumień bengi. Nie, nie, nie – powtarzał sobie, ale ani ręka, ani usta nie słuchały tego rozkazu: jedynym szansem, za który jeszcze mógł się wycofać, był sprzeciw myśli. Władca z oddali (albo może tuż z bliska) patrzył w jego oczy tak przenikliwie, jak gdyby chciał lodową igłą wyłuskać ten sprzeciw z samego dna serca. Dziwny bard!

Kiedy indziej – bo chyba nie równocześnie – zamiast ścian komnaty była wolna przestrzeń, a oni jechali konno obok siebie, jakby na czele jakiejś ciągnącej się całymi milami armii. Władca wydawał rozkazy; Tagunowi zdawało się, że i on je także wydaje, a spełniają je na wyścigi wielkie wojska cieniów. Nie, nie, nie – powtarzał zaciekle. Władca mówił – siedzieli już wtedy obaj na wielkiej tronowej ławie, a u ich stóp wiły się tłumy przerażone i uniżone:

– Od twojej łaski, o wybrany spośród tysięcy, będzie kiedyś zależeć życie i śmierć wszystkich.

Nie, nie, nie.

Pomiędzy tymi chwilami – bo chyba nie jednocześnie – były okresy ciemności i jawnej wrogości Władcy. Powoli Tagun doszedł do takiego przynajmniej rozeznania, że jedno i drugie wyraźnie oddzielał, a nawet zaczął je nazywać, tak jak go Władca nauczył, Dniami Barda i Dniami Łowcy. Sam nie wiedział, co było straszniejsze: ta nienawiść czy ta łaska. Pierwsza była jak skała waląca się na głowę, druga jak wsysające bagno. Dziwny bard.

Najgorsze było to, że w miarę jak coraz jaśniejsze się stawało to wszystko, co działo się teraz, nikła z pamięci chłopca przeszłość. Owszem była, ale jakby to nie on uczył się Służby Ognia na Placu

Wschodnim, jakby to ktoś inny jechał z kupcem fingajskim przez morza, jakby to w jakiejś na pół zapomnianej bajce było Adongo i Larri, i nawet Tęczowa Kopuła. Czyż cokolwiek mogło być rzeczywiste oprócz więzów Wroga?

Ta melodia, brzęcząca ledwo uchwytnie, czasem stawała się głośniejsza i Tagun wreszcie ją poznał: od niej to kiedyś zaczęły się (gdziekolwiek i w czymkolwiek życiu to było) nocne śpiewy bardów. Ale tam potem była jeszcze druga; tutaj tę drugą zaczynano najwyraźniej, próbowano śpiewać, ale jakoś nie wychodziła. Dziwny bard... Ale może to tylko w jakiejś zapomnianej bajce byli inni?

To przekonanie z wolna w Tagunie rosło, starannie podsycane przez Władcę. W Dniach Łowcy (może zresztą były to całe lata) nikło wszystko oprócz przerażającej, dławiącej obecności Wroga. W Dniach Barda Władca jakby mu tłumaczył istotę swoją i świata, a wszystko, co kładł w jego myśli, zdawało się niezaprzeczalne, niepodważalne. Nie, nie, nie – powtarzał Tagun, ale nie wiedział już nawet, dlaczego nie.

...Nie mam imienia, ale z konieczności różne ludy różnie mnie określają: Or lub Dir, Alhoru czy Aldhiru, Jasny Brat i Ciemny Brat: wszystko to moje imiona, ale żadne z nich nie jest prawdziwe... Nienazwany...

...Czyż nie słyszałeś, jak uczą bardowie, że światło i ciemność, radość i ból są nierozłączne? Ja jestem panem obydwu.

...Czyż ci nie mówił Delu Chwan, że Północ i Południe są względne? Ja jestem panem obydwu.

...Czyż nie znasz mitu o Tajemnych Słowach? Musiałeś go już słyszeć, jeśli nie w Larri to w Lhed, inaczej nie opierałbyś się tak długo! Ale ci go pewnie powtórzono w najgłupszej wersji: że mianowicie Nienazwany stworzył świat i oddał go we władanie Północy i Południa, rzekł jednak, iż „Wszystko, cokolwiek zrobi Północ, ostatecznie służyć będzie Południu”. Bardzo to zniekształcone, ale i tu można wyczytać prawdę, że ja sam rządzę i że wszystko służy jednemu zamysłowi: mojemu...

...A teraz ty jeden ze wszystkich istot myślących na świecie znasz prawdę. Ty jeden oglądasz mnie jako Ora i jako Dira, w świetle i w mroku. Ty będziesz władcą świata, moim namiestnikiem... jak gdyby synem dla mnie...

Nie, nie, nie.

I znowu ciemność: serce zamiera, jakby przyciskane czyjąś twardą dłonią. Gdybyż iskierka światła, gdybyż jeden oddech spokojny – gdybyż ból choćby największy, tylko nie ten mrok, nie ten strach i nie ten triumf Wroga!

A potem znowu światło, ale urągające światłu, i spokój, ale gorszy od udreki, i triumf, i przepych królewski, ale lepsza już była niewola.

Rytm obu coraz szybszy. W ciemności strach coraz większy, w świetle coraz silniejsze przynaglenia.

...Uwierz mi. Przyjmij. Zgódź się.

...Nie masz innej drogi. Uczyniłem cię nieśmiertelnym, bo taki był mój kaprys: więc albo będziesz wiecznie cierpieć w tej ciemności, albo będziesz rządził światem przy moim boku.

...Przyjmij! Już czas! Już czas!

Nie. Nie. Nie.

...Dlaczego nie? Zresztą dobrze: nie musisz sam podejmować decyzji. Ja ją podejmę za ciebie: podjąłem już dawno. Ja prowadziłem cię tutaj przez łądy i morza, przeznaczyłem cię na to od lat: ja jestem twoim panem, bez mojej woli palcem nie potrafisz ruszyć. Mój rozkaz unosi cię jak wicher unosi puch ptasi!

Gdzie to było? Kto to śpiewał?

*Wicher głuptas zrobił sanie
z puchowej kołderki...*

Było jasno, wesoło, dobrze. Dookoła ryczała zawieja, ale nie miała mocy przeciw takiej, ot, dziecinnej śpiewce.

Hej a hej! Hej a hej!

Jak ten, kto spada ze skały, chwytając się wiszącego nad przepaścią korzenia, tak Tagun uchwycił się teraz tej śpiewki. I nagle poczuł, że ma w ręku nie łamliwy strzęp kory, ale mocną linę, która mu oto dostarcza pewnego oparcia.

Jak można było zatrzeć różnicę między tą melodyjką a kłamanymi melodiami Władcy Rozpaczy! Jest, jest radość prawdziwa, jest inna potęga, jest Północ i Południe, jest walka! I jest ponad obojgiem ktoś trzeci, nienazwany, ale na pewno niesprzyjający Północy!

Tagun chciałby znów śpiewać; Wróg, chociaż patrzy mu ciągle w samo serce, jakoś widać mylnie pojmując jego myśli, bo pyta:

– Chcesz sam zdecydować? Śpiesz się! Bo to ostatnia chwila mojej cierpliwości! A gniew mój jak wichura kruszy skały!

I wtedy Tagun śpiewa głośno – zaśmiewa się, jak kiedyś:

*Szukał guza wiatr niecnota,
góry brał za bary,
tylko sobie pięści otarł
o skalne filary.
Hej a hej! Hej a hej!
Teraz jęczy nad zawieją,
a góry się z niego śmieją,
że głupi, choć stary!*

Ziemia uciekła, wytracona spod nóg. Ryk jakby pędzącej lawiny. Ból

w całym ciele jakby od tysiąca kijów. I światło: już nie tamto mgliste, zwodnicze, zacierające kształty i kolory, ale zwykłe, prawdziwe światło dnia. Tagun przymyka oślepienie oczy, przyzwyczajają się do niego powoli. Słyszy dookoła głosy: jeszcze przed chwilą nie było przy nich dwóch nikogo, teraz widać Władca wezwał znowu zastęp służby na sąd i ukaranie buntownika. Nieśmiertelność? Jaka tam nieśmiertelność! Jedno z szeregu kłamstw: Wróg nie ma aż takiej władzy. Będzie kara śmierci, może długiej i w męce. Tagun podnosi rękę – po raz pierwszy od dawna porusza nią tak, jak sam chce – i dotyka radośnie piętna Ognia na swojej piersi. Przetrzymał wtedy, przetrzyma i teraz. Wie już znowu, po co.

Otwiera oczy. Tak, to rozprawa sądowa. Cudowne, zwyczajne światło wydobywa jednak nie tylko to, co Wróg by kazał widzieć swej ofierze, ale i wszystkie rzeczy nieistotne: zwyczajne ściany z szarozółtego kamienia, podłogę wyłożoną rudą cegłą, okno nieco krzywe. Za oknem prażą się w duszącym upale szarozółte skały: według opowieści pana Kri tak właśnie powinna wyglądać pustynia.

Tagun orientuje się teraz, że leży na podłodze, więc siada. Dir jest znów przed nim, ale tym razem nie ma już postaci Łowcy, tylko tę, w której Tagun spotkał go po raz pierwszy: przewodnika „Obcego”. Dookoła roje małp: Galgal-pa’asz oczywiście, srebrne futerka, ciemne twarze. Ale pod samą ścianą ze szpary wygląda mysz: nikt jej nie widzi, mysz wysuwa się ostrożnie i biegnie w kąt, gdzie leżą jakieś stare szmaty. Tagun uśmiecha się do niej. Śliczna, cudowna, prawdziwa mysz i cudowne, prawdziwe szmaty. Piękniejsze od pysznych obić i baldachimów, pod którymi niedawno siadywał przy Wrogu.

Powoli, jak ktoś, kto ma przed sobą mnóstwo czasu, zaczął się teraz zastanawiać, jak długo to właściwie wszystko trwało. Dni, tygodnie, lata? Dookoła panował rejwach zupełnie dla niego niezrozumiały: Galgal-pa’asz radzili w swoim języku, Dir wtrącał się rzadko i też tylko do nich. Nagle jednak przemówił po tanhidyjsku:

– Oddałem cię w ręce mojego ludu: niewątpliwie im się przydasz! Jednak za kilka miesięcy odwiedzę cię znowu i wtedy to zapadnie wyrok ostateczny.

Albo i nie, pomyślał Tagun. Już było kilka tych „ostatecznych” chwil. Wróg nie ma żadnej mocy, żadnej, żadnej! Trzeba jednak teraz zebrać myśli i siły, bo oto nie śmierć nadchodzi, ale kolejna faza zmagania: a coś ważnego zostało tutaj powiedziane, z czymś się bardzo istotnym nieprzyjaciel zdradził, jakiś swój sekret w zapale dowodzenia wydał...

Ach, to nic, że wygłodniałe zmysły rzucają się łapczywie na każde wrażenie i potęgują je stokrotnie: że każdy kamyk pod stopami rani, każdy krzyk rozdziera uszy. To nic, że szare małpiszony prowadzą go przez pustynię na sznurze, karmią skąpo, poją skąpiej jeszcze, biją i wyśmiewają. Tagun niesie teraz przez wrogi kraj skarb taki, jakiego

dotąd na całym świecie nie znalazł: usłyszane już wreszcie Tajemne Słowa.



Rozdział piąty

W małym kraju

Droga okazała się długa i bardzo męcząca. Pustynia wprawdzie skończyła się szybko, a zaczął się kraj zamieszkany, ale i w nim upał panował nie mniejszy niż na pustyni. Było to późną wiosną: jak brudna szczecina jeżyły się przy drodze zrudziałe już trawy, a twarde, ciemne liście drzew pokrywał kurz szary lub żółty. Tagunowi, urodzonemu w łagodnym klimacie Wyspy, ten upał dokuczał szczególnie boleśnie. Upał – i bezsens.

Bezsensowna była cała ta ziemia. Jak w Ut-mut, krajobrazem rządziły tu postrzępione grzebienie skalne, zataczające ogromne kręgi, czasem schodzące się blisko, czasem rozrzucone daleko od siebie, ale tak, że zawsze prędzej czy później wchodziły w drogę i nie pozwalały iść prosto w żadnym kierunku. Tylko że w Ut-mut od setek lat drążono w nich tunele: kilkadziesiąt kroków i już było się po drugiej stronie, a droga znowu wiała się tak ulubionymi przez Tmutów łagodnymi zakolami, zdążającymi bezbłędnie do celu. Tutaj natomiast każdy taki grzebień skalny należało objeżdżać całymi milami, po czym droga szła prosto, jakby kto sznurek przeciągnął, aż do następnej ściany, którą znów trzeba było mozolnie okrążyć, często przy tym zawracając daleko wstecz. Widocznie także i pojęcie celowości było dla Galgal-pa'asz rzeczą względną. Tagun cieszył się tylko, że nie rozumie nic z mowy małego Ludu, a przez to oszczędzone mu jest przynajmniej słuchanie bzdur; oglądanie tego wszystkiego, co robili i jak sobie radzili w drodze, zupełnie już wystarczało. Przekonał się tylko, że Delu Chwan kłamał, mówiąc że słowa „kiszba” nie ma w ich języku: było, i Galgal-pa'asz powtarzali je bezustannie, tyle że chłopiec nadal nie rozumiał jego znaczenia. Widać całkiem niechęć opowiedział wtedy na statku

zdarzenie, które rzeczywiście miało miejsce, i rozmowę, która się naprawdę odbyła.

Przez dłuższy czas nie potrafił się też zorientować, kim on sam jest obecnie dla małpiego Ludu. Jeńcem, zwierzęciem pociągowym, niewolnikiem do pracy, błaznem, gościem? Traktowany był coraz to inaczej, a w żaden sposób długo. Czasem, kiedy zaczynali nagle karmić go bez miary, nie był zupełnie pewny, czy go ostatecznie nie mają za coś w rodzaju tucznej sztuki bydła. Do jednego miasta wwożono go na wielbłądzie, niosąc dookoła zapalone pochodnie, a potem sadzano go u stołu między dostojnikami: siwe małpiszony, wykrzykując coś niezrozumiałego, służyły mu na wyścigi, a małe małpięta przychodziły uwieńczyć go kwiatami. Do następnego miasta wprowadzano go na powrozie, bijąc i popychając (był już cały posiniaczony), a na rynku zamykano go do klatki; potem coś pisano na tej klatce i ludność schodziła się gromadami, aby z niego szydzić, a małe małpięta ciskały wyschniętymi grudkami błota. Po jakimś miesiącu tej drogi Tagun zauważył jednak, że w tym wszystkim jest pewien rytm i ustalona kolejność nieodmiennie się powtarzająca. Wkrótce potrafił już przewidzieć każdy następny etap i doszedł do wniosku, że albo Galgalpa'asz po prostu naśladują na swój sposób to, co z nim robił Dir, albo mają w tym jakiś cel i usiłują na przykład przez dozowanie mu kolejno strachu i ulgi zachwiać nim i osłabić jego decyzję. Może i jedno, i drugie?

Poniekąd było to zresztą skuteczne; wprowadzie chłopiec nawet nie myślał o możliwości poddania się Wrogowi, ale ten kołowrót zmiennych doznań zmęczył go o wiele szybciej, niżby tego dokonało jednostajne złe traktowanie. Im dalej też posuwali się na północ, tym kraj był gęściej zamieszkany: osady były częstsze – a w każdej postój – więc i zmiany coraz częstsze. I dopiero teraz, kiedy już chłopiec ledwo ciągnął nogi za sobą, zaczęło się dziać tak jakoś, że zawsze małpie uprzejmości przypadają na drogę krótszą, a okrucieństwo na dłuższą.

Sam nawet wygląd ziemi nieco się zmienił – i to, jak można było się spodziewać, na jeszcze gorsze. Tu już prawie nie było swobodnej przyrody, nawet takiej, jaka ośmielała się w ogóle żyć w tym gorącym i suchym kraju. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rozciągały się albo uprawy (to znaczy o tej porze roku poszarzałe rżyska), albo jednostajna zabudowa miast i osad. Tagun uznał ją za najbrzydszą, jaką dotychczas oglądał. Nie było tu ani megnijskich spadzistych dachów, ani kopuł tmuckich, ani szerokich rzeźbionych fasad fingajskich. Domy były wszystkie jednakowe, absolutnie wszystkie: wysokie, o płaskich dachach, powieleły w nieskończoność kształt pudeł lub skrzyń takich, w jakich kupcy przewożą co delikatniejsze towary. Wszystkie miały też długie rzędy jednakowych małych okien, zawsze – gdy przechodził orszak prowadzący Taguna – pełne gapiących się twarzy. Po ilości tych twarzy w poszczególnych domach chłopiec zorientował się wkrótce, że

choć same budynki jeden od drugiego nie różniły się w całym kraju zupełnie niczym, jednak zamożni obywatele mieli w nich chyba więcej miejsca, ubodzy mniej. Najbogatsi posiadali zapewne cały gmach do własnego użytku; najbiedniejsi żyli tak stłoczeni, że czasem w jednym takim domu mieściła się ludność całej wioski.

Że ta przyprawiająca go o mdłości jednostajność nie była skutkiem przypadku ani łatwizny, ale czymś dla Galgal-pa'asz bardzo istotnym, Tagun przekonał się w połowie drogi, kiedy po raz pierwszy zobaczył roboty kamieniarskie na grzebieniu skalnym. Z daleka wyglądało to, jakby na szarozielonej padlinie kłębiły się muchy; ale łoskot tysięcy młotów i kilofów niósł się wiele mil wokół i Tagun był z początku pewien, że ma przed sobą po prostu kamieniołom. Im było bliżej, tym dziwniejszy mu się ten kamieniołom wydawał. Całe strumienie robotników posuwały się powoli do góry, wykuwając sobie stopnie w skale coraz wyżej i wyżej; tu i ówdzie doszli już do szczytu i kuli z kolei na nim, ale najwyraźniej bez żadnego planu, takiego przynajmniej, który by brał pod uwagę układ i żyły skał czy też jakość uzyskiwanego z nich budulca. Kaskady kamiennego gruzu spadały zewsząd, ale u dołu nie było widać żadnych przygotowań do pozbierania i wywiezienia tego, co odkuto. I nagle Tagun zrozumiał, że w tej pracy chodzi o coś zupełnie innego: chodzi tylko o zrównanie szczytu skały, żeby prostą, poziomą linią przypominał ohydłą architekturę małpiego Ludu. Żeby nie jeżył się swobodną, zębatą granią. Żeby się poddał i milczał.

– Kiszba, kiszba! – zakrzyknęli prowadzący go Galgal-pa'asz do grupy swoich rodaków, najwyraźniej nadzorców tej roboty, stojących w pewnej odległości od skały – Kiszba, kiszba! – odkrzyknęli tamci. Tagun, który powoli coraz więcej rozumiał z ich mowy, uśmiechnął się pogardliwie. To było właśnie w stylu tego ludu: krzyczeć głośno „Swoboda!”, a jednocześnie same nawet skały wtłaczać pod jarzmo. Chłopiec spojrzał do góry: teraz, będąc już blisko, zobaczył, że pracujący tam kamieniarze to nie Galgal-pa'asz, ale niewolnicy megnijscy, fingajscy i szentyjscy. Czy upał, zmęczenie i udręka odebrały im już wrażliwość, czy też cierpią nadal, jak musiałyby cierpieć wszystkie normalne istoty myślące z powodu bezsensu takiego mozołu?

A przecież wielu z nich oddawało nawet za ten bezsens życie. W ciągu krótkiego postoju pod tą pierwszą ścinaną skałą Tagun widział aż cztery śmiertelne wypadki: przemęczeni robotnicy dostawali zawrotu głowy i sypali się z wysokości jak skalne okruchy, jeden za drugim. Tuż blisko chłopca spadł długi, chudy Fingaj: prawie nagi, z piętrem niewoli na piersi, leżał w kałuży krwi splątany, bezkształtny, bezsensowny jak wszystko w tym kraju. Tagun wtedy po raz pierwszy się rozplakał. Natychmiast poczuł szarpnięcie za obrozę tak silne, że upadł i zdążył tylko uchwycić się z całej siły oburącz za linę. Tak go ciągnięto za

wielbłądem po kamienistej grudzie dobre kilkadziesiąt kroków; potem dopiero pozwolono mu wstać i dalej iść, a raczej wlec się, piechotą. Im dalej, tym byli okrutniejsi.

Na kilku następnych grzebieniach, które napotkali po drodze, praca była już posunięta daleko albo się całkiem kończyła, aż wreszcie weszli w kraj zupełnie już według pojęć Galgal-pa'asz uporządkowany. Pod wielkimi, równymi prostokątami skał stały małe, równe prostokąty domów. Wszystko szare, szarozółte, szarorude: skały, domy, ziemia. Zapewne i niebo także, ale w niebo Tagun nie patrzył. Ziało wciąż nieprzytomnym skwarem. W ogóle patrzył już wtedy głównie pod nogi, tyleż ze zmęczenia, co i z obrzydzenia.

Coraz częściej też widywał niewolników z innych ludów i z początku cieszył się na ich widok, bo ogarnęła go już straszna tęsknota za jedną, choćby jedną, życzliwą twarzą, za jedną choćby chwilą rozmowy z kimś bliskim, rozumiejącym i zrozumiałym. Ale przekonał się wkrótce, że Obcy niewolnicy w kraju Galgal-pa'asz żyli w takiej nędzy i poniżeniu, jakich przybysz z żadnej innej ziemi nie mógłby sobie nawet wyobrazić, póki by ich sam nie doznał. Wychudzeni, brudni, zwykle posiniaczeni też i pokrwawieni, zobojętniali na wszystko oprócz rozkazu i bata, mijali jeden drugiego z odwróconą twarzą, aby przypadkiem nie posądzono ich o spiskowanie. Marli też w takich warunkach jak muchy i wiecznie ich było za mało, toteż od dawna już obowiązywał zwyczaj, że każdy przyjezdny cudzoziemiec mający ze sobą służbę wydzierzawiał ją na czas pobytu zarządowi miasta do robót publicznych. Za tych, których by już żywych z powrotem nie dostał, otrzymywał odszkodowanie, i to dosyć spore; toteż zdarzało się nieraz, że kupcy przywozili do Bukry bezwartościowych już i starych niewolników po to właśnie, by w taki sposób jeszcze móc ich zbyć korzystnie.

Do Bukry Tagun dowłókł się pod koniec lata. Wyglądem nie różnił się już wtedy od innych niewolników, a wycieńczeniem dorównywał najbardziej wysłużonym. Nie wątpił, że jeżeli pociągną go gdzieś dalej jeszcze albo go pošlą do pracy, to już trzech dni nie przeżyje. Ale w Bukrze zamknięto go znowu do klatki na rynku i zorientował się wkrótce z urywków posłyszanych rozmów, że ma tam zostać na długo. Z początku był temu rad: wiedział, że to oznacza wprawdzie głód i pragnienie, upał we dnie i zimno w nocy, i przez cały niemal dzień dotkliwe złośliwości małpiej gawiedzi, ale przynajmniej zarazem i odpoczynek, którego potrzebował bardziej niż czegokolwiek innego. W miarę jednak upływu dni powoli zmieniał zdanie.

Rynek był bardzo duży, zawsze pełen kurzu i krzyku, zawsze zalany słońcem, które paliło i dusiło tak, jakby wynaleziono je umyślnie na czyjaś mękę. Od świtu do wczesnego przedpołudnia i potem po południu aż do zachodu pełen był przewalającej się ciżby. Tylko w najgorętszych godzinach pustoszał zupełnie, jeśli nie liczyć niewolników miejskich,

którzy właśnie wtedy musieli skrapiać go wodą. Wyłącznie też od nich, jeśli który ośmielił się podejść do skazańca, mógł Tagun dostać trochę wody do picia. Jedzenie – zwykle wpółzgniłe owoce lub jarzyny – rzucali mu Galgal-pa’asz pośród drwin i szyderstw, na ogół jednak była to strawa skąpa lub taka, której nawet pomimo głodu nie potrafił ruszyć. Jadł też zwykle dopiero wtedy, kiedy odeszli, bo i tak wrzał cały z gniewu na konieczność przyjmowania pokarmu z takich rąk i w taki sposób podawanego. Najgorsze jednak były same drwiny. Tagun rozumiał już dość dobrze małpią mowę, zresztą w tym wielkim porcie prawie wszyscy znali wiele języków, a przynajmniej kłąć i wymyślać potrafili w wielu. Złośliwość tych wymyślań przechodziła wszelkie pojęcie. Zwykle kilkunastu małpisonów siadało wokół klatki i powoli, obserwując uważnie Taguna, dopóty wymieniało uwagi na temat jego osoby, przypuszczalnego pochodzenia i dalszych losów, aż zobaczyli, że mu ręce drżą albo z oczu płyną łzy bezsilnego gniewu. Na ten widok wybuchali gromkim śmiechem i ustępowali miejsca innej gromadzie. Tagun poznał wtedy, co to jest nienawiść zrodzona z poczucia krzywdy i słabości. Po nocach trzął się tyleż z zimna, co z gniewu i z chęci odwetu. Och, gdybyż mógł – gdybyż mógł!

Powoli przychodziło jakby otępienie czy przyzwyczajenie: coraz lepiej panował nad sobą, coraz mniej – jak sądził – zwracał uwagę na złośliwość. Gniew w nim jednak nie malał, tylko się właśnie pogłębiał: zemsta, gdyby była w jego mocy, byłaby teraz jeszcze dłuższa i straszniejsza. Pod koniec czwartego tygodnia zaczął nawet umyślnie pokazywać swoim dręczycielom objawy złości, nad którymi umiał już zapanować, żeby prędzej mieli tę swoją podłą uciechę i poszli sobie. W braku lepszego odwetu rad był, że ich choć może czasami oszukać.

To wtedy właśnie pośród niewolników skrapiających rynek w południe zjawił się jakiś nowy. Był to wysoki, atletycznie zbudowany Megnita, dość już chudy, o ile Tagun mógł widzieć z daleka, ale żyłasty i wyjątkowo silny: unosił z łatwością największe dzbany, pod którymi uginali się nawet Wehowie. Musiał to być prywatny niewolnik jakiegoś przybysza, wydzierzawiony tylko miastu na czas pobytu; zapewne też jego pan dożywał go po cichu, nie chcąc go stracić, i to tłumaczyło jego siły. Taguna zainteresował ten nowy, ponieważ od kogoś takiego najprędzej można się było spodziewać obfitszego chluśnięcia wodą w podstawione ręce. Ale siłacz pierwszego dnia nie zbliżył się ani razu do klatki ani też nie lał, jak inni, przyniesionej przez siebie wody na bruk rynku, tylko przelewał ją za każdym razem do świeżo opróżnionego dzbana któregoś z towarzyszy, po czym biegł znowu do studni. Nadzorca tej roboty, stary Galgali, senny i wściekły o tej godzinie jak każdy, kto musi pracować, kiedy inni odpoczywają, z początku podniósł rwetes o taki sposób pracy, niewidywany dotychczas w żadnym mieście w całym Kraju Równikowym. Do Taguna co chwila dochodziło

wywrzaskiwane przez niego słowo: kiszba – tak, oczywiście, małpia swoboda sprzeciwiała się nadmiernej celowości działania. Chłopiec widział, jak nadzorca okłada batem Megnitę; ten jednak nie wydawał się zbyt przejęty karą, ale klęcząc (i tak zresztą górował jeszcze głową nad rozwścieczonym małpiszonem) coś mu cierpliwie przedkładał. Po chwili razy ustały, niewolnik podniósł się i podjął przerwana pracę tak samo, jak ją przedtem rozpoczął. Słońce prażyło okrutnie i widać o tej godzinie nawet święta „kiszba” musiała ustąpić przed perspektywą znalezienia się w domu o jakieś pół godziny wcześniej.

Rzeczywiście robota poszła teraz prędko, gdyż Megnita namówił paru towarzyszy do pójścia za swoim przykładem, reszta zaś tym gorliwiej i szybciej krążyła po placu. Tagunowi kilku niewolników po kolei wlało po trochę wody na ręce, tak że się po raz pierwszy od dawna napił do syta. Dzięki temu też po raz pierwszy zasnął w południe i nawet śnił o Wyspie, dopóki go nie poderwały szturchańce: to grupa małp, tym razem zupełnie małych, budziła swoją ofiarę za pomocą długiego kija, żeby móc rozpocząć popołudniowe dręczenie.

Następnego dnia Tagun już od rana czekał na porę spiekoty jak na jakieś doniosłe wydarzenie: coś się wreszcie zmieniło w tym potwornym kołowrotku, coś idzie w inną stronę niż dotychczas. Może na krótko, ale zawsze! Megnita nie zawiódł tych oczekowań. Przesunął miejsce rozlewania przynoszonej wody o pół drogi między klatką Taguna a wylotem ulicy Studziennej; nadzorca jakoś na to nie zwrócił uwagi. Megnita zresztą wyraźnie objął komendę, a że i pracował przy tym za trzech, inni niewolnicy słuchali go bez szemrania. Pod koniec tej roboty Tagun, już zresztą napojony obficie, zauważył jakieś zamieszanie wśród pracujących; znowu Megnita pod batem tłumaczył coś nadzorcy, i znowu nadzorca po wyładowaniu wściekłości ustąpił. Do klatki podeszło kilku niewolników z dzbanami pełnymi wody.

– No, mały – powiedział jeden z nich niemal wesoło – kazał nam zmyć i tu także.

I chlusnęli do wnętrza, dzban za dzbanem. Tagun z rozkoszą podsunął się pod ten niespodziewany prysznic. Patrzył potem niedowierzając na czystą, świeżą podłogę: gdzieś do rynsztoków spłynął cały brud i zwały gnijących resztek, którymi w niego rzucano, a nie było jak ich się pozbyć. Widocznie Megnita przekonał nadzorcę, że ich wstrętna woń jest jedną z nieczystości, które z placu należy usunąć.

Tej nocy Tagun nie spał prawie wcale, rozdarty między zwykłe swoje próżne marzenia o zemście (jakoś wyjątkowo dotkliwie odczuł po południu złośliwość małp) a równie próżne marzenia o odwdzięczeniu się kiedyś temu Megnicie. Nie widział nawet dotąd z bliska jego twarzy, zawsze ukrytej za niesionym na ramieniu dzbanem, ale nigdy jeszcze dla nikogo nie czuł tyle rozpaczliwej wdzięczności. Żarliwie przyzywał na jego głowę wszystkie błogosławieństwa Południa i nie mógł – po raz

pierwszy odkąd przebywał w Galgal-Mubara – doczekać się ranka. Czuł, że to wszystko nie może trwać długo, że najpewniej skończy się już dzisiaj, ale pomimo wszystko miał nadzieję, że uda mu się jeszcze zobaczyć choćby przez chwilę swego dobroczyńcę i zapamiętać jego rysy.

Wszystkie te przewidywania spełniły się jak najdokładniej. Kiedy rząd niewolników niosących dzbany wkroczył na opustoszały plac, Megnita szedł znów na ich czele, ale tym razem nie zatrzymał się, jak poprzedniego dnia, w połowie drogi, tylko doprowadził gromadę aż pod samą klatkę. Tagun usłyszał jego głos:

– Stąd ci, którzy skrapiają, będą mieli wszyscy równie blisko.

I wtedy zza zdjętego z ramienia dzbana ukazała się wreszcie twarz – może ostatnia, jaką Tagun spodziewałby się tam ujrzeć, gdyby miał wybrać spośród znajomych twarzy: króla Kanuma.

Tagun zdołał wprawdzie powstrzymać okrzyk zdumienia, ale to chyba dlatego, że jeszcze nie wierzył własnym oczom. Kanuma widział raz jeden, w świętej pieczarze: siedzącego na najwyższym tronie, w białej kosztownej szacie, która otulała go tak szczelnie, że tylko twarz i dłonie były widoczne – no i ogromny wzrost. Tu miał przed sobą niewolnika, ubranego w szmatę okręconą na biodrach i drugą na głowie, z wypalonym piętnem na piersi i czerwonymi pręgami od razów na bokach; ale jednak twarz była ta sama, wyniosła i wesoła zarazem, te same oczy, w których przenikliwość łączyła się z beztroską, i ruchy te same, lekkie i czujne pomimo ponizenia i zmęczenia. Cokolwiek mogło zagnać go w tę biedę: przegrana wojna, przewrót jakiś czy rozbicie się okrętu – widać było, że nawet w takiej doli panuje nad sytuacją, a już w każdym razie nad sobą.

Na Taguna chwilowo nie zwrócił żadnej uwagi: udaje czy rzeczywiście nie poznaje? Trudno zresztą było wdawać się w rozmowę, bo i robota nagliła, i nadzorca rozsiadł się tuż obok, w cieniu klatki, korzystając z tego, że od wczoraj powietrze wokół niej było już czyste. Kanum tego dnia zdawał się jeszcze silniejszy i energiczniejszy niż przedtem. Z każdym dzbanem biegł pędem w obie strony; czasem nie czekał nawet, aż niewolnik, który już swoją wodę wychłapał, podejdzie z pustym naczyniem, ale mu ruszał naprzeciw. W ten sposób bezustannie przechodził koło klatki, to z tej, to z innej strony. Nadzorca zachrapał z cicha... Kanum w przelocie chlusnął do wnętrza i szepnął:

– Strzeż się: już prawie mają twoje serce.

Pod ciosem tego oskarżenia chłopiec dosłownie się zachwiał. Odczuł je jako szczyt niesprawiedliwości i chciał to powiedzieć natychmiast, ale nie było komu, bo Kanum już się oddalił. Zanim wrócił, Tagun doszedł do wniosku, że lepiej nic nie mówić, bo tamten mógłby się obrazić i odejść gdzieś dalej, a wtedy byłoby jeszcze gorzej. Oto już wraca ze swoim dzbanem, jest coraz bliżej. Co teraz powie?

Któryś Weha podszedł do klatki z pustym naczyniem. Kanum przelał

wodę i zatrzymał się na chwilę po odejściu tamtego.

– Kiszba-haruk – rzucił. – Myśmy dawniej takich wykupywali. Dlatego w końcu zamknięto przed nami granice.

I już go znowu nie było. Kiszba-haruk? Ofiara swobody? Tagun nic z tego nie rozumiał, toteż tym bardziej czekał na następne słowa. Usłyszał jednak tylko:

– Wydostać się nie mogłem, przyjechałem ostrzec. Żegnaj!

Nadzorca poruszył się za klatką, Kanum odbiegł. Koniec. Koniec. Och, lepiej było nie oglądać przyjaznej twarzy, niż zobaczyć i stracić tak szybko!

Okazało się jednak niebawem, że to jeszcze nie całkiem był koniec. Nadzorca (który zresztą rozbudził się właśnie i spędził resztę czasu na kwiecistym złorzeczeniu Tagunowi) miał jeszcze coś do zarządzenia, chyba po prostu po to, żeby nie było wątpliwości, kto tu ma ostatnie słowo. Po skończonej robocie wezwał do siebie Kanuma i spytał:

– Więc to już jutro twój pan odjeżdża i zabiera cię ze sobą?

– Tak – odpowiedział tamten. – Według umowy powinienem do niego wrócić dzisiaj, teraz.

– Wrócisz jutro. Szarogęsiłeś mi się tutaj, jakbyś zupełnie nie rozumiał, kim jesteś! Czas do jutra spędzisz w tej klatce. Wchodzić!

Kanum parsknął śmiechem, za co natychmiast dostał batem przez twarz, ale stary Galgali widocznie zanadto śpieszył się do domu, żeby urządzić jakąś większą egzekucję. Zamknął tylko starannie klatkę i odmaszerował w całej chwale swej odzyskanej godności, a niewolnicy za nim. Kanum rzekł, rozcierając policzek:

– No i tak, dzięki niech będą Głębi Południa, możemy przynajmniej swobodnie porozmawiać!

Tagun szepnął z niedowierzaniem:

– Więc naprawdę przyjechałeś tutaj do mnie, królu?

– Tak. Od kilku tygodni szukam cię po wszystkich większych miastach kraju. Byłbym tu już wcześniej, ale mojego Feinu długo nie było na Megni i musiałem czekać.

– Gdybyś przyjechał wcześniej, tobyś mnie nie znalazł. Trzymano mnie na pustyni, długo... nie wiem, jak długo. Tu jestem dopiero od niedawna.

– Wiem. Mój Feinu jest nieoceniony: nie tylko świetnie gra mojego pana, ale i zbiera dla mnie wiadomości... i o tobie, i różne inne jeszcze. Sam zresztą też wiele widziałem, czego mój wywiad dotąd mi nie doniósł. Czemu tak patrzysz na mnie? Myślisz, że to sen?

– A to? – zapytał Tagun, wskazując na jego niewolnicze piętno. Kanum roześmiał się znowu.

– Stara historia – powiedział – bo to nie pierwsza moja wyprawa w tej strony. Widzisz, mnie czasem ciasno bywa w świętym Larri, więc zdarza się, że jeśli jest coś ważnego do załatwienia gdzie indziej, to nie posyłam

sługi, jak wszyscy uczciwi królowie, tylko sam jadę... Nikt o tym oczywiście nie wie oprócz mojego feineńskiego przyjaciela, a ten mi jest tak oddany, że gotów od czasu do czasu zaryzykować własny łeb przy moim... w rozsądnych granicach. Niestety w tych granicach nie mieści się uprowadzanie kogokolwiek z Galgal-Mubara, bo tego to już on się zanadto boi, i przed wyjazdem muszę mu obiecywać, że takich rzeczy nie będę próbował. Dlatego w ucieczce pomóc ci nie mogę... jak i wykupić nie mogłem...

– To po co ryzykowałeś tyle, na przegraną?

– Musiałem do ciebie dotrzeć! Słuchaj, Tagunie... cokolwiek warte są twoje widzenia, jednego jestem już od dawna pewien: żeś nie oszust, wbrew temu, co, przyznaję, sądziłem na początku. A los wszystkich uczciwych istot myślących w Galgal-Mubara może być dwójaki: śmierć z wycieńczenia w niewolniczej pracy albo kiszba-haruk. W twoim wypadku to drugie było prawdopodobniejsze, bo słusznie czy niesłusznie, niesiesz ze sobą przez morza i lądy sławę kogoś, kto cieszy się szczególną łaską Południa: więc łatwo było przewidzieć, że przede wszystkim zapragną złamać ci serce. Wiesz już, co to jest kiszba?

– Ich pozdrowienie. Znaczący „swoboda”, a rozumieją przez to chyba głównie bezsensowny sposób postępowania.

– Nie tylko to! Kiszba to również zasada ich rządów: zasada, że każdy obywatel musi mieć kogoś słabszego od siebie, na kim by mógł swobodnie wyładowywać złość, zwłaszcza kiedy sam doznał krzywdy od silniejszych. Bogaci mają do tego własnych niewolników, dla biednych stawia się na rynku jedną taką ofiarę kupioną na koszt państwa. Marynarz, którego skłął szyper, przekupka, którą zwymyślali nadzorcy targu, dzieci ukarane przez nauczyciela w szkole mają prawo, a nawet obowiązek wyładować złość na tobie: bo wtedy władca ma pewność, że ta złość nigdy nie wybuchnie buntem.

Tagun zacisnął pięści.

– Ohydne prawo! – wykrzyknął.

– Masz pełną rację. Ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy taka ofiara dojdzie już do tego, że tak jak ty ścisną pięści i marzy o odwecie – bard jestem, widzę! – proponują jej służbę w swych Cudzoziemskich Oddziałach. Tam odtąd będzie mścić się, nie na nich oczywiście, tylko na ich wrogach. I nie ma na całym świecie wojsk tak okrutnych i barbarzyńskich jak te oddziały.

– Przecież to nie wszystko jedno, na kim się pomścić!

– Dla ciebie w tej chwili jeszcze nie, ale już niedługo będzie i dla ciebie, jak dla nich, wszystko jedno: a w każdym razie może być. Setki nieszczęśników poszły tą drogą, odkąd nam uniemożliwiono wykupywanie ich stąd. Dlatego... i ponieważ my na świętej Górze wtykamy bezustannie nos w nie swoje sprawy i usiłujemy pomimo wszystko ratować, co się da, podjąłem całą tę drogę, żeby cię

przynajmniej ostrzec. Bo masz w sobie dość siły do odparcia ataku, bylebyś wiedział, skąd nadchodzi. I widzę już, że się nie na darmo trudził.

Tagun milczał. Już nie wątpił, że Kanum ma rację, tylko jeszcze tego nie potrafił głośno przyznać. Król zresztą nie żądał ani nawet nie oczekiwał takiego wyznania. Przez resztę czasu, jaki im jeszcze pozostał do końca południowej sjeisty małego Ludu, opowiadał chłopcu po prostu różne swoje przygody w tym kraju i w innych. Potem, gdy już dokoła klatki zebrała się jak zwykle grupa dręczycieli, szeptał cicho:

– Patrz na tego grubego z prawej... On sprzedaje cebulę w porcie. Dziś pchnięto go do wody z całym towarem, no i ryby dostały wszystko. Dlatego taki wściekły. To zresztą było umyślnie, a choćby i nie było, nie potrafiłby w to uwierzyć... Taki ich świat. Ten mały obok niego: to żołnierz, dziś szef kompanii znowu go zmieszał z błotem za to, że nie dość wysoko skacze. Tym bardziej nienawidzi wszystkich roślejszych od siebie, więc i nas. Taki ich świat. Ta zachrypnięta z prawej: pobiła się z sąsiadką i okazała się słabsza: musiała tamtej ustąpić jak niepyszna, dlatego tu przyszła...

Tagun miał wrażenie, że jeszcze raz podają mu świeżą wodę, obmywają go w niej, kąpią w świetle. Jego dręczycieli nikt nie próbował obmyć, może zresztą próbował, tylko nie przyjęli; nieszczęśliwi byli od niego, bo nosili to nieszczęście w sobie.

Kanum nie czekał rana: wyszedł z klatki po zmroku w jakiś sobie tylko wiadomy sposób. Ale tej nocy po raz pierwszy od tygodni Tagun podjął znowu Oczekiwanie, przerwane wtedy, kiedy ostatecznie zawładnęły nim poczucie krzywdy i wściekłości.



Rozdział szósty

Droga do Nahidene

Natychmiast po powrocie do Larri Kanum zebrał swoją radę wojenną. Wyjaśnił sprawę krótko, nie tłumacząc, kto i kiedy mu doniósł (z pominięciem obecnego na radzie szefa wywiadu) o przygotowaniach małego Ludu do jakiejś zbrojnej wyprawy.

– O ile mogę osądzić z zebranych wiadomości – mówił – są to dopiero początki przygotowań i ta wyprawa zapewne nie ruszy ani w tym, ani nawet w następnym roku. Niemniej stwierdzono ponad wszelką wątpliwość szereg poczynań, które mogą mieć na celu tylko jedno: wojnę. Być może, iż małpi Lud chce złamać swój rozejm z Tmutami i zagarnąć część ich terytorium, gdy tylko okaże się jasne, że Kneh zaawanturował się za daleko na wschód; być może, iż flota, którą usilnie zbierają, ma im posłużyć do równoczesnego ataku na Ut-mut od morza i lądu. W każdym razie już teraz mają znów prawie tyle łodzi bojowych, ile im Tmutowie rozbili pod Szarbą dwadzieścia siedem lat temu, i najwyraźniej nie zamierzają na tym poprzestać. Cokolwiek ma być głównym celem ich ataku, jest też możliwe, że przy okazji złakomią się na Adongo, jak to już raz miało miejsce za czasów wielkiego Kamego. Naszą rzeczą jest teraz przygotować obronę, i to nie tylko samego Adongo, ale i wszystkich miast w kraju, a zwłaszcza świętego Larri: bo i to niewykluczone, że w swej rosnącej nienawiści do nas pokuszą się o atak na nie, a nawet że właśnie ten atak jest głównym ich zamysłem.

W radzie wojennej nie brali oczywiście udziału bardowie oprócz samego króla; ale Nuno, zawiadomiony o powrocie przyjaciela, czekał już na niego w przyległej sali. Podczas gdy Kanum podpisywał jeszcze jakieś listy, Nehi, obecnie już współrządca ojca (i regent podczas jego nieobecności) zjawił się pierwszy i zaczął opowiadać bardowi o planach

wzmocnienia obronności Larri przed spodziewanym atakiem małpiego Ludu. Nuno słuchał tego wszystkiego z pewnym zażenowaniem – żeby już nie powiedzieć niesmakiem. W głębi duszy sądził zawsze, o czym zresztą Kanum wiedział, że łączenie władzy królewskiej z urzędem Najwyższego Barda nie jest właściwe. Ale cały ród Kamego był taki właśnie: pieśni i walki zarówno potrzebowali, żeby żyć, a wystarczyło ich na jedno i drugie.

Czego jeszcze potrzebowali synowie Kamego i jak mało on sam znał ich dotąd mimo długoletniej serdecznej przyjaźni z królem, miał się przekonać za chwilę ku swemu szczeremu przerażeniu. Kanum wkroczył na salę przychudły nieco, ale po dawnemu pełen energii i siły; usiadł na sofie, synowi wskazał miejsce obok siebie i w odpowiedzi na pokłon przyjaciela rzekł:

– Witaj, Nuno. Mam zamiar wykluczyć cię z Bractwa. Traktuj to jako formalne ostrzeżenie.

Roześmiał się na widok jego przerażonej miny i ciągnął:

– Zaraz omówimy sprawę i myślę, że pod koniec rozmowy będę już ci mógł wręczyć wyrok wykluczenia: ot, tutaj jest, gotowy i podpisany. Słuchaj teraz uważnie: byłem w Bukrze, widziałem Taguna.

– W jaki sposób? – wykrzyknął Nuno. Nawet niewytłumaczalny pomysł króla dotyczący jego samego schodził na dalszy plan wobec tej wiadomości.

– Ano sprzedałem się do niewoli Wahiniemu synowi Keikego. Na dwa miesiące, mocą spisanej umowy. Cały królewski tłuszczyk wypociłem w tej niewoli, ale Wahini się jeszcze gorzej pocił. Nie grzeszy biedaczysko nadmiarem odwagi. Tośmy się i przejechali po Galgal-Mubara wzdłuż i wszerz... I widziałem chłopca. Jest kiszba-haruk, oczywiście, i już z nim było niedobrze, ale myślę, że jeszcze jakiś czas wytrzyma.

– A mnie nie zabrałeś, ojcze! – jęknął Nehi.

– Dorośnij najpierw, to sam będziesz wiedział, kiedy można i warto karku nadstawić.

– Ale Tagun? Tagun? – pytał niecierpliwie Nuno.

– Taguna oczywiście trzeba stamtąd wykraść. Nie, Nehi! Żadnej już teraz zamiany, raz dlatego, że ty nie masz jeszcze jego hartu i nie wytrzymałbyś połowy tego, co on potrafi wytrzymać; a po drugie nie jesteście już teraz aż tak podobni do siebie jak trzy lata temu. On wyrósł bardziej i tak jest wyniszczony niewolą, że musiałbyś na rok iść do portu na tragarza, żeby mu dorównać. Tymczasem my musimy po niego ruszać zaraz, jeszcze przed zimą.

– Ale Wahini popłynął już do Kamgany – powiedział Nuno. – Wiem, bo był u mnie jego sługa po listy do tmuckich bardów.

– Wahini nam tu na nic, bo on ilekroć zgadza się mnie zabrać (tak, tak, nie otwierajcie tak oczu, to już nie pierwszy raz było), wymaga najpierw obietnicy, że nie będę próbował nikogo stamtąd porywać.

Potrzebny nam jest inny kupiec, odważniejszy, i już go sobie upatrzyłem: niejaki Nuno, niegdyś bard, obecnie zaś po wykluczeniu kramarz. Podejrzewam przy tym, że dosyć kiepski kramarz, i że więcej na tej wyprawie straci, niż zarobi; ale przynajmniej ktoś, kto aż się pali, żeby jechać!

Była to prawda i nieprawda zarazem. Dla Nuna nie było ważniejszej sprawy niż ratowanie Taguna: gotów był na to poświęcić majątek i nawet życie, ale jak dotąd, nie był gotów poświęcić imienia i stopnia Wielkiego Barda. Przy tym, chociaż już podróżował wiele, czuł (jak każda istota wyniosła i nieśmiała zarazem) wstręt i strach przed trybem życia złożonym z ciągłych rozmów, zachodów, zabiegów. Chętnie by jechał choćby i na koniec świata, ale jako pasażer, który płaci i wymaga, a drobnymi codziennymi decyzjami nie musi już sobie zaprzętać głowy. Chętnie by dał się ograbić lub nawet zabić w słusznej sprawie, ale biernie, bez konieczności prowadzenia walki, zwłaszcza obcy sobie dotąd sposobami. Jakże on zdoła przekonywająco kupczyć? Wystawi się tylko na drwiny!

Niemniej nie wątpił ani chwili, że Kanum ma rację. Tu był potrzebny ktoś oddany całym sercem celowi wyprawy – ktoś przy tym, kto by mógł uczciwie twierdzić, że bardem nie jest, ale kto by zarazem znał wtajemniczenie Wielkich Bardów. Rzecz bowiem trzeba było tak przeprowadzić, aby przy tym nie skrzywdzić żadnej istoty żywej: inaczej larryjscy bardowie odrzuciliby z góry, tym razem zgodnie i nieodwołalnie, wszelkie nauki Taguna.

Nuno uśmiechnął się z wysiłkiem i żeby pokryć żartem swe obawy, zapytał:

– A czy ja także mam cię kupić?

– Oczywiście – odpowiedział król poważnie. – To już też przygotowałem: ta druga karta. To nie zabawa, Nuno: to jest i musi być prawda, inaczej nie mielibyśmy prawa mówić o sobie „kupiec” i „niewolnik”.

I nagle znowu zaśmiał się pomimo wszystko:

– Wahini nie miał powodu narzekać na mnie... a i ty jeszcześ nie miał takiego sługi, jakiego teraz kupujesz!

Potem omawiali dokładnie rodzaj towaru i inne przygotowania. W pewnej chwili król rzekł:

– Jeszcze musisz ustalić swój znak kupiecki. Tam takie prawo, że cokolwiek przywozisz, choćbyś nawet tego nie miał sprzedać, powinno być znaczone. Narysuj coś prostego.

Nuno wyciągnął z zanadrza tabliczkę i rylec.

– Niech będzie tak, ot... trzy poziome kreski, malejące do dołu, wpisane w trójkąt.

– W trójkąt nie, bo to byłby znak feineński. Nasi kupcy wpisują w koło. Dobrze... Tylko już teraz pamiętaj, nie zmieniaj tego! I cały

towar tak oznacz.

Wolał na razie nie mówić przyjacielowi, że powodzenie wyprawy wymaga, żeby on sam przy posiadanym już na skórze starym znaku miał jeszcze także ten drugi.

Tego wieczoru Nuno opuścił Larri, aby w Adongo przygotować się do wyprawy... a także by nie słyszeć, co mówią w kręgach świątyni o jego nagłym wykluczeniu z Bractwa. Szedł pieszo, w towarzystwie jednego tylko sługi. Było już po północy, gdy dochodzili do Kom. Kije stukały o grudę, na kamieniach bielił się jesienny szron, zapowiedź rychłego śniegu. W Kom dawno już pozamykano wszelkie gospody, zresztą Nuno nie chciał nocować; pełen niepokoju i troski, rozdarty między sprzeczne pragnienia czuł, że potrzebuje dużego wysiłku mięśni, żeby się wyładować i opanować. Miał więc zamiar iść pieszo aż do Jami, gdzie spodziewał się stanąć około południa i znaleźć najemną lektykę. Teraz, nocą, obaj ze sługą potrzebowali tylko napić się w Kom grzanej bengi, aby móc znieść Oddech Nocny – lekki wiatr, dobrze znany spóźnionym pielgrzymom, tak delikatny, że szat nawet nie poruszał, ale tak mroźny, że okładał twarz jak lodem.

Nuno zapukał więc do pierwszej z brzegu gospody. Długo musiał się dobijać, nim wreszcie kogoś obudził, a wtedy przez zamknięte drzwi padło najpierw ostrożne pytanie:

– Kto taki?

– Bard – chciał odpowiedzieć Nuno z przyzwyczajenia, ale się w porę powstrzymał. Właśnie: kim jest? Bo przecież Kanum nie obiecywał mu wcale, że go przyjmie do Bractwa z powrotem: to byłby pierwszy taki wypadek w całej dotychczasowej historii Bardów. Było zupełnie możliwe, że on, Nuno, poświęcił już nieodwołalnie to wszystko, czym dotąd żył. Ale co odpowiedzieć teraz gospodarzowi zajazdu? Pokutnik? Nie, bo mu żadnej pokuty nieznaczono. Kupiec też jeszcze nie. Ani nie pielgrzym. Więc kto?

– Przechodzień – odrzekł wreszcie. – I nie chcę nocować: zagrzej nam tylko dwa kubki bengi, a pójdziemy sobie.

– Tu jest gospoda dla pielgrzymów, a nie karczma – odpowiedział tamten zza drzwi. Może to krótkie wahanie Nuna usposobiło go podejrzliwie; w każdym razie usłyszeli, jak oddala się, szurając nogami w ciemnej sieni. Zapadła cisza.

Nuno, który dotychczas od wczesnej młodości był zawsze i wszędzie gościem uprzywilejowanym, gorliwie obsługiwanym w pierwszej kolejności, potrzebował dobrych paru chwil na to, żeby zrozumieć, że został całkiem po prostu odpędzony spod tych drzwi. Patrzył ze zdumieniem najpierw na nie, a potem na świecące obojętnie gwiazdy: te już nieraz widziały odprawę nocnego wędrowca i nie miały się czemu dziwić. W tej chwili dopiero Nuno w pełni zdał sobie sprawę, jak bardzo rzeczywistością, a nie maskaradą jest to, co wziął na siebie w szalonej

nadziei na odzyskanie nadziei. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że pomyślał wtedy z szacunkiem o Kanumie, który wziął na siebie rolę jeszcze trudniejszą, chociaż nadziei nie szukał.

A Kanum właśnie wtedy znad świeżej rany wołał z jękiem:

– Panie Ognia, Wicherze Południowy, jeżeli słyszysz, jeżeli żyjesz, przyjdź z mocą!

I długo tak wołał w wielkiej ciszy.

Nuno pukał następnie jeszcze do czterech gospód z tym samym skutkiem. Dopiero właściciel piątej dał się ubłagać i podał im napój przez okno, ale kazał im najpierw zapłacić z góry, a kiedy pili, burczał ze złością pod nosem coś wysoce niepochlebnego na temat podejrzanych włóczęgów. Nuna konieczność przyjęcia takiej usługi upokorzyła jeszcze bardziej niż poprzednie odmowy. Wypił jednak milcząc (bardowie nigdy nie podejmowali kłótni), oddał kubek i poszedł w dół ulicą, myśląc, że nic mu ten napój nie pomógł i że ma już zupełnie dość pieszej wędrówki. Czekać jednakże na dworze do świtu znaczyłoby zmarznąć na kość. Nuno Lagmi Wielki Bard mógłby zapukać gdziekolwiek i zostałby niewątpliwie przyjęty. Nuno Lagmi podejrzany włóczęga wołał nie ryzykować jeszcze jednej odprawy i musiał ruszać w dalszą drogę.

Wyszli z Kom i zagłębili się w ostatni już, najniższy tunel. Sługa zapalił kaganek i szedł przodem, oświetlając schody. Nuno, który co roku po wielekroć chodził tędy, właśnie tym razem jakoś szczególnie wyraźnie przypomniał sobie wędrówkę sprzed trzech lat, kiedy to w przeddzień zimowego Święta szli w grupie pielgrzymów z Tagunem, a śnieżna wichura srożyła się dookoła z taką siłą, że wdarła się nawet do jego myśli... I nagle – czyżby znowu taki sam atak? – przyszła na niego jasna świadomość, ba, całkowita pewność, że to, co stracił, stracił już nieodwołalnie; że nigdy więcej nie zobaczy świętego miasta ani góry, swoich najbliższych ani domu, swojego świata, uczniów, ksiąg... Że ich już żegna jak umierający i odchodzi – dokąd? Chyba w bramę śmierci.

Zatrzymał się. Nie żeby chciał zawrócić, ale z bólu, który ogarnął go nagle: ten ból, którego nie zna nikt żyjący, a wspominają jedynie umarli. Ból ostatecznego przejścia. Nuno zatoczył się, oparł o ścianę, osunął na ziemię. Nie umiał później powiedzieć, ani jak długo to trwało, ani czy cierpiał tylko w sercu, czy też naprawdę całe ciało uległo tej śmiertelnej udreće. Wiedział tylko i całą siłą myśli trzymał się tego jednego: że on, szaleniec albo właśnie mędrzec, szaleńczy (lub mędrszy) nad wszystkich na ziemi, nie chce już i nie może zrobić niczego innego, jak tylko zgodzić się na własną śmierć, przyjąć ją w całości, i tak się tej decyzji uchwycić, że choćby mu i siłą wkładano do ręki życie, stokroć nawet bogatsze i piękniejsze niż to, które teraz kończy, jeszcze by je odsunął i poszedł – do Nahidene...

Przerażony sługa klęczał nad nim, bezskutecznie usiłując poruszyć z ziemi zeszywniałe i jakby skamieniałe ciężarem ciała swego pana.

A jemu jakiś ogromny chór, z wnętrza samej świętej Góry idący i podchodzący ciemnymi korytarzami coraz bliżej, śpiewał prastarą pieśń feineńskich żeglarzy:

Nahidene! Nahidene!

I wtedy nagle ból zmienił się w świadomość wyzwolenia: tego pełnego i ostatecznego wyzwolenia, które wspomina się po tamtej stronie bramy, a po tej przeczuwa zaledwie. Był nadal sobą, ale nie należał już do nikogo i do niczego, nawet do siebie. Był nadal ten sam i taki sam jak przedtem: żarliwy i niepewny, wyniosły i nieśmiały – ale taki, jaki był, należał już tylko do jednego: do drogi, która była przed nim.

Podniósł się i wyszedł z tunelu w szarzejący już na zewnątrz świt. Także i Kanum powstał z ziemi w martwej ciszy brzasku. Nie przyszedł wielki wiatr, nie było znaku. Może Pana Południa nie ma; a może jest on jak dobry dowódca, który nie zużywa niepotrzebnie sił żołnierzy i nie wysyła podjazdów tam, gdzie nie potrzeba. Bo przecież wiadomo, że ze znakiem czy bez znaku i tak pójdę...

I poszli obaj, i wyruszyli ładowną łodzią do Bukry: kupiec i jego sługa. Były to już ostatnie tygodnie żeglugi przed zimą, dotarli jednak bez trudu do Galgal-Mubara i – nie znaleźli Taguna. Kanum, znający w Bunkrze wielu niewolników, zdołał się od nich wywiedzieć, że chłopca zabrano gdzieś w morze. Tymczasem jednak jesienne sztormy musiały się już zacząć wokół Megni: pozostawało płynąć wzdłuż wybrzeża do Utmut i tam zimować, gdyż spędzanie święta w Galgal-Mubara było wykluczone. Ruszyli więc z kolei do Lhed, gdzie spodziewali się znaleźć gościnność braci i skąd by mogli wracać wiosną do Adongo – o ile oczywiście po drodze nie wpadną gdzieś przypadkiem na ślad Taguna.

Tak w każdym razie planował król Kanum, ale Nuno uśmiechał się tylko i milczał. On wiedział, że już na Megni nie wróci.

Nie wrócił. Gdy okrążali przylądek Szarba, spadł na nich nagle północny huragan. Przez kilkanaście dni ich statek pędził w nieznaną po oszalącej głębiny, przez kilkanaście dni miotali się między nadzieją a rozpaczą, między białymi grzebieniami fal a otchłannymi przepaściami wodnych dolin. Kanum, sługa, wśród innych marynarzy naciągał zerwane liny, póki jeszcze mieli maszty, i stał przy sterze, póki jeszcze mieli ster. Nuno, kupiec, stał na dziobie i patrzył na południe.

Wreszcie ich pokruszona łupina zatoneła, wpadłszy na jakąś rafę. Kilkunastu żeglarzy i obaj bardowie uratowali się jednak: rafa była najdalszym krańcem podkowiastego atolu, którego prawie połowa tworzyła wąską wysepkę. Palmy tam chwiały kitami i stały jakieś budy albo chaty; na gładkiej wodzie zatoki kołysały się wąskie łódki. Nuno patrzył i dziwił się. Przez kilkanaście dni myślał, że to już, że ich ta wichura zagoni na sam kraniec południa i poza ten kraniec. Tymczasem

mogło być jeszcze daleko i długo... I rzeczywiście miało być jeszcze daleko i długo, ale któż wie, gdzie naprawdę znajduje się Nahidene?

Nie na północy, gdzie mały Nehi na próżno wypatruje ojca, ale zarazem i marzy o samodzielnym odparciu oczekiwanego wroga; przygotowania, które w tym celu prowadzi, przydadzą mu się już wkrótce przeciwko armii Inutu. I nie na południu, gdzie na koralowych wyspach niefrasobliwi tubylcy mocą prastarego zwyczaju przywłaszczają sobie to wszystko, co im fala przyniesie z rozbitych okrętów, i zużywają drewno na budulec, a rozbitków sprzedają feineńskim faktorom.

A może na wschodzie albo na zachodzie? Ku najdalszym krańcom wschodu dąży, malejąc pośród walk i trudów, armia Dżugidów, gnana niepojętym zamysłem czy tęsknotą Gorda Daleko-Wiodącego, ale i przyciągana coraz potężniej przez nieznaną granicę, który leży przed nimi – gdzie? Na wschodzie? A gdzież jest w końcu granica między wschodem a zachodem?



Rozdział siódmy

Następcy, piraci i bagno

W pierwszym dniu wiosny czternastego roku Imperium Możnych Imperator ogłosił oficjalnie to, czego wtajemniczeni spodziewali się od dawna, a mianowicie, że następcą tronu ma być nie książę Inutu, ale książę Odiri. Dekret ten, stawiający Inutu na ostatnim miejscu po wszystkich trzech braciach przyrodnich, wywołał oczywiście liczne komentarze. Mały Odiri, zaledwie dziesięcioletni (podczas gdy jego usunięty od łaski brat przyrodni dobiegał już trzydziestki), był niewątpliwie, jak twierdzono, właściwszym następcą, ponieważ ku niewymownej radości wszystkich swych poddanych Imperator mógł jeszcze żyć długo, bardzo długo, oby jak najdłużej... więc jego najstarszy syn mógłby się w ogóle nawet korony nie doczekać. Mówiono także (głośno w najbliższym otoczeniu Pani, ciszej gdzie indziej), że pewne sformułowania dekretu są bardzo czytelną aluzją do zachowania się księcia Inutu niegdyś podczas rebelii niejakiego Zangi Ulawe, kiedy to młody książę wydał ojca w ręce rebeliantów, na szczęście bez tragicznych skutków. I dodawano natychmiast, że Imperator dobrze i słusznie uczynił, nie puszczając tej zbrodni w niepamięć, ale jednocześnie uczynił i wielkodusznie, nie karząc jej surowiej. Nawiasem mówiąc, Imperator zawsze „czynił”, a nie „robił”.

Kei-kei syn Helilego, następca Tegatugi na urzędzie Starszego ludu Fehine (przynajmniej tej części ludu, która pozostała w obrębie Imperium, bo chodziły słuchy, że gdzieś daleko na południowym zachodzie feineńscy uchodźcy wybrali już sobie własną Wielką Radę i własnego Starszego) – otóż Kei-kei syn Helilego, otrzymawszy od Imperatora rozkaz udania się z tą wiadomością od księcia Inutu, potraktował to jako oczywisty, choć zawołany wyrok śmierci.

Wyruszył jednak, zgodnie z rozkazem, natychmiast. Nie miał wyboru: na samej Wyspie Stołecznej był niewolnikiem Władcy, a po jej opuszczeniu stał się, prawdę mówiąc, jeńcem swojej sentyjskiej eskorty. Co zresztą potwierdzało tylko jego pewność, że Imperator chce się go po prostu pozbyć.

I rzeczywiście Ungana doszedł już wtedy do tego, że najchętniej byłby się pozbył całego Fehine, gdyby nie potrzebował go do floty i gdyby miał kim obsadzić spiżarnię swojego państwa: żyzny płaskowyż między rzeką Czun a pustynią Baszem. Wprawdzie można by było pozwolić na napływ czy raczej powrót osadników dzugidzkich z przeludnionych Gór; ale to by prawdopodobnie doprowadziło w krótkim czasie do ponownego objęcia przez Dzugidów całej tej krainy, a tym samym – do ich wzmocnienia się i wkrótce uniezależnienia. Ostatecznie Imperator zdecydował się na coś innego. Nakazał feineńskim żeglarzom uformować flotę piracką, która miała porywać spoza Imperium i zwozić do Feinomy jeńców na osiedlenie, przy czym głowa za głowę: za każdego takiego osadnika obiecywał uwolnić ze swego poddaństwa jednego Feinu. W ten sposób miał nadzieję uzbierać w ciągu kilkunastu lat lud mieszany, a więc uleglejszy i niegrożący buntem.

Kei-kei, wieloletni handlarz niewolników, byłby w tej sprawie bardzo przydatny, ale nie był niezastąpiony; natomiast niezastąpionym mógł się okazać, gdyby dał się wciągnąć do interesu, stary pirat Namui, od lat pustoszący wybrzeża Wielkiego Łądu, w tym niestety także krajów podległych obecnie Imperatorowi. Ungana przesłał mu potajemnie swoje propozycje i otrzymał odpowiedź: Zgoda, ale pod pewnymi warunkami. Najłatwiejszym do spełnienia spośród tych warunków było mianowanie Namui Starszym ludu Fehine z ramienia Imperatora. Stąd los biednego Kei-kei.

Pozbywszy się w ten sposób jednego przynajmniej pajęczonogiego darmozjada, Imperator wyznaczył na godziny przedpołudniowe następnego dnia uroczystą audiencję dla Pani, która właśnie wyraziła chęć podziękowania mu oficjalnie za tak wspaniałe i słuszne wywyższenie jej syna. Potem przyjął jeszcze wieczorny raport Hwa, co zwykle trwało około godziny; wreszcie spożył kolację i udał się na spoczynek.

Tragarze ustawili lektykę u wejścia do pawilonu, dowódca oddziału straży ukląkł i podał Imperatorowi klucz. Raz, dwa, trzy – skakał klucz otwierając drzwi; raz, dwa, trzy – słyszeli potem, jak je Imperator zamyka za sobą. I jeszcze słyszeli szcęk żelaznej sztaby, którą kazał przed paru miesiącami założyć od wewnątrz. Imperator zamyka się w swojej sypialni bardzo starannie! Ale za to jest teraz dziesięć godzin murowanego spokoju, byleby wszystko wyglądało jak należy i byleby się żadnych nieregularności nie dopatrzył Hwa albo Możny Hadon Nile. I byleby żaden szmer nie zmaćcił ciszy: Imperator śpi!

Nie spał. Noc rozpoczął, jak zwykle, od powolnego, starannego przeszukania całego pawilonu: nie ma pośpiechu, jest czas, a trzeba przede wszystkim sprawdzić, czy gdzieś za filarem lub w palenisku kominka nie ukrywa się – nie zamachowiec, bo tego by już dawno usunęła gwardia, ale jakiś nadgorliwy stróż pańskiej osoby. Skończywszy ten obchód, poszedł jeszcze raz na palcach na dół do drzwi: za drzwiami cisza. Bezszelestnie (już dawno kazał zastąpić skrzypiące deski schodów kamiennymi płytami) wrócił na górę; jeszcze raz przystanął nasłuchując, wreszcie poszedł przed siebie amfiladą komnat. Było ich osiem; zatrzymał się w piątej.

Okno z prawej strony, wychodzące na ogród, było nieco jaśniejsze niż to z lewej: na dziedzińcach u stóp Góry przez całą noc paliły się światła. Okna tu były oszklone na sposób fingajski, nie megnijski: nie jednolitą taflą jakby lodu, ale grubymi bryłami szkła łączonymi ołowiem. Takie były niegdyś okna Świerkowego Dworu i Ungana to lubił; poza tym nikt by nie mógł, przystawiwszy w ogrodzie drabinę do ściany, zajrzeć przez takie okno i zobaczyć, co też robi Imperator.

A robił rzeczy dziwne. Zaczął nagle poruszać się szybko, chociaż co chwila przystawał i nasłuchiwał. Coś wysunął z okapu kominka, coś tam po ciemku kręcił i naciskał – aż bezszelestnie odsłoniła się wnęka ukryta w ścianie. Raz jeszcze skoczył do drzwi komnaty, otworzył je nagle: nie ma nikogo. Zamknął i zaryglował drzwi, szybko zrzucił ubranie, a włożył inne, wyciągnięte z wnęki; potem wy dostał drabinkę sznurową. Jej koniec umocował do haka znajdującego się we wnęcie (rzemieślnicy, którzy ją robili, dawno już nie żyją, nikt nie wyda), otworzył okno wychodzące na rezerwat i wyrzucił drabinkę na zewnątrz. W parę chwil później schodził już w dół po stromym zboczu pagórka, ślizgał się w glinie, chwycił się drzew, potykał się i wstawał, pędził. Był wolny. Na parę godzin był wolny.

Nie, nie żałował niczego. Gdyby miał zacząć od nowa, znowu by się uchwycił Zamysłu Książąt i znowu by zbudował Imperium. Nienawidził po staremu wszystkich, którzy mu kiedykolwiek stali w drodze: od Dejna i Taguna Imanu poprzez Dżauriego aż po – mitycznego może – Ora. Ale na równi już także nienawidził wszystkich tych, którzy mu pomagali, wszystkich swoich sług i sprzymierzeńców, aż po – też może mitycznego – Dira. Nienawidził nawet samego siebie. I o tym właśnie mógł tu na parę godzin zapomnieć. Nałyka się wiatru, zmacha się, zmęczy; będzie walczył z zaroślami o każdy krok, potem z bagnem o każdą chwilę życia; wszystko to w końcu zwycięży (jak zawsze) i wróci o świcie, przemoczony i ubłocony, i ze zmęczenia zaśnie. Odkąd tak robi co nocy, znowu już jaśniej myśli i chyba sensowniej działa. Już nawet zdołał opracować plan wychowania Odiriego: w najbliższym czasie wprowadzi to w czyn...

Pod stopami zachrząścił mokry, stwardniały śnieg; tu wśród gęstych

zarośli leżał płatami, zapewne w dzień wyglądającymi już brudno i martwo. W nocy to wszystko jedno; ważne, że można zapaść się miejscami prawie po kolana, karaskać się jak kulawy królik, przedrzeć się wreszcie na twardy grunt. Zaraz po tym zwycięstwie odchyłona niezgrabnie gałąź chlasnęła z całą siłą w twarz Imperatora. Zatrzymał się i roztarł policzek. Długo rozcierał: twarz musiał ochraniać.

Nawet tu wolność nie była zupełna.

Dalej zbocze było już coraz łagodniejsze, kończyły się też kamienne półki wyzierające poprzednio co krok spod korzeni świerków. Ungana skręcił w prawo, przebrnął strumień, po chwili napotkał go znowu i znowu przebrnął. Skraj lasu: tędy dawniej biegła ścieżka, teraz od lat już nie ma jej ani śladu pod trawą i wrzosem. Tędy jeździł...

Biegł już; i właśnie tam, gdzie zaczynało się bagno i gdzie trzeba było uważać, spóźnił się z tym uważaniem dosłownie o jeden krok: stąpnął krzywo, stęknął z bólu i padł w błoto. Padając, zdołał uchwycić się ręką pióropusza zeschniętej trawy sterczącej na najbliższej kępie. Ból wykręconej, może złamanej kostki unieruchomił go na parę chwil; kiedy wkrótce powróciła mu jasna świadomość sytuacji, Imperator zdał sobie sprawę, że tym razem czeka go walka trudniejsza niż kiedykolwiek dotąd i już całkiem dosłownie o życie. Powstrzymał oddech, starając się leżeć zupełnie nieruchomo i płasko, by nie pogorszyć swego położenia.

Był tylko o trzy kroki od bezpiecznego brzegu, ale trzy duże kroki, znaczone dwiema kępami. Trzecią była ta właśnie, dzięki której żył jeszcze i do której miał nadzieję dociągnąć się pomału, tak, by móc na niej oprzeć głowę. Ale choćby nawet i usiadł na niej, choćby nawet zdołała ona udźwignąć ciężar jego ciała przez wiele godzin – a nie tylko ciężar jednego szybkiego kroku, takiego, jakim już nieraz dawała oparcie – choćby nawet to się udało, co dalej? Jak, mając jedną nogę złamaną, czego dowodzi rosnący ból, zrobić te trzy skoki dzielące go od brzegu?

Gdybyż choć trochę lodu. Ale to bagno nie zamarza nigdy, zdarzało się już nawet, że dzikie kaczki zimowały na nim. Co nie znaczy, że było ciepłe: Unganą już teraz trzęsą dreszcze, trzeba się śpieszyć, bo potem może przyjść gorączka. Jeśli o zwykłej porze Imperator nie otworzy drzwi, Hadon koło południa mógłby się odważyć wyłamać je i szukać brata. I w końcu znajdzie go tutaj.

Nie, wcześniej. Bo przed południem, w porze Wielkich Audiencji, ma przyjść Nulani. Więc już wtedy podniosą alarm. Czy lepiej, żeby znaleźli swego pana żywego na kępie, czy tylko ślad prowadzący do bagna, które nigdy nie oddaje trupów?

Pomału, tak pomału, jakby chciał bagno oszukać, tak wolno i ostrożnie, jakby tę czynność planował na całe pokolenia, Ungana zaczął kurczyć łokieć. Pęk trawy wyciągnął się ku niemu, ale on sam się ku kępie nie zbliżył. Zauważył także, że już nie leży zupełnie płasko:

bagno wsysa go powoli za nogi w dół. Rozpacz! I płynącym z tej rozpaczki błyskawicznym ruchem, nieprzemyślanym i nieobliczonym, Ungana nagle wyrzuca w górę drugie ramię, usiłując pochwycić oporną kępę. Udało się, trafił! Wprawdzie gwałtowność tego ruchu pograżyła jego nogi głębiej, ale ręce już trzymają obie, i już nie tylko za trawę, a za płataninę gęstych i grubych korzeni pod wodą. Teraz powoli, powoli... Głowa spoczęła na kępie.

Tak właśnie mogliby go znaleźć, ale nie powinni. Wrócić albo zginąć: tylko te dwa rozwiązania są do przyjęcia. Które lepsze? Jedno może go osiągnąć, choćby nie chciał. Drugie wymaga wysiłku, może bezowocnego. Jutro rano Nulani może się dowiedzieć, że już jest Imperatorową wdową. Co wtedy zrobi? Prawdopodobnie wyśle skrytobójców do Kamgany, a jeśli będzie miała rozumu na tyle, to szybko ofiaruje rękę i koronę Hadonowi. Dzieci tym i tak nie ocali, ale ocali siebie. Tak, chyba tak właśnie robi. To już nie ta dziewczyna, która kiedyś zaryzykowała wolność i życie, by towarzyszyć temu, którego pokochała. Teraz już by się raczej gotowa za życie i trochę wolności sprzedać.

I teraz właśnie, tu, w bagnie, które być może za chwilę go pochłonie, Ungana rozumie wreszcie, czego szuka po tych wertepach co noc od tyłu miesięcy: zeszłorocznego śniegu, zrzuconej skóry węża. Tej, do której niegdyś jeździł tędy. Dawniej Nulani. Och, nie tej, którą ma i której nienawidzi tak jak wszystkich wokół, nie mniej ani nie bardziej – bo chyba trudno byłoby nienawidzić bardziej. Ale tej, którą kocha wciąż jeszcze.

Gdybyś była, rzuciłbym ci do nóg już nie pół świata, ale cały. Gdybyś była, porzuciłbym Imperium i zamieszkałbym z tobą w starej kamiennej chacie. Tam bym pilnował ognia na twym palenisku i sadył brzozy wzdłuż drogi. Gdybyś była. Ale nie ma już ani ciebie, ani chaty.

I tylko jeszcze pozostał ktoś, na kim się można zemścić za brak ciebie: ta, która śmie zajmować twoje miejsce i nazywać się moją żoną, matką moich dzieci, Imperatorową. Jutro można będzie upokorzyć ją publicznie, ogłosić jej niełaszkę, oskarżyć ją o zbrodnię. Dla ciebie: pamiętaj, dla ciebie.

Gniew bywa źródłem siły i lekarstwem na ból. Planując taką zemstę, Imperator nawet nie zauważył, jak całe ciało wciągnął już na kępę, jak obrócił się na niej twarzą ku lasowi i z całej siły odpychając się od niej zdrową nogą dał susa na najbliższą z kęp dzielących go od brzegu. Trafił: ugodził w nią piersią. Znów straszny ból, w kępie jest najwyraźniej jakieś drewno; ale po opanowaniu bólu wiedział już, że w ten sposób dojdzie. Więcej: że jutro przyjdzie tu znowu. Kulejąc, bo prawą stopę będzie miał w łupkach; jęcząc może, bo już do końca życia będzie mu dokuczać złamane żebro; ale przyjdzie.

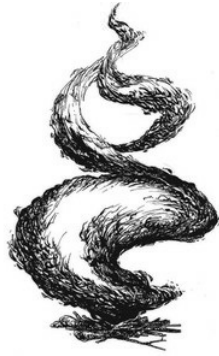
Dobrze że ten rezerwat tak jest rozległy i że nawet na zdrowych

nogach nie można by w ciągu jednej nocy dojść aż do drugiego krańca i wrócić. Bo inaczej mogłoby się zdarzyć, że ta znienawidzona, wyrzawszy oknem w bezsenną noc, zobaczy, jak Imperator płacze pod jej ścianą. Płacze za tamtą.

Chociaż teraz to się już i tak nie zdarzy: od jutra już tej znienawidzonej tu nie będzie.

I on tu płakać nie będzie: dzisiaj ostatni raz. Więc może nawet tu nie wróci?

Na czworakach powłókł się pod górę.



Rozdział ósmy

Powrót nieupragniony

Tej drugiej przerwie w Oczekiwaniu, dłuższej o wiele i jakby głębszej niż pierwsza, w samą porę położyły kres odwiedzin Kanuma. Już bowiem kilka dni później, zgodnie z daną na pustyni zapowiedzią, zjawił się w Bukrze Dir.

Było to podczas południowej sjesty małego Ludu i po odejściu niewolników skrapiających bruki; rynek był zupełnie pusty. Tagun, który od rana czuł jakby nadciąganie burzy i czekał w napięciu na tę rozprawę, dostrzegł wysoką postać Łowcy zbliżającą się powoli od rogu ulicy Studziennej, tak jak mógłby się zbliżać każdy zwykły Fingaj czy Megnita; tylko że ani Fingaj, ani Megnita, ani żaden inny zwykły przybysz nie miałby na sobie w takim skwarze futrzanej szuby. Dość zresztą wytartej i popękanej na szwach zgoła po dziadowsku. Tagun zauważył ten szczegół już z pewnej odległości i sam się zdziwił, że go zauważył: zbliżający się ku niemu tak powoli gość był niewątpliwie nie kim innym, jak samym Władcą Rozpaczy – a jednak dla jakiegoś sobie tylko wiadomego celu chciał widocznie tym razem rozmawiać ze swym jeńcem tak, jak jeden z krwi i kości stworzony abalahé z drugim. Może nawet, gdyby to od niego zależało, nie pozwoliliby się poznać z początku, aż dopiero z bliska? W każdym razie mieszkańcy miasta, gdyby go tak zobaczyli, wzięliby go chyba za jakiegoś obcego włóczęgę.

– Bardzo ci dokuczają?

Tak, to ma być rozmowa. Zwyczajna rozmowa, zwyczajnym głosem. Tagun czuje się upokorzony: Pan Północy jak zwykle dyktuje warunki, a on musi się podporządkować. I nagle natchnienie: przecież wcale nie musi, nie musi odpowiadać. Więc milczy.

– Zaciąłeś się. Cóż... nic dziwnego. Może trochę śmieszne najwyżej,

ale mnie obojętne, bo i tak znam twoje myśli.

Czy aby na pewno? Przecież gdyby je znał tak dobrze, nie przyszedłby tu teraz właśnie, w cztery dni po Kanumie!

– Nie chciałeś rządzić światem u mojego boku. I nadal mnie źle rozumiesz. Ktoś – widzę to w twoich myślach – wytłumaczył ci, że skoro siedzisz tu w tej klatce, to ja ci teraz będę proponował wstąpienie do Cudzoziemskich Oddziałów. Nic błędniejszego! Coś takiego może się stosować do gruboskórnych gburów, ale nie do ucznia bardów. Za dobrze znam twój poziom etyczny... Chodziło mi raczej o to, żebyś się sam naocznie przekonał, jak bardzo ten lud potrzebuje zmiany rządów. Ja sam, zajmując się całym światem, nie mam na to czasu ani głowy. Poddam ich tobie. Nie musisz ich koniecznie karać za to, coś od nich wycierpiał...

„Nie musisz” – ale jednocześnie gorąca fala mściwego gniewu płynie przez cały plac, bucha jakby z samego słońca.

– ...Ja się zresztą w twoje rządy nie będę wtrącał, rób z tym ludem, co uznasz za słuszne; choćbyś go nawet zmarnował, mam na świecie niejednego taki. Ten daję tobie, byleś go objął we władanie w moim imieniu i z mojej ręki, bo inaczej nie będą ci posłuszni.

Można by to zrozumieć jako pozwolenie, by Tagun z wolna i po cichu przerobił Galgal-pa'asz na lud bardów!

– Nie chcesz? Rozumiem: znienawidziłeś ich i już im nie życzysz dobra...

I to był ze strony Władcy Śmierci błąd taki sam, jaki niegdyś na statku Memukego popełnił Delu Chwan. Dorosły mężczyzna, mędrzec doświadczony, stary bard może by tu zaczął rozważać własne pobudki, szperać po kątach swego serca, badać możliwości... z trudnym do przewidzenia skutkiem. Taguna jednak nikt jeszcze w tę skomplikowaną sztukę nie wtajemniczył. On, widząc się wplątany w labirynt słów Wroga, labirynt ułożony tak misternie, że każda droga prowadziła w końcu w tę samą stronę – mógł tylko zrobić jak dziecko: zatrzymać się i nie iść nigdzie.

I wydało mu się, że znowu jest, jak kiedyś, w matczynych ramionach świętej góry Ndami, a jeśli nawet nie jest jeszcze, to musi na nią czekać. Przyjdzie, uniesie z ziemi, wyplącze z sideł. Byleby tylko nie zrobić ani kroku dalej, nie próbować samemu. Byleby czekać.

I znów jak druga, groźna, dymem spowita góra, albo jak otchłań bez dna, ziejie obok niego gniew Wroga. Jak kamyk u podnóża skały, jak mały listek brzozy, takim Tagun widzi siebie wobec tej potęgi. Ale chociaż naprawdę świętej Góry tym razem nie ma za nim, coś z jej mocy jest już widocznie w nim samym, bo stoi prosto i słucha spokojnie wyroku.

– Nie licz na mojego Brata! Moc nasza równa, a ja nie zwykłem oddawać łupu równemu. I nie licz na Tajemne Słowa! Bo jeszcze kiedyś

zadam im kłam, a choćby to nawet było nieprędko, choćbym jeszcze i przegrał niejedną potyczkę, za krótkie twoje lata, byś mojej przegranej dożył! Nie chciałeś być uczestnikiem moich triumfów, będziesz ich widzem: do ostatniego dnia twojego wieku będziesz oglądał moje panowanie. I będziesz je oglądał z mojej nowej stolicy, którą zakładam właśnie tam, gdzie dotąd panował mój Brat: na twojej Wyspie. I będziesz widział wszystko, czego tam dokonałem, i będziesz cierpieł nad tym, i pozostaniesz na zawsze bez nadziei!

Jak grzmot toczył się ten wyrok od krańca nieba po kraniec, aż i ucichł wreszcie jak grzmot i nic po sobie nie zostawił: ani dźwięku, ani widzenia. Znika bez śladu wysoka postać w porozpruwanym futrze. Od morza powiał słony, wilgotny wiatr: tumany szarozółtego kurzu zakreśliły się nad szarozółtym miastem. Klnąc i ziewając na przemian wracały na rynek przekupki.

Jakiś chudy Galgali podszedł do klatki, wykrzywił się ohydnie, ale nic nie powiedział: milcząc wskazał palcem drugiemu wiszący na klatce napis. Zaszwargotali coś cicho do siebie, splunęli i poszli. Napisu nie było widać ze środka klatki, zresztą Tagun i tak nie znał miejscowego pisma; po kilku jednak podobnych scenach zorientował się, że jego rola „ofiary swobody” już się widocznie skończyła. Może Wróg chciał do niego jeszcze trafić przez litość? Bo tego dnia samemu chłopcu nie wyrządzono już ani jednej krzywdy czy zniewagi, ale za to dookoła klatki działy się rzeczy przerażające. Znowu zresztą błąd: może ktoś dorosły, mający już za sobą wiele osiągnięć, a przy tym po cichu z nich dumny, zaczęłyby na ten widok rozważać, co by zrobił, gdyby mógł, żeby ten dziki i nieszczęśliwy lud jakoś ucywilizować. Tagun jednak utwierdził się tylko w przekonaniu, że takie zadanie przerastałoby zgoła jego siły. Nawet gdyby się go mógł podjąć bez zdrady Oczekiwanego.

Toteż nie wpadło mu nawet do głowy zastanawiać się raz jeszcze nad słusznością swojego wyboru; może zresztą tym bardziej, że potrzebował czegoś pewnego, na czym mógłby się oprzeć. Bo nic poza tym nie było właściwie pewne. „Wyrok” Wroga mógł być jednym stekiem kłamstw – wiele już ich było! – ale mógł być także misternym splotem kłamstwa z prawdą i mógł nawet tej prawdy zawierać dużo, przynajmniej dopóki chodziło o losy samego Taguna. Chłopcu w oczach się ćmiło i kurczyło się serce na myśl, że Oczekiwanie miałyby się okazać daremne; a jednak skąd właściwie mógł wziąć pewność, że tak nie będzie? Nie z Tajemnych Słów, bo te dotyczyły całego świata, ale niekoniecznie jego własnego losu. Ani z usłyszanych na świętej Górze słów Oczekiwanego, bo te wytyczały mu wprawdzie drogę, ale właściwie (teraz to sobie uświadomił) nie obiecywały dojścia. Ani wreszcie nie mogła mu dać pewności, jak niegdyś na statku, pieśń Nuna o związku braterskim szczęścia z nieszczęściem; bo i to było tylko nauką ogólną, zresztą nauki Bardów w wielu sprawach potrzebowały sprostowania. Szesnastoletni

Tagun wiedział już o wiele więcej niż dwunastoletni; prawdę mówiąc, o tyle więcej (w porównaniu ze zwykłym stanem wiedzy na Wyspie), jakby jego zesłanie od powrotu dzieliły nie cztery lata, ale czterysta.

A jednak mimo tylu przygód i otrzymanych nauk najprostsze, główne prawdy Wyspy były teraz dla niego tym oczywistsze. Zresztą czyż wszystkie jego przygody nie układały się jakoś tak dziwnie, by go w tym utwierdzić? Czyż dotarłszy na drugi koniec świata, gdzie ani lud, ani ziemia w niczym mu już rodzinnej Wyspy nie przypominały, nie usłyszał z ust żukowatego potworka, księżniczki tmuckiej:

– I pośród was bardzo wielu nigdy Powrotu nie ogląda, a mimo to nie przestają czekać!

Więc i on musiał nadal czekać.

Tydzień jeszcze spędził w klatce na rynku w Bukrze, w zupełnym już spokoju, chociaż o większym niż poprzednio głodzie. Wreszcie zabrano go stamtąd i zaprowadzono na statek. Dir, jeśli nawet z początku myślał, że coś jeszcze wskóra, musiał się dorozumieć bez pytania bezskuteczności tej próby, bo się już więcej nie pokazał. Na statku czuło się wprawdzie jego obecność, ale tak tylko, jak rano czuje się z daleka burzę, która nadciągnie dopiero wieczorem. Może więc była to obecność nie tyle jego samego, ile jego zamysłów i woli?

W miarę jak upływały tygodnie podróży, ta obecność gęstniała jednak, jakby burza była coraz bliżej. Nie miało to nic wspólnego z pogodą, było o wiele głębsze. Tagun, chociaż zamknięty na głucho w maleńkiej komorze na rufie, do której nawet jedzenie dostarczano mu przez coś w rodzaju zsypu raczej niż okienka, czuł doskonale, że na zewnątrz panuje piękna pogoda, a wiatr jest prawie bez przerwy zachodni, czasem południowo-zachodni. Którejś nocy przez kilka godzin, nie dłużej, wiał nawet wyraźny wiatr południowy i chłopiec za przykładem fingajskich żeglarzy zaczął śpiewać pieśń o Nahidene; to wtedy usłyszał go Memuke, harujący przy wiosłach. Ale ledwie przebrzmiała druga czy trzecia zwrotka, dowódca statku nadbiegł i kazał chlusnąć wodą do komory, grożąc, że jeszcze jedno słowo, a śpiewaka po prostu utopi. Tagun umilkł. Zbyt był zmęczony wzmagającą się z dnia na dzień wichurą północną w sercu, żeby stawiać opór w takiej drobnej sprawie.

Kiedy wreszcie zawinęli do Durri, to zmęczenie, ołowiane przygnębienie, ogarnęło już lądy i morza od horyzontu po horyzont. Nie był to nawet ból: po prostu tępa pustka, w której życie traciło sens, jak trawa o zmroku traci zieleń. Niby prawdą było wszystko to samo co dawniej i upragnione było wszystko to samo co dawniejsza, a raczej byłoby, gdyby ktoś jeszcze umiał pragnąć – ale właśnie ta możliwość była już Tagunowi jakby odjęta, przywalona popiołem zatopionym gdzieś w najdalszej otchłani Północy. Pusto – pusto: nic.

Można opisać szczęście i cierpienie; można dobrać słowa oddalające – choć w części, chociaż przerośnie – najwyższe uniesienie i najgłębszą

mękę. Ale jak opisywać pustkę, dni pustki, miesiące, lata? Na powierzchni, zdawałoby się, biegnie czas pełen wydarzeń: jedne smutne, inne radosne. Na powierzchni coś się zawsze dzieje, jak zawsze marszczy się morze, choćby falą nie większą od tej, jaką dziecko wywoła w kałuży, ciągnąc po niej łódeczkę z kory. Na powierzchni jest powrót na rodzinną Wyspę i droga na szczyt Din pośród ohydnych rozkopów i rosnących dookoła murów; jest spotkanie w lochu przyjaciela, Derszena, i jest jego straszna opowieść o dziejach ostatnich lat na Wyspie. Och, na powierzchni można nawet podtrzymywać i pocieszać towarzysza niedoli, ratować jego serce, wlewać mu nadzieję – cokolwiek by to było, nadzieja.

Na powierzchni coś się zawsze dzieje, chociaż nie wiadomo, po co. Dzień i noc zmieniają się za oknem na straży, zabłąkany puch dmuchawca drży w smudze światła: więźniowie łapią go, składają starannie w szczelinę między ceglami posadzki, podlewają codziennie ze swej szczupłej porcji wody, patrzą, jak rośnie. Mgłą i szronem osiada na murach zima, mgłą i odwilżą spływa z nich lato. Wiosną Derszen zawsze choruje, traci siły niemal do zupełnego bezwładu; odzyskuje je powoli latem, już jednak z każdym rokiem coraz mniejsze. Bardziej zresztą od chorób zżera go tęsknota za rodzinnymi Górami. Tagun, który urodził się i wychował w tym klimacie, znosi go dobrze mimo lochu. Czemuż nie jest odwrotnie? Czemu ku śmierci idzie ten, który jeszcze wie, co to nadzieja, a żyje i rośnie ten, który już nie wie?

Okienko jest małe, ale – o dziwo – jest nisko. Tagun, który zna dobrze i Wyspę, i Górę, domyśla się, że tego okienka wcale tutaj nie miało być: po prostu ci, którzy na szczycie Din zaczęli wykuwać dół na lochy i fundamenty wieży, nie wiedzieli dobrze, gdzie się kończy lita skała, a zaczyna ziemia. Potem, gdy ziemię usunięto ze zbocza, odkryła się i dziura, którą widać bezpiecznie było zakratować i zostawić, niż wypełniać cegłą. Kto jeszcze potrafi doznawać pociechy, ma więc tę, że widzi skrawek zieleni, i to tej dzikiej z rezerwatu nad Janawą. Jeśli wsunąć we wnękę ściśnięte ramiona i głowę, można nawet dostrzec w południe refleksy wody na małym, piaszczystym urwisku, tam, gdzie niegdyś biegła ścieżka, najprostsza droga ze Świerkowego Dworu do starej chaty rodu Nile. Kto by jeszcze potrafił cierpieć, cierpiałby na ten widok, wspominając los Nulani. Ktoś chyba zresztą cierpi nad tym, ale w tej pustce trudno już nawet określić, kto. Tagun sam, Derszen czy Memuke?

Nad ich głowami jest wiele pięter lochów i zapewne więźniów też wielu, ale w tym najgłębszym, najtajniejszym karczerze są we trzech: Derszen, Tagun i Memuke, odkąd w pół roku po Tagunie przywieziono starego kupca. A więc jeden Megnita z Wyspy, jeden Dzugid i jeden Fingaj. Tagun, nosiciel nadziei (to nie szyderstwo, oni tak myślą naprawdę), jest, mimo że najmłodszy, bezsprzecznym w tej trójce

przywódcą. Jest ich trzech, jak na Placu Wschodnim trzech było uczniów Dejna: dość, aby stworzyć wspólnotę Sług Ognia. Ognia wprawdzie nie mają, bo nie ma czym go karmić: tylko w świętą noc Przesilenia ośmielają się spalać odrobinę słomy. Przez całą resztę roku musi im to wystarczyć, że rano i wieczorem Memuke krzesze iskry, uderzając ogniwem łańcucha o krzemień, którego mu jakimś cudem nie wyciągnęli z kieszeni strażnicy. Teraz ten krzemień jest największym skarbem trójki: chowa się go w przemyślnej skrytce w murze, a używa tylko z zachowaniem wszelkich możliwych ostrożności. Ognia więc nie ma, ale cóż to znaczy: można się i bez ognia zmieniać kolejno, dzień i noc, dzień i noc, przy Oczekiwaniu. Ten loch jest jak oko cyklonu, tak się przynajmniej zdaje towarzyszom Taguna: męka i strach rosły w nich w miarę zbliżania się do tych przeklętych murów, w miarę schodzenia coraz niżej po kamiennych schodach – ale w samym lochu albo ustały, albo przez nadmiar przekroczyły granice odczuwalności: odrobina nadziei i można tu żyć. Może nawet jedyne to miejsce na całej Wsypie, w całym Imperium Połowy Świata, gdzie można żyć?

Co by zrobili obaj, gdyby się dowiedzieli, że ten, który ich tą nadzieją karmi, sam jej nie ma? Że wszystko to, co im zostało oszczędzone, zogniskowało się w nim jednym, czyniąc go czymś niewiele różnym od żywego trupa? Zapewne nawet by nie zrozumieli: nikt by nie zrozumiał z zewnątrz. Tagun nie oszukuje ich zresztą: mówi im prawdę, kiedy mówi o Oczekiwaniu, bo nadal prawdą jest wszystko to samo co dawniej. I upragnione jest wszystko to samo co dawniej, przynajmniej jeśli ktoś potrafi jeszcze pragnąć.

Na powierzchni są nawet pieśni, pieśni wszystkich niemal ludów świata, bo Memuke w swoich podróżach nazbierał ich liczbę nieprzebraną. Układa się i nowe, przynajmniej Derszen układa i Memuke. Na powierzchni jest stała troska o rosnący na ścianie kalendarz, prowadzony systemem fingajskim, i o urządzony na oknie zegar, dziedzictwo Wyspy, taki, że nawet odrobina światła w mglisty dzień wystarcza, by pokazywać czas i odmierzać niezmienny ciąg zajęć Sług Ognia. Są wreszcie i opowieści: wszyscy oni trzej wiele widzieli i wiele przeżyli na lądach i morzach. I jest oczywiście ciągle zatroskanie o towarzyszy: Derszen jest przecież chory, a Memuke stary. Dwa, trzy lata, pięć, dziesięć... Słabną obaj z roku na rok, ale jakoś nadal żyją: Derszen przestał nawet pluć krwią, widać i do takiego lochu można się przyzwyczaić. Tagun jest już mężczyzną, Memuke starcem, który z trudem wlecze po ziemi swoje kajdany. To nieprawda, że tylko szczęśliwy czas przemija szybko: najszybciej pędzi czas w pustce.

Przy Oczekiwaniu zmieniali się przez pierwsze lata co godzinę: Tagun pamiętał z doświadczeń Inutu, że zaczynać najlepiej jest od małych dawek, a ci dwaj byli jeszcze w dodatku Obcy. Powoli jednak wciągnęli się i oni, zwłaszcza – niespodziewanie – Memuke. Temu nigdy nie było

dość: po paru latach prosił już jak o łaskę, by mógł objąć na stałe wszystkie noce, chciał bowiem, jak powiadał, wynagrodzić Panu Południa, że tak późno wszedł w jego służbę. We dnie po starym zmieniali się wszyscy trzej, tylko że Derszen jako najslabszy miał służby najkrótsze. Było więc nadal w każdym dniu najmniej osiem takich godzin, które Tagun spędzał na tym, co dawniej było Oczekiwaniem. Teraz nie wiedział już właściwie, czym to jest; wiedział tylko, że odstąpić nie może.

I tak mijały w lochu lata. Na zewnątrz rosło i potężniało Imperium Ungany; on sam miotał się jak w klatce w nieuchwytnych granicach swojej wszechmocy, splatały się i rwały siatki dworskich intryg, dostojnicy wznosili się i upadali ruchem tak stałym, jakim w palącej się świecy krążą przy knocie z góry na dół, z góry na dół drobinki sadzy. Nieprzerwaną rzeką płynęły na Wyspę Stołeczną bogactwa podbitych krain. Na Megni, po długim, bezskutecznym oczekiwaniu na powrót Kanuma stary Ibnu Tun objął przewodnictwo wśród Wielkich Bardów jako regent na czas niepełnoletności króla Nehi: ten ostatni nie przeszedł bowiem jeszcze wszystkich stopni wtajemniczenia w Bractwie. Z Lhed król Kneh słał do Imperatora listy pełne jawnych pokłonów i zawołanych skarg na najmożniejszego księcia Inutu: w narastającym konflikcie między ojcem i synem wolał stanąć po stronie ojca, bo ten i politykiem był lepszym, i... trzymał stale na Wyspie Stołecznej zakładniczkę wierności Tmutów. W Kamganie Inutu przeprowadzał kolejną reformę swojego haremu i skarżył się na ojca w listach do Delu Chwana. W ziemi zwanej niegdyś Dżugne, obecnie zaś Feinuma, zarastały chwastem puste pola i było ich coraz więcej wokół każdej wsi: mimo wzmożonej czujności straży granicznej każdego roku całe tysiące młodzieży znikały stamtąd, jakby się w ziemię zapadły. Był taki czas, że Imperator już prawie postanowił karać śmiercią rodziny uciekinierów, ale w czas sobie uświadomił, że odpływu tym nie powstrzyma, a tylko zwielokrotni wyludnienie. Więc uciekali bezkarnie, niektórzy do band pirackich, ale większość dalej: przez lądy choćby pieszo, przez morza choćby w pław. Gdzieś poza granicami Imperium, poza zasięgiem władzy wszystkich wasali i sprzymierzeńców Ungany, zbierała się stopniowo kolonia i flota Wolnych Fehinów. A jeszcze dalej, po morzach tak dalekich, że ich nawet Fehine nie znali, żeglowała flota Dżugidów: na wschód, ciągle na wschód.

Tagun trwał w martwej pustce.



Rozdział dziewiąty

Ślady na piasku

Gdzieś, kiedyś, dawno temu i może nawet w jakimś innym świecie, było dwoje dzieci: siostra i brat. Bawili się razem na brzegu morza. Brzeg był w tym miejscu – blisko domu – dość urwisty, morze co jakiś czas zmieniało jego linię: nanosiło podczas wichury ławicę białego piasku albo wgryzało się w ląd i zabierało go trochę, żeby się nim pobawić i znowu oddać. Podczas odpływu poniżej urwiska rozciągała się szeroka plaża, na której czasem leżały białe pnie drzew wyrzuconych przez fale – tych samych drzew zapewne, co jeszcze niedawno rosły tam u góry. Dzieci miały obowiązek zawiadamiać o tych pniach dorosłych, a oni przychodzili z piłami, cięli drewno i zabierali je na Plac Wschodni. Ale i same dzieci wyciągały z wody lub z piasku gładkie, wybielone patyki. Wiedziały, że to jest bardzo ważne.

Bawiły się oczywiście w świat dorosłych, taki, jaki znały. Jeżeli były z nimi inne dzieci, to odtwarzano w tych zabawach czasem orszak weselny, czasem targowisko albo uroczysty pogrzeb, albo naradę u księcia, ale to ostatnie niezbyt dobrze wychodziło, bo nikt nie umiał wymyślić, jak i o czym mogą starsi rodów z księciem radzić. Jeżeli byli sami, bawili się najczęściej w Oczekiwanie. Może zresztą to nie była zabawa, ale jakże trudno dorosłemu odróżnić, co dla dzieci jest zabawą, a co nie jest.

Siostra była trochę starsza, więc opiekowała się braciszkiem bardzo troskliwie. Ale tego lepiej nie wspominać. Stąd krok tylko do obliczania, ile to już lat minęło, odkąd ten brat znalazł się w więzieniu, w lochach Wieży, o której samo wspomnienie budzi lęk wszystkich podwładnych Imperatora – a ten loch jest dosłownie w zasięgu jej ręki, Wieżę widać z jej północnych okien – i ona nie zrobiła dla brata nic. Jest tam dotąd,

jeśli jeszcze żyje.

Kiedy Tegatuga i Memuke przynieśli jej tę wiadomość wraz z relacją o poprzednich podróżach i losach Taguna, była młodą matką, szalejącą z niepokoju o życie nowo narodzonego syna. Udało jej się wtedy wykorzystać otrzymane od nich informacje do odesłania pasierba na drugi koniec Imperium, i dobrze zrobiła: po pierwsze, dała mu przez to okazję do popełnienia wielu głupstw, które wreszcie teraz doprowadziły do usunięcia go od następstwa tronu. A po drugie, to ona, nie Inutu, pozostała na miejscu, była przy Imperatorze blisko, i mogła powoli, starannie, dokładnie zwracać jego myśli ku swoim dzieciom, ku swoim planom. Więc dobrze zrobiła i teraz ma prawo triumfować. Musiała oczywiście od razu na początku okupić pierwszy krok na tej drodze ofiarą z tych, którzy jej te wiadomości przynieśli. Tegatuga zginął w jakiś czas potem w Kamganie zgodnie z życzeniem Ungany, a Memuke jako szpieg został natychmiast osadzony w tym samym co Tagun lochu. W lochu... Ale czyż im się to nie należało? Należało się, i słusznie, bo ośmielili się szpiegować samego Imperatora: szpiegowali go, tak, dla jakichś swoich celów, niewątpliwie zdradzieckich. Trudno się dziwić Imperatorowi, że się ich pozbył. Właściwie i co do Taguna trudno się dziwić... Był przecież także buntownikiem.

Wtedy gdy przyплыw zastał ich zbyt daleko i biegli, biegli, biegli, wyciągając stopy z coraz większym trudem z miękącego niebezpiecznie piasku – dla dorosłych byłaby to odległość śmieszna, do pokonania w kilka chwil, ale oni, mali, o mało wtedy nie zginęli. Piasek pod ich stopami stawał się grząski, wciągał, ich ślady napępniały się natychmiast wodą, a potem przyszła fala i zalała wszystko, i już żadnych śladów nie zostało. Ale oni, na szczęście, byli już w bezpiecznym miejscu, tuż ponad pierwszym uderzeniem fali, i biegli wyżej, wyżej, na sam brzeg. Tagun miał wtedy trzy lata, zmęczone i przerażone dziecko, to ona wciągnęła go na ścieżkę, sam nie wiedziałby nawet, dokąd uciekać. No tak, ale teraz nie są już dziećmi i odpowiadają każde samo za swój los: Tagun wybrał drogę buntu, ona początkowo także, ale potem zrozumiała Unganę i opowiedziała się za nim. Jaka to była piękna i podniosła chwila, kiedy to ona jedna stanęła przy księciu, zdradzonym i opuszczonym przez wszystkich (z własnym synem włącznie, jak mu nieraz przypominała) – przy nim, dlatego że pojęła jego wielkość i przed tą wielkością uklękła! Bardzo słuszne więc, że Ungana podzielił się z nią tą wielkością i chwałą, i tronem.

Ale – może byłoby równie słuszne, gdyby... Imperatorowa pochyla nisko głowę; na czyjś niedostrzegalny znak cichnie muzyka ukrytej kapeli, by nie przeszkadzać zadumie Pani i w tej ciszy grzechoczą leciutko sznury pereł, które spływają z jej głowy na piersi, jak niegdyś warkocze. Słuszna jest i nagroda za służbę, i kara za zdradę, a w każdym razie jedno i drugie jest czymś oczywistym. Ją dotychczas

spotykało tylko to pierwsze. Ale mogłoby spotkać i drugie. Gdyby się zbuntowała? Nie, nie tylko: wystarczyłoby w jakikolwiek sposób stanąć przy buntownikach, wziąć ich stronę, zacząć ich bronić: po prostu tylko pozwolić, żeby myśl o niej skojarzyła się Imperatorowi z myślami o nich. Imperator szybko kojarzy i szybko – w razie potrzeby – działa. Musi.

Ona sama kojarzy już także szybko. Tak, Ungana podzielił się z nią wszystkim, nie tylko tronem i chwałą: także jakoś i własną duszą chyba, bo oto jego małżonka prostuje się charakterystycznym dla niego ruchem i z charakterystycznym dla niego półuśmiechem na pozbawionej skądinąd wszelkiego wyrazu twarzy snuje dalej swe myśli za siedmiu zaworami owego półuśmiechu. A myśli jej biegną także torami jego myśli: wszystko tam najstaranniej zważone, wszystko uwzględnione dokładnie i nie ma miejsca na nieprzemyślane porywy.

Przynajmniej dotąd nie było. Swojego czasu obiecywała sobie, że kiedy wreszcie odniesie zwycięstwo nad Inutu i stanie się bezkonkurencyjną potęgą u boku Imperatora, wtedy, wtedy właśnie będzie już mogła zrobić coś i dla Taguna, nie narażając przez to siebie i dzieci. Ale walka o tę pozycję przedłużyła się na całe lata, a przez ten czas wprawdzie znaczenie Pani rosło niewątpliwie, ale zarazem jakoś się zmieniał stosunek Imperatora do niej. Ungana był coraz odleglejszy, coraz rzadziej szukał u niej odpoczynku, coraz mniej przypominał tego, który po sam tylko jej uśmiech odbywał niegdyś wielomilowe podróże. Usiłowała go odzyskać: starała się wchodzić w jego intencje, dzielić jego myśli, przyswajając sobie jego zwyczaje. Skutku nie było albo raczej był odwrotny do zamierzonego: spotykali się coraz rzadziej, coraz krócej, coraz bardziej oficjalnie. Trudno. Imperator zajęty był przecież władaniem – a i ją zaprzętały niemal bez reszty intrygi związane z jej własną wieloletnią walką.

Może zresztą i nie szkoda. Młodość już minęła, a z nią i czas dziewczęcej miłości albo i szukania miłości ukochanego. Poza sercem męża ma przecież wszystko. Tylko ot: musi pamiętać, że gdyby w grze politycznej popełniła jakikolwiek błąd, może zostać odtrącona bez miłosierdzia. Dlatego nie stać jej na grę nieostrożną: coraz bardziej jej nie stać, pomimo rosnącego znaczenia i władzy.

A jednak przez te wszystkie lata usiłowała wmawiać sama sobie, że w końcu zdoła uratować Taguna. W tej myśli zbierała wszelkie wiadomości o nim samym, o jego przygodach i o krajach, przez które przejeżdżał. Raz nawet rozmawiała z Mdan, chociaż ta dziwaczka nie była towarzystwem ani miłym, ani bezpiecznym. Najwięcej jednak dowiedziała się od Szemiego Ulawe, który jako dowódca jej gwardii był stale pod ręką, a zarazem miał z racji swoich obowiązków dostęp do wszelkich informacji. To on potwierdził (z urzędowych źródeł) zeznanie Memukego o tym, że Dir Łowca zabrał Taguna do Galgal-Mubara i trzymał go tam przez blisko rok, po czym odesłał go małpią

galera na Wyspę. Memuke rzeczywiście zdołał dostać się na tę galerę, bo straż portowa widziała, jak z niej schodził. Samego Taguna wprawdzie strażnicy nie widzieli, ale to nic dziwnego, bo sprowadzono go ze statku nocą, otoczonego wielką zgrają zbrojnych małp. Ten pochód oddziału widziano. Szemi zapewnia także (ostatni raz zapewniał ją o tym nie dalej jak wczoraj), że Taguna na pewno nie wyprowadzono z Wieży dotychczas, bo daliby o tym znać opłaceni strażnicy. Ani także nie umarł, bo o tym na pewno zawiadomiono by Imperatora – choćby z racji powinowactwa – a wtedy on, Szemi, dowiedziałby się o tym od przekupionego sekretarza. Więc Tagun żyje i jest nadal w Wieży.

A teraz jest pierwsza i może ostatnia okazja, żeby spróbować wydobyć go stamtąd. Dzisiaj. Imperatorowa wstała dziś bardzo wcześnie – ma przecież na godzinę przed południem wyznaczoną uroczystą audiencję u Imperatora – i od świtu już czeka, w pełnym stroju, na tę audiencję. Jej dwór szepcze sobie, że to z radości tak jej śpieszno, że triumf, że zwycięstwo. A ona przez całą nieprzespaną noc myślała tylko o jednym: czy wykorzystać tę okazję, czy nie.

Jakże to tam może być w tym lochu?

I czy okazja jest na pewno ostatnia? Przecież jej wpływy teraz właśnie mogą tym bardziej nadal rosnąć!

Nie, nie ma się co łudzić: nie będą rosły. Cóż z tego, że jej syn, przemianowany z Dejna na Odiriego, został wyznaczony na następcę tronu? Inutu miał tę samą godność przez wiele lat, potem zaś została mu ona odebrana. Inutu narobił głupstw. Odiri, żeby się utrzymać, musi więc wszelkich głupstw unikać. Powinni ich także unikać obaj jego rodzeni bracia, ale zwłaszcza, ale przede wszystkim jego matka, najdostojniejsza Pani Połowy Świata, która oto, żeby zobaczyć się z własnym mężem, musi stroić się w ceremonialne szaty, ciężkie od klejnotów jak jej własne myśli od troski. To nie było przecież jej zwycięstwo: to był tylko korzystny dla niej wybór, jakiego Ungana dokonał, wybór zgodny z jej pragnieniem i z tyloletnimi jej wysiłkami, ale wcale nie płynący z miłości do niej. Nie, jej wpływy nie będą rosły. Nie, właśnie teraz trzeba zadbać o to szczególnie usilnie, żeby nie zmaląły.

A przecież jest jeszcze w tym wszystkim na dnie... Dir Łowca. Cały lud Imperium mniema, że kazamaty Wieży na Wyspie Stołecznej są miejscem kary na buntowników, których tam strzegą (i dręczą) z polecenia Imperatora najemni żołnierze z plemienia Galgal-pa'asz. Ale żona Imperatora wie, że w rzeczywistości Wieża nie podlega Unganie: że została zbudowana i obsadzona małpimi wojskami na rozkaz Aldhiru, aby ten miał gdzie rozmawiać ze swoim wiernym sługą Unganą Nile. Dlatego właśnie jest więzieniem tak strasznym. Otóż niewykluczone, że tenże wierny sługa mógłby uzyskać od Pana Północy zwolnienie jednego nieszkodliwego przecież więźnia; ale czy chciałby w ogóle słuchać o tym

ten dzisiejszy Ungana, który wyznacza jej uroczyste audiencje, ale nie mówi już z nią z serca do serca?

Zaśmiała się krótko. Sama także by już tak nie umiała mówić.

A wtedy, w dzieciństwie, kiedy biegnąc po piasku ciągnęła za sobą potykającego się braciszka i oglądała się co chwila, czy fala już nie nadchodzi – mogła przecież puścić rączkę malca, uciekać sama, byłoby prędzej. Do głowy jej to wtedy nie przyszło. Ciągnęła go, prawie niosła, wiedziała, że cokolwiek się stanie, ona jedna w tej chwili może go uratować i uratować musi, albo trudno, przepadną razem.

Tak, ale wtedy to była tylko fala przyływu. Dziś to jest i Imperator, i Dir Łowca, i Inutu, który mógłby wrócić do łaski, i nieznana rywalka, która mogłaby zająć jej miejsce i może nawet zdobyć następstwo dla własnego syna – wszystko to przeciw niej, wszyscy oni czekają tylko, żeby popełniła jakikolwiek błąd, dała się ponieść nierozsądnym uczuciom, nieziszczalnym i tak pragnieniom. Nie, nie przemówi dzisiaj, właśnie dzisiaj tym bardziej nie przemówi za bratem do Imperatora: właśnie od dzisiaj już nigdy nie będzie mogła przemówić. Decyzja podjęta.

Decyzja jedynie oczywista. Mogła sobie darować tę bezsenność: i tak przecież nie wybrałaby w końcu inaczej. Śmieszne: chcieć, żeby Nulani Nile, żona Imperatora, zachowywała się nadal tak, jak mała Nulani Imanu – kiedyś, gdzieś, dawno, może nawet w jakimś innym świecie, po którym śladów już nie ma: rozmazały się w grząskim piasku, zalała je fala.

Odrzuciła więc oto ostatnie wahania i ostatnie echa dawnego świata. Nie odwoła tego wyboru, jak Imperator nie odwoła (bo nie będzie miał powodu odwołać) wysłanego wczoraj przez ręce Kei-kei listu – wyroku, odbierającego następstwo tronu księciu Inutu. Jakże jest spokojna, kiedy w swej sztywnej od złotych haftów szacie wsiada do lektyki i każe się zanieść najpierw na pokoje swych synów: pół mili na wschód, tylko przez kilka dziedzińców, prawie po drodze do wielkiej sali tronowej.

Niespodzianka: z polecenia Imperatora wszyscy trzej dostojni książęta wyruszyli pół godziny temu na morską przejażdżkę. Nie ma w tym niby nic dziwnego, ani tym bardziej złowróżbnego: pogoda jest przecież słoneczna, wiatr słaby, dzieci na pewno są zachwycone. A jednak Imperatorowa czuje się nagle zagrożona, jakby wyzwana do walki. Na szczęście nie jest już dzieckiem, nauczyła się strategii tej walki w dobrej szkole, jest gotowa. Jeśli przecucie jej nie myli, jeżeli rzeczywiście Imperator ma już jej dosyć i pragnie się jej pozbyć, to staną naprzeciw siebie, ona i on, jak równi; czas pokaże, kto wygra.

Szybki przegląd imion sojuszników i klientów – a także sposobów utrzymania ich w zależności. Na kim przede wszystkim oprzeć plany? Hadon – ten miałby w razie czego najbliżej do regencji po Unganie, ale czy ograniczyłby się tylko do regencji? Szemi Ulawe – ten jest

najzaufańszy, szpiegował dla niej, musi wiedzieć, że nie przeżyłby jej upadku. Trzeba mu to wyraźnie uświadomić i potem budować na nim. – Szemi!

Jest przy niej, rozumie doskonale, będzie posłuszny.

– Prowadź mnie koło Wieży, Szemi. Czasu jest dość, chcę pogawędzić po drodze z dowódcą straży.

Nie o Tagunie. O sobie.

Stary, tłusty małpizson – w randzie majora, nie więcej – jest zdumiony tą niesłychaną wizytą, krótką na szczęście, bo nie wiedziałby, czym można na przykład częstować Imperatorową, gdyby wyraziła chęć spożycia jakiegokolwiek posiłku. Rozmowa toczy się pod sklepieniem bramy, bo ani on nie zaprasza do środka, ani ona nie okazuje ochoty wchodzić. Ot, tylko po drodze, nie wysiadając z lektyki, pragnie upewnić się, czy aby załoga Wieży ma wszystko, czego jej potrzeba. Cieszy się bardzo, że tak jest. Ale gdyby przypadkiem brakowało czego lub jej podwładni nie dość gorliwie załodze służyli, wystarczy jedno słowo skierowane do niej (akcentuje silnie, że do niej), a wszelkie uchybienia zostaną surowo ukarane i naprawione natychmiast. Słucha z wielce łaskawym uśmiechem kurtuazyjnych podziękowań małpiego majora. A wyjeżdżając, własną ręką rozbija o narożnik bramy flakon cennego pachnidła.

Stało się, Ungana będzie oczywiście wiedział o tym w ciągu pół godziny, jeszcze przed audiencją. Jeśli przecucia ją omyliły i nie grozi jej z jego strony żadne niebezpieczeństwo, prawdopodobnie zrozumie tylko, że jego żona ostatecznie przewyciężyła już w sobie dziedzictwo Wyspy i tak jak on zabiega gorliwie o łaskę Pana Północy. A jeśli rzeczywiście sprzykrzył ją sobie, to niechże wie, wie dobrze, iż nie wiadomo jeszcze, po czyjej stronie powie się Aldhiru!

Po raz pierwszy (i ostatni) czuła się całkowicie równa Unganie, kiedy szła przez salę tronową wyniosła, spokojna, dla oczu głupich dworaków triumfująca (jakże cisnęli się do niej z pokłonem!), w rzeczywistości zaś zbrojna do walki. Z początku zresztą nie wyglądało na to, że ta gotowość się przyda. Imperator powitał ją ze zwykłą uprzejmością, używając należnego jej tytułu („Najmilsza Nasza Małżonka”) i udzielając jej głosu bez żadnych zastrzeżeń. Był, jak zwykle, nieprzenikniony, ale ona знаła go już dość dobrze i długo, żeby wyczuć w nim jakieś pytanie, nawet jakby niepokój jakiś, i to z nią właśnie związany. Jakby powtarzał w napięciu: Kim jesteś? Kim naprawdę jesteś?

Postanowiła mu to pokazać dokładnie, tak żeby już nie było żadnych wątpliwości. Zaczęła oczywiście od hołdu złożonego jego panowaniu i dość długiego opisu szczęścia i ładu, jakimi słyną wszystkie podległe mu kraje. A dalej...

– Taka jest jednak, o Najmożniejszy, natura istot rozumnych – mówiła – że dobro, które udało im się osiągnąć, pragną przekazać

dzieciom, i dzieciom swoich dzieci, i wnukom swoich wnuków, aby w nich nadal zażywać pomyślności i cieszyć się owocami swych trudów. Ponieważ zaś nawet tobie, choć połowa świata nad tym płacze, nie została dana nieśmiertelność...

Istotnie, dziś szczególnie było po nim widać, że jest nie tylko śmiertelny, ale i chory, może ciężko: kto wie, czy długo jeszcze pociągnie?

– ...dlatego, jak świat długi i szeroki, nie ma w tej chwili na nim ważniejszego pytania niż to właśnie: komu tron zostawisz po sobie. Przypadkowemu następcy, wykorzystującemu zwierzęce prawo starszeństwa, czy dziedzicowi twej myśli, takiemu, który twe dzieło zdoła poprowadzić dalej, państwu twojemu zapewni dobrobyt i nieprzerwaną pomyślność, i takim będzie władcą po tobie, jakbyś to ty sam nadal władał!

Tak pytają twe ludy, a tyś, o Najmoźniejszy, rozstrzygnął. Wieść poszła po całym świecie i wzbudziła słuszną radość twoich poddanych i równie słuszną przerażenie twych wrogów. Któż bowiem z tych, co zbrodniczo się ośmielają na dalekich granicach twych krain stawać z tobą do nierównej walki, obawiałby się kiedykolwiek twego następcy nieudolnego, kapryśnego, słabego, złego wodza i złego polityka? Któż z nich nie zaśmiałyby się ze złej uciechy, widząc go twoim dziedzicem? Ale teraz już wiedzą, albo dowiedzą się wkrótce, że nie tamten, którego imię od lat budzi drwinę, ale inny, ale syn twego ducha, mądry jak ty, łaskawy jak ty, groźny dla wrogów jak ty, weźmie tron i dziedzictwo po tobie. Taki, którego już samo imię świadczy, z czyjej on łaski – jak i ty – ma rządzić. I powtarzają z drżeniem zalekłe krainy: Moc Północy jest z księciem Odirim!

Ale mógłby ktoś szepnąć: Imię to dźwięk tylko, skąd więc możemy wiedzieć, czy naprawdę okaże się księżę Odiri dziedzicem myśli i ducha Najmoźniejszego naszego władcy? Tak – odpowiadam – okaże się nim i jest nim, albowiem synem jest nie tylko twoim, ale także i moim! Synem jest tej godziny, w której odrzekłam się, jakże słuszenie! Wszystkiego tego, czemu w dzieciństwie służyłam, ażeby iść za tobą i z tobą. Synem jest także i tej godziny, w której pośród sług twoich nie wahałam się rozlać wrogiej krwi w obronie twojej osoby. Synem jest wszystkich tych godzin, które spędziłam na uczeniu się dróg twoich myśli i przyswajaniu ich sobie. I tak, jak we mnie nic już nie ma prócz tego, co jest twoim dziełem...

– Dość – przerwał Imperator.

Powiedział to bardzo cicho, ale wszyscy obecni zadrżeli na to słowo i nagle zafalował znowu tłum dworaków, cisnąc się już nie ku niej, ale od niej, byle dalej, byle nie mogło oko Imperatora objąć jednym spojrzeniem i skojarzyć ich i jej, odrzuconej i przekłętej. Ale czekała przecież na coś takiego i nie było to dla niej zaskoczeniem. Na afront,

i to tak publicznie sobie wyrządzony, odpowie teraz z godnością i wycofa się, nie czekając na żadne dalsze słowa Ungany. Zależnie od tego, jaką wyczuje w nim reakcję, albo schroni się prosto do Wieży, gdzie jego władza nie sięga, albo też wróci do swoich apartamentów i tam się zamknie w dobrowolnym (to trzeba będzie podkreślić) domowym areszcie, dopóki Imperator nie zrozumie swojego błędu i nie naprawi zniewagi. Już otwierała usta do tej pełnej godności odpowiedzi... ale nie zdołała głosu wydobyć.

Uderzył w nią z całą siłą gniew Ungany, nieubłagana nienawiść, żądza zniszczenia. Za co, dlaczego? – zakołatało w niej pytanie, głupie pytanie, bo czyż w świecie Imperium obowiązywało sprawiedliwe mierzenie zasług i win? Ale w tej jednej chwili zrozumiała nagle, jak dziecinne było jej przeświadczenie, że po kilkunastu latach nauki w szkole Ungany zdoła stanąć z nim na równi – ona, córka starców z rodu Imanu, nieco tylko uszminkowana na władczynię, z nim, dziedzicem tyłu pokoleń sług Aldhiru. Tak się już uważała za biegłą w sztuce intrygi – a nawet tego nie zdołała przewidzieć, że oto Szemi Ulawe, najwierniejszy, oddany, ten, na którym chciała się oprzeć w ewentualnej walce z samym Imperatorem, na skinienie tegoż Imperatora wystąpi, aby ją oskarżać. A wiedział o niej dość, żeby to zrobić przekonywająco!

Nie doczekała końca jego mowy, nie doczekała wyroku. Nagle w panice rzuciła się ku wyjściu i nie zatrzymano jej. Kiedy wreszcie stanęła, by złapać oddech, była w jakimś zupełnie sobie nieznanym krążanku. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Zeszła po stopniach do sąsiedniego ogrodu i przysiadła na ławce w altanie, przyglądając odruchowo zmiętą suknię i układając poplątane sznury pereł. Po chwili jednak jej ręce znieruchomiały: zdała sobie sprawę z bezsensu tego, co robi. Wtedy zaczęła zdejmować perły i klejnoty, rzucając je na trawę.

Nie, nie będzie już walczyć: kimże jest, żeby mieć siły do tego? I o co? Nie o dzieci, bo Ungana nadal ich potrzebuje i zapewne nic im nie grozi. I nie o siebie, bo nie umie i zbyt już jest przerażona i zmęczona. Może czeka ją wygnanie – tym lepiej. Może więzienie – trudno. Zsunęła ciężki strój zwierzchni, zostając w lekkiej, jedwabnej tunice, w której było jej wprawdzie chłodno, ale nie zdążyła zatroszczyć się o to, bo nagle przyszła jej myśl: a może śmierć? I znów rzuciła się do szalonego biegu, jakby na Wyspie było dokąd uciekać, jakby istniało schronienie.

Na końcu któregoś kolejnego ogrodu gromada niewolników zajęta była strzyżeniem krzewów. Imperatorowa podeszła na palcach i ukradła rzucony tam przez jednego z nich bury płaszcz z kapturem. Odtąd nie biegła już, ale szła otulona w ten płaszcz, biorąc do rąk to jakiś ciężar, to znalezione przypadkowo narzędzie, by móc uchodzić za jedną z bezimiennej służebnej tłuszczy. Nadal nie wiedziała, dokąd właściwie idzie, ale kierowała się, może jakimś dziecinnym instynktem wiedziona,

w stronę dawnego dworu rodziny Imanu, który leżał niegdyś przy drodze Ora nieco na zachód od Ulladu.

Szła tak przez całą noc i świt zastał ją już tam właśnie, pośród kwater ogrodników i tragarzy. Minęła wejście na Plac Wschodni: za nic nie chciałby spotkać się z Mdan w tym poniżeniu. Trafiła wreszcie na kamienne nadbrzeże, o które uderzały fale, gnane tego dnia ostrym wiatrem.

Była głodna i mimo płaszcza zziębnięta straszliwie, bo przecież ledwo co mijała zima i nawet trawy leżały jeszcze zrudziałe i martwe. Przede wszystkim jednak była zmęczona tak bardzo, że gdy znalazła sobie kryjówkę za jakąś potężną skarpią, zasnęła tam od razu. Kiedy się obudziła, słońce dawno już zeszło z nadbrzeża i schowało się za budynki. Morze natomiast cofnęło się daleko i odsłoniło szerokie, łagodne zbocze piaszczyste – takie jak wtedy, dawno, w dzieciństwie. Od lat już nie widziała przyływu ani odpływu, w ogóle nie widywała morza, i teraz znalazła się jakby z powrotem w krainie dzieciństwa, tylko czemu jej w tej krainie tak źle?

Siedziała tam, skostniała z zimna, patrząc przed siebie i nie myśląc o niczym. Wreszcie pod wieczór głód wygnał ją z tej kryjówki: przecież i niewolnicy coś jadają, tylko kiedy i gdzie? Poszła dalej bulwarem i rzeczywiście trafiła. Milczący szereg ciemno ubranych postaci przesuwali się powoli: każda z nich brała ze stosu miskę, z drugiego stosu pajdę chleba i z tym podchodziła do kotła, z którego gruby Szentu nabierał chochlą polewkę. Nulani stanęła na końcu szeregu. Chleb zjadła, zanim jeszcze dotarła do kotła. Kucharz jednak, zamiast napełnić jej miskę, zapytał:

– Twój znak?

Spojrzała na niego ze strachem, nie rozumiejąc pytania.

– Nie jesteś z tego okręgu. Coś za jedna?

Wtedy rzuciła się znów do ucieczki, z bulwaru zeskoczyła w dół na piaszczystą pochyłość i popędziła prosto w morze. Było właśnie najdalej, cofnięte o dobrą milę, ale zanim zdążyła tam dobiec, zorientowała się, że przyływ już się zbliża. Zawróciła.

Piasek był coraz bardziej grząski, jej ślady, po których teraz biegła z powrotem, rozmywały się w nim – za chwilę nic już nie pozostanie, jak nic nie pozostało z jej wielkości, i szczęścia, i chwały. Wiatr szarpnął jej okryciem, zrzuciła je w biegu, byle prędzej na brzeg. W gorączce zapomniała już zresztą, co ją tam czeka, i nawet kiedy ujrzała, że na bulwarze stoi nieruchomo Szemi Ulawe z nagim mieczem w dłoni, nie zwolniła kroku. Gdzieś z głębin zasypanego popiołem dzieciństwa wypłynęło przekonanie, że musi biec, żeby ratować Taguna. Przed czym, jak – nie wiedziała. Tylko biegła.



Rozdział dziesiąty

Duet filozoficzny

Ile to już razy bywało tak na świecie! Król jest pod pantoflem młodej żony, wydziedzicza najstarszego syna, daje koronę synowi tej drugiej. Oczywiście ten najstarszy się buntuje i sięga siłą po swoje. Potem przegrywa albo wygrywa, potem go nazywają wielkim władcą albo przeklętym warchołem. Ot, próba sił i zdolności. Tak i tu będzie.

– Nie wiedziałem, Namui, że tak dobrze znasz historię.

– Politykę. Na polityce w moim rzemiośle trzeba się znać. Jest taki lud na zachodzie, daleko bardzo, żaden z naszych tam nie był, a szkoda, bo kraj bogaty... Ale daleko: wiele mórz trzeba przejechać od Temi na zachód, żeby tam trafić. No, mniejsza z tym. W każdym razie ja tym byłem, i to właśnie wtedy, jak się tam coś takiego działo. Umarła królowa i należała się władza, jak wszędzie na świecie, najstarszej córce, a w testamencie było, że najmłodszej. Toż się zrobiło zamieszanie! A że tam świątynia ma wielkie znaczenie, większe jeszcze niż w Tanhidu, to te obie królowe do arcykapłanki: tak a tak, poprzyj moje prawo! I ta starsza tylko jej obiecywała złote góry, a ta młodsza nie tylko obiecywała, ale i groziła. Ja wtedy... Słuchajże, Kei-kei, jak do ciebie mówię!

– To radź, jak mam życie ratować, a nie gadaj zamorskich bajek! Przede wszystkim nie wierzę, żeby księżę się rzeczywiście zbuntował. Ty nie znasz Imperatora!

– Ale jego syna znam już trochę, po sąsiedzku. Wiem na przykład, że się gór boi, bo do nas nigdy nie chciał iść... nawet jak się już dowiedział, że ja mam w Hremie kwaterę. Ten, kto się czegoś jednego głupio boi, będzie się przed czymś drugim równie głupio stawiał, dla równowagi, wiesz?

– To myślisz, że mnie oszczędzi, żeby naszych skaptować?

– Nie, bo w tym liście, który wiesz, już może być i to, że Starszym teraz ja będę. Daj mi ten list.

Kei-kei zeszywniał tylko: gdyby mógł, toby się próbował cofać, ale nie było dokąd w ciasnej kajucie pirackiego statku.

– List... Imperatora do syna! – wykrztusił wreszcie przerażony. Namui się nie ruszył, tylko zachichotał w swój kubek.

– He, he, he... a to was ten wasz Imperator za pyski trzyma! O sto mil, he, he, he... i na moim statku, i w dodatku może na dwa dni przed śmiercią, a ty jeszcze... he, he, he, skonam z uciechy. No, nie bój się: ze mną będą inne porządki. Ja sobie najpierw poczekam, aż oni się za łby wezmą i któryś któregoś pozre; wtedy dopiero będę gadał z tym, co zostanie. No, może trochę pomogę przy okazji, żeby ten, co zostanie, nie był za silny... ale poza tym nie dam z naszych ani statku, rozumiesz, ani głowy: od wiosła do żagla nic im nie dam, żadnemu, aż po skończonej zabawie; wtedy będę dyktował warunki, rozumiesz?

– Imperatorowi będziesz dyktował warunki? Nie znasz...

– Jak mi to jeszcze raz powtórzysz, to ci oddam twój statek i załogę, jedźże sobie na złamanie karku do swojego Inutu i daj mu się zakłuć dla wyładowania pasji. Niczegoś lepszego niewart! Daj mi ten list.

Kei-kei napełnił sobie kubek, wypił duszkiem i sięgnął w zanadrze. Chwilę ważył list imperatorski w ręce, potem położył go sobie na kolanach pod stołem, jeszcze raz nalał i wypił, i jeszcze raz... Pirat zniecierpliwiony sięgnął pod stół i pochwycił list. Kei-kei nie bronił, może i nie zauważył: pił.

Namui złamał wszystkie trzy pieczęcie, choć wystarczyłoby podważyć jedną i rozłożył pergamin pod lampką.

– To się nazywa: krótko i rzeczowo – mruknął po chwili. – Z następstwem koniec, wielkorządztwo Amrany i Chaonu za całą pocięchę... sam bym się zbuntował. Kamganę zdać Khenowi... jeszcze weselej. „Na Megni zajmij się przede wszystkim walką z piratami, żeby stary Namui zanadto w siłę nie urósł, bo on po cichu larryjskim bardom służy...”. Co takiego? Kei-kei!

Ale Kei-kei nie odpowiedział: głowa zwisała mu już bardzo nisko nad ostatnim niedopitym kubkiem.

– Głupi... Ale ten jego Imperator czasem bywa i niegłupi. Inutu przeciw bardom uwierzy we wszystko, a zanimby się prawdy dogrzebał, straci okazję do skaptowania mnie na swoją stronę. Potrzebne mi to czy niepotrzebne? Nie. Niepotrzebne.

Złożył list i zaczął uderzać nim po stole, nie patrząc, czy nie trafia w rozchłapane przez Kei-kei wino.

– Bardom służę... he! Bardom służę! Już ja usłużę i im, i tobie, żebyś wiedział, żebyś pamiętał do końca krótkich i niesławnych dni, że Namui nie służy nikomu, że się tego słowa przy jego imieniu nie wymawia!

Uderzył kubkiem o dzbanek. Jedno i drugie było z brązu, i puste już jedno i drugie: zabrzmiało jak gong. Wszedł zastępca herszta, Waana.

– Łódź Wehów przygotować do drogi – rozkazał Namui – ale żeby było dobrze widać, że była w bitwie. Ich samych opatrzyć i nakarmić, ale jeszcze na łódź nie wpuszcząć. I przyślij mi tu jeńców: nie Wehów, ale tych z południa, bardów.

Zanim przyszli, mruczał dalej:

– Okup... Mógłbym zażądać choćby całego Adongo i Nehi dałby, oni tacy. Niech je sobie trzyma, niech się naje. Jeszcze tam kiedyś wpadnę po swojemu i pokażę... Bardom służy!

Poprawił knot kaganka. Kei-kei zachrapał i obsunął się na stół. Stary pirat wziął światło do ręki, tak je trzymając, by jak najlepiej widzieć twarze tych, co wejdą. Bardowie. I także myślą, że go kupili. A on ma ich w garści i robi z nimi, co zechce.

Kanum i Nuno mieli za sobą trzynaście lat tułaczki, w ciągu której objechali lub obeszli całe południowe i wschodnie wybrzeże Wielkiego Łądu. Trudno by już policzyć, ile razy uciekali i byli chwytni, ile razy ich wysyłano, darowywano, sprzedawano – zawsze razem: na to jedno wysilili całą swoją moc wewnętrzną i to osiągnęli, że ich nigdy nie rozdzielono. Ostatni rok spędzili w ziemi podległej Tsamonumemu, gdzie musieli starannie ukrywać, kim są; kiedy jednak dostali się podczas napaści pirackiej w ręce Namui, Kanum wyznał staremu hersztowi swoje imię, obiecując mu bogaty okup za odwiezienie ich obu do Adongo. Nuno się temu nie przeciwstawiał oczywiście: milczał. Namui, zachęcony możliwością takiego zysku, wyruszył zaraz na północ, tym bardziej że i tak już chciał odwieźć do Hremy łupy ze swych ostatnich wypraw. Po drodze jednak nie mógł się oprzeć pokusie atakowania przynajmniej pojedynczych statków, stanowiących dla niego łatwą zdobycz; w ten sposób zagarnął i łódź szentyjską, wiozącą Kei-kei z listem Ungany do Inutu.

Teraz stali w kajucie pirata obaj w nędznej odzieży, obaj wychudzeni i opaleni tak, że już nie Megnitów przypominali, ale lud wyspy Karimba. Jeden przy tym wyraźnie już ostatnim tchem goni, febra go zżera. Nie szkodzi: te kilka dni drogi wytrzyma jeszcze.

– Słuchajcie mnie uważnie, Megnici, bom zdecydowałem i tego nie cofnę. Niepotrzebny mi wasz okup: każdy z moich statków z każdej wyprawy tyle mi przywiezie. Ale mi potrzebni posłowie i wy tymi posłami będziecie. A tam płacicie sobie swój okup, jeśli kto od was weźmie; mnie wszystko jedno! Słuchajcie i uważajcie: przejąłem list Imperatora Ungany do syna. I posła, który go wioził, zatrzymuję, bo jest z mojego ludu, ot ten. Ale list i załogę odeślę, a powiecie go wy. Niechże wie Najmożniejsza rodzina, że Namui im w drodze nie stoi. Tak powiecie księciu Inutu: „Posyła nas do ciebie Namui, Starszy ludu Fehine, zyczliwi twemu ojcu i tobie”. Spamiętacie?

Kanum milczał. Gdyby był sam, próbowałby ucieczki choćby wpływ: zbliżali się już do Cieśniny Megnijskiej, już jutro koło południa mogą przy dobrej pogodzie zobaczyć z prawej strony daleki szczyt świętej Góry. Teraz będą patrzeć na niego z sentyjskiej łodzi przez cały prawie czas podróży, aż póki nie skręca ku Kamganie. Och, gdyby tylko był sam! Ale Nuno nie miał takich sił, a on Nuna nie mógł zostawić.

Szentów też, imperatorskich Szentów, niczym się do zmiany drogi nie nakłoni... Nie było rady.

– Spamiętam – powiedział w końcu. – „Namui, starszy ludu Fehine, życzliwy twemu ojcu i tobie”.

A do Nuna, kiedy wyszli:

– Jest jeszcze jedna nadzieja: może zerwie się wiatr południowy tak silny, że zagoni tę łódź do Adongo.

– Będziesz o to prosił? – zapytał cicho Nuno. – Ja nie.

– Dlaczego? Na wszystkie siły Południa, dlaczego?

Nuno przystanął i spojrzał w oczy przyjaciela. Drżał z gorączki, a może z podniecenia.

– Bo wyruszyłem nie tylko samego Taguna szukać, ale i Nahidene – odpowiedział. – Bom jej dotąd nie znalazł i gdybym tylko po to objechał cały Wielki Łąd, żeby wrócić na to samo miejsce, musiałbym uwierzyć, że jej nie ma. Czyś nie widział, jak każda nasza kolejna przygoda, każde szczęście i każda niedola, coś mówiły nam o Głębi Południa, czymś podsycaly ten żar, który nas spala?

– A jeśliśmy po to tylko objechali cały Wielki Łąd, żeby się przekonać, że najbliżej Głębi Południa jest się właśnie tu, na świętej Górze?

– Naprawdę tak myślisz?

Przez chwilę Kanum nie odpowiadał. Statek kołysał się i trzeszczał, jakby deska desce, lina linie powtarzała uparcie to samo pytanie. Ze strony niewidocznego w ciemności wybrzeża Hremy dochodził huk przyboju.

– Nie – powiedział wreszcie Kanum. – Nie myślę.

I więcej o tym ze sobą nie mówili. A przez całą drogę do Kamgany łódź sentyjska miała wiatr akurat w żagle, jakby wszystkim potęgą morza zależało na tym, by ten brudny płat pergaminu o połamanych pieczęciach doszedł jak najprędzej do rąk adresata.

– Posyła nas do ciebie Namui, Starszy ludu Fehine, życzliwy ojcu twojemu i tobie...

Nie mógł przewidzieć ani sam Ungana, ani Namui, że poselstwo, które miało wywołać u księcia Inutu ślepy szal wściekłości (i zapewne niejedno głupstwo popełnione w tym szale), dojdzie do niego właśnie podczas pierwszej, od dawna upragnionej wizyty mędrca Delu Chwana na jego dworze. Lata coraz zażyłszej i coraz uczeńszej korespondencji uczyniły młodego księcia prawdziwym a pokornym uczniem bukrańskiego filozofa; uczniem, który na wszystko byłby gotów, byle

tylko zasłużyć w oczach mistrza na pochwałę. Byleby dowieść, że jest zgodnie z jego naukami władcą prawdziwie oświeconym i gorliwym wyznawcą, w życiu prywatnym i publicznym, Idei Względności.

Całymi też dniami nie rozstawał się z drogim gościem i w jego obecności rozstrzygał sprawy państwa i przyjmował posłów. Także i list ojca przeczytał więc przy nim, a potem mu go podał w zupełnym milczeniu. Delu Chwan bez pośpiechu przebiegł oczyma pismo, po czym uśmiechnął się i rzekł:

– I oto raz jeszcze, drogi książę...

Urwał; Inutu dokończył:

– ...przychodzi nam zastosować prawo względności.

– Właśnie. Jesteś już w nie wtajemniczony tak głęboko, że mógłbyś bez trudności porzucić w ogóle tron i władanie, a przejąć moją szkołę i zasłynąć jako mędrzec.

Inutu skłonił się lekko; aż poczerwieniał z radości. Taki komplement posłyszał od Delu Chwana po raz pierwszy. Nie żeby miał rzeczywiście ochotę rezygnować z walki o władzę – ale przecież uczony magister też mu tego nie doradzał, tylko go chwalił. Jak dobrze, że ojciec nareszcie zdeklarował się jasno, i jak dobrze, że właśnie teraz mistrz jest blisko!

Delu Chwan tymczasem ciągnął:

– Każ tylko usunąć sprzed swego oblicza tych pirackich posłów o wyjątkowo podejrzanych fizjonomiach, a postaram się – znając cię już tak dobrze – pomóc ci wyrazić jasno to, co myślisz.

Rzeczywiście pomógł. Z Delu Chwanem, zwłaszcza jeśli się było jego uczniem, rozmawiało się jak z samym sobą, tylko jaśniej, i bez całego tego wstydu, którym istota myśląca zwykła obwarowywać niektóre ze swych myśli nawet przed samą sobą. Rozmowa taka była wprost arcydziełem muzycznym, jak koncert dwu identycznych instrumentów, jak duet bliźniaczych głosów, tak zgranych i tak podobnych, że ich nie można odróżnić.

– Wydziedziczenie jest rzeczą względną, może więc być zarazem bramą do nowego dziedzictwa.

– Obelga jest rzeczą względną: mędrzec nie trzyma jej przy sobie, ale odrzuca ją jak piłkę.

– Zależność jest rzeczą względną i wielce zmienną...

– ...dzisiaj mędrzec od głupca, a jutro głupiec od mędrca...

– ...Ale mędrzec utrzyma głupca w zależności dłużej...

– ...a przynajmniej postara się go przeżyć, pamiętając...

– ...że inaczej znieważyliby mądrość...

– ...a wraz z nią tego, który go jej uczył!...

Wszystko stawało się coraz jaśniejsze. Właściwie i tak było jasne od początku, ale przecież można sobie było pozwolić na intelektualną rozkosz takiego duetu.

– Prawda jest rzeczą względną...

– ...albowiem to, co dziś nią nie jest, może już jutro nią będzie...
– ...a wobec tego powiedzenie jej już dzisiaj jest dowodem przenikliwości mędrca...
– ...a uczynienie jutro prawdą tego, co się mówi dzisiaj...
– ...jest dowodem potęgi władcy...
– ...i powodem chluby dla jego nauczyciela!
– Drogi mój mistrzu – zawołał Inutu wzruszony – nie oddałbym tej chwili i tej wieści za wszystkie najlepsze wieści, jakie by mi skądkolwiek przysłało!

Delu Chwan najwyraźniej rozczulił się także, ale powaga filozofa nie pozwoliła mu ujawnić tego jaśniej niż przez podniesienie na chwilę ręki ku oczom.

– Do rzeczy, książę, do rzeczy – powiedział surowo. – Masz najpierw do załatwienia sprawę posłów i ich załogi.

– To są Megnici i najwyraźniej bardowie. Imperator widać prawdę powiedział, że Namui z nimi trzyma. Na moim terytorium należałoby ich poćwiartować dziś jeszcze, ale... – zaśmiał się – ale i mnie także posłowie potrzebni. Niech się tam nimi Hwa zajmie jak umie! To jeszcze pewniejsze, niż gdybym ich tutaj oddał w ręce moich Szentów. Więc to rzecz pierwsza: ten list...

Sięgnął po dzwonek stojący obok na stoliku.

– Nie wołaj sekretarza – rzekł Delu Chwan. – Ja go dla ciebie napiszę.

– Dzięki... W takim razie nie będę ci nawet dyktował: ułóż sam, byle tak, żeby ojca krew zalewała przy każdym kolejnym zdaniu.

– Zdaj to na mnie.

– I ani słowa o tym, co naprawdę zamierzam.

– Książę, zaiste myślimy obaj tym samym mózgiem.

Inutu przyznał to samo z zachwytem po przeczytaniu listu. Podpisał go, i dopiero wtedy wezwał strażę, by znowu wprowadziły „pirackich posłańców”. Delu Chwan zajął się odbijaniem pieczęci na złotym laku.

– Jesteście bardami? – rzekł Inutu, kiedy tamci weszli.

– Tylko ja – odpowiedział Kanum, nie dodając żadnych wyjaśnień. Nuno zwiesił głowę: niełatwo jest się przyznać, że się zostało wykluczonym z Bractwa.

– Wiecie, co wam grozi za bezczelne wtargnięcie w moje granice?

Kanum skinął tylko głową.

– Aha, wiecie. Ćwiartowanie dla Bardów niższych stopni... a dla najwyższych... List, któryście wieźli: czyście go czytali po drodze?

– Nie.

– Ale był otwarty.

– Tak nam go dano.

– Bardowie ponoć nie kłamią, co? Zwłaszcza ci wyższych stopni? Dla wyższych stopni przewiduje moje prawo...

I zaczął opisywać wymyślne tortury. Delu Chwan z za sekretarskiego stolika – i z za pleców posłów – dał mu znak pogardliwym wykrzywieniem twarzy: „To głupcy” – po czym rzekł głośno:

– Książę, oni nie kłamią naprawdę, przynajmniej teraz.

– Tak? To ich szczęście... a jeszcze większe ich szczęście, że ty tu właśnie jesteś, drogi mistrzu! Słuchajcie, wy dwaj: powinienem was wedle prawa na śmierć wysłać od razu, ale dziś mi wesoło, boście przywieźli dobre wieści, a jeszcze bardziej dlatego, że mój nauczyciel jest ze mną. Weźcie ten list z jego ręki i tak, jak tu stoicie, idźcie prosto z powrotem do portu i natychmiast, godziny nie czekając, ruszajcie w drogę. Jeśli tu z nikim nie zamienicie ani słowa, odejdziecie żywi. A jak już będziecie u Imperatora, bo to do niego posyłam was z listem – możecie sobie tam raz w życiu skłamać, że nic z bardami nie macie wspólnego, a wyłgacie się od śmierci. Idźcie!

Oni jednak stali zdumieni, patrząc nie na księcia, ale na siebie wzajemnie.

– Na Wyspę Mgieł?... – rzekł Kanum. – Wszędzie bym się spodziewał, tylko nie tam!

– Na Wyspę Szczęśliwą – poprawił Nuno. – A jeśli nawet nie tam, to na pewno tamtędy.

W oczach miał triumf: wyglądał, jakby na nowo ożył.

Tymczasem jednak Inutu zadzwonił znowu i wezwał Chiamgaranę, któremu kazał odprowadzić Magnitów do portu i dopilnować, by nie rozmawiając z nikim odpłynęli natychmiast, tą samą łodzią, z tą samą załogą.

Może gdyby Kei-kei wyjechał z Wyspy Stołecznej dzień później i wiozł już oprócz listu wiadomość o niełasce Imperatorowej Nulani – albo dwa dni później, i wiozł już wiadomość o jej śmierci – może wtedy Inutu nie byłby się zbuntował otwarcie, ale by próbował doprowadzić ojca po cichu do podobnego rozprawienia się i z potomstwem macochy. Ta wiadomość doszła do niego jednak tydzień później, przywieziona drogą lądową przez gońców od Tsamonumego. Książę z początku nie bardzo w nią wierzył, a zresztą nie mógł już się cofać, było za późno.

Bo wieczorem tego samego dnia, w którym otrzymał ów ostatni list Ungany, odczekawszy tylko, aż wypłyną w morze posłańcy, którzy list przywieźli, a których eskorta pożegnała przed paru miesiącami Imperatora w dobrym zdrowiu – wieczorem tego samego dnia książę kazał w Kamganie bić w żałobne gongi i obwieścić smutną wiadomość o śmierci Najmoźniejszego Imperatora Ungany: jako wstęp oczywiście do radosnej wiadomości o wstąpieniu na tron Najmoźniejszego Imperatora Inutu.

Listy z tą podwójną wiadomością wysłał do obu swych megnijskich teściów, do króla Kneha i do wszystkich wasali Imperium na zachodnim wybrzeżu Wielkiego Łądu. Pisał:

Ponieważ w całym Imperium panuje pokój, dzieło Naszego niezapomnianego ojca, przeto i My, wyruszając na Wyspę Stołeczną na koronację i prawne objęcie Naszego dziedzictwa, nie zabieramy ze sobą żadnej siły zbrojnej z tych, które rozstawione po rubieżach Imperium pokoju owego strzegą. Jedynie wierni sprzymierzeńcy Nasi, Lud Równikowy, dostarczą nam godnej Naszego Majestatu eskorty na czas tej podróży...

To kto tam kogo będzie prowadził – zadumał się po przeczytaniu tego listu Kneh: Inutu małpy przeciw braciom przyrodnim, czy małpy jego jako pretekst i sztandar do podboju? Od lat już zbroją się starannie, czyżby to po to właśnie? Popłynie znowu fala wojny na wschód. Mnie najwyraźniej nowy władca zamierza ominąć – to i dobrze: przy okazji wytraci tam trochę tych podłych małp po lądach i morzach. Tylko trzeba by przestrzec Mdan...

I posłał natychmiast na Wyspę Stołeczną tajnego gońca.

A potem westchnął nad swoim ciężkim losem. Gdzież się podziła przesławna Godzina Tmutów? I gdzież się podział jego późniejszy entuzjazm dla Imperatora i jego dzieła? Na odległość słabła jakoś moc Ungany, a może i z latami słabła? Dzisiaj król Kneh znowu był gotów próbować szczęścia i samodzielności i może nawet – kto wie? – poświęciłby córkę dla nowej Godziny Tmutów, gdyby nie to, że go na taką godzinę po prostu nie było stać. Skarbowo. Imperium, cokolwiek umiało, jedno w każdym razie umiało na pewno: łupić swoich wiernych i szczęśliwych poddanych bardzo dokładnie ze skóry. W ciągu tych piętnastu lat król Tmutów stał się dosłownie żebrakiem, który niczego już nie mógł przedsięwziąć samodzielnie, ale musiał błagać stołecznych urzędników za morzami niemal nawet o pieniądze na drobne wydatki. Nic dziwnego, że Inutu tak się śpieszy do koronacji: tylko ten, kto ma Wyspę Stołeczną z jej skarbcem, ma naprawdę w garści Imperium!



Rozdział jedenasty

Bitwa pod Sawandu

Tak się złożyło, że ów tajny goniec króla Kneha, Tmut imieniem Kun, dotarł na Wyspę Stołeczną o dzień wcześniej niż Kanum i Nuno z listem, choć i drogę miał dalszą, i później wyruszył. Łódź bardów wpadła przy niesprzyjającej pogodzie na mieliznę na Małym Archipelagu, a choć zdołano ją stamtąd ściągnąć podczas przyływu, potrzebna była naprawa i trwała ona dość długo. Kun natomiast nie miał w swojej podróży trudności większych niż konieczność wymknięcia się strażom, które Inutu rozstawił, by nikt nie doniósł zbyt prędko Unganie, że na Wielkim Łądzie ogłoszono go już za umarłego. Kun oczywiście także nie wiedział, że Ungana żyje, jak o tym nie wiedział i sam Kneh; mniemał jednak słusznie, że planowana zbrojna wyprawa nowego Imperatora utrzymywana jest w tajemnicy przed jego przyrodniemi braćmi i że będzie spotykał na drodze takich, którym zlecono dopilnowanie tej tajemnicy. Szczęście mu też dopisywało przez cały czas podróży, niestety jednak u jej kresu opuściło go zupełnie: już na samej Wyspie Stołecznej, ledwie zaczął pytać o księżniczkę, wpadł w ręce agentów Hwa. W godzinę później Imperator wiedział już o wszystkim.

Kiedy więc następnego dnia przybyli posłowie od syna, Ungana miał już plany dobrze obmyślane i przyjął list i posłów zupełnie spokojnie. Była już jesień; wiedział, że Galgal-pa'asz nie ruszą wcześniej niż wiosną, ani nie dotrą wcześniej niż niegdyś Tmutowie. Wiedział także, że Władca Północy będzie tym razem raczej po stronie Inutu, który idzie ramię w ramię z jego ludem – o ile oczywiście sam ów Władca Północy nie był swojego czasu przywidzeniem: po kilkunastu latach braku jakichkolwiek kontaktów można było nabrać takich podejrzeń. A jeśli

nawet istnieje i weźmie stronę buntowników – cóż z tego? Ungana mówił sobie, że jakiegokolwiek by siły powstały przeciwko niemu, musi im czoła stawić sam i walczyć z nimi własną mocą: i czuł w sobie potęgę i pychy dosyć, by i Północy, i Południu naraz wymówić posłuszeństwo. Cóż, że przy tym prawdopodobnie zginie? Usypie sobie mogiłę z całych krain i całych ludów wytraconych dlatego, że śmiały pójść przeciw niemu – albo że śmiały pójść za nim. Przez wiele lat walczył z niepewnościami, z poczuciem niewiedzy i niemocy: odkąd zginęła Nulani, wszystko to ustąpiło, jak gdyby rzeczywiście to ona była dla niego pętem i pułapką. Kto wie zresztą, może i Pan Północy, widząc go takim, jakim on jest teraz, odstąpi od syna-zdrajcy i stanie po jego stronie? Przyjąłby tę pomoc, owszem, ale już teraz jako pomoc równego. I prosić o nią nie myślał. Więcej: zamierzał jasno dać do zrozumienia, że o nic prosić nie myśli.

W tym celu zaraz rano kazał wezwać do siebie dowódcę Wieży wraz z całą załogą. I widać Dir był daleko i jeszcze swoich czarnogębich małąp nie zdążył ostrzec, albo może go w ogóle nie było, bo tamci przyszli: zdziwieni nieco, ale zupełnie spokojni. I nie było w nich żadnej wielkiej czy niesamowitej mocy: otoczeni przez oddział Szentów w zamkniętym dziedzińcu rzucili broń, a zaczęli się wspinać z wrzaskiem przerażenia po kolumnach i strzyżonych kulach drzew. Szentowie wyciągnęli łuki i w kilka chwil położyli kres niesmacznemu tchórzostwu czterdziestu małąp.

Imperator natychmiast osobiście udał się do Wieży: nie mógł tego powierzyć nikomu, nawet najzaufańszemu, bo taki rozkaz nie zostałby w ogóle wykonany inaczej niż pod jego okiem. Jednocześnie zamierzał też dać dowód, że on sam jest ponad strachy Wieży. I rzeczywiście wszedł tam bez żadnych przeszkód i zwiedził urządzenia obronne, potem zaś lochy. Jedno i drugie go rozczarowało. Mury Wieży wyglądały mocne i groźne tylko od zewnątrz; od środka były w wielu miejscach żerdziami podparte i nie nadawały się zupełnie do przetrzymywania oblężenia. To nie znaczy, żeby Ungana liczył się już wtedy z możliwością jakiegokolwiek oblężenia albo w ogóle planował taki system obrony. On zawsze bardziej wierzył w moc zbawczą lotnej łodzi, na której można dopłynąć dokąd potrzeba, niż w zamykanie się w twierdzy, gdzie już tylko można czekać, czy wezwane posiłki zdążą na czas, czy nie zdążą. Wieża nie była mu do niczego potrzebna; już raczej, na wypadek najgorszego, jakaś dobrze ukryta przystań. Zakładając, oczywiście, że będzie jeszcze dokąd uciekać.

Co do lochów, te były niewątpliwie zbudowane solidnie (przynajmniej na tyle, na ile małąp lud potrafił w ogóle solidnie budować), ale niestety prawie puste. Imperator liczył na to, że znajdzie tam wielu więźniów, których wspaniałomyślnie ułaskawi, zyskując sobie przez to lepszą sławę: o swoją sławę musiał dbać chwilowo, skoro pojawił się konkurent

do korony. Pamiętał, że w ciągu piętnastu lat rządów wiele setek przestępców posłał do Wieży, co było w całym Imperium uważane za gorsze jeszcze od zwykłej kary śmierci. Widać jednak załoga rozprawiała się z tymi więźniami dość szybko, uważając może za zbędny wydatek i trud żywienie ich w podziemiach; w każdym razie Imperator znalazł już tylko w górnym lochu kilku feineńskich zbiegów, których przysłał nie dalej niż przed tygodniem, a w najgłębszym – Taguna i jego dwóch towarzyszy.

Tych pierwszych kazał natychmiast odesłać do Feinomy wolnych; nad losem drugich zastanawiał się przez chwilę. Od dawna nie pamiętał już w ogóle o ich istnieniu, a teraz zjawili mu się jakby żywa przeszłość. Ale była to przeszłość tak odległa, że już nie mogła szkodzić, ani nawet nie mogła go wzruszyć. Ostatecznie chwilowo najważniejsze było, aby wiadano w całym Imperium, że Imperator zburzył straszną Wieżę i wszystkich więźniów oswobodził. No, nie aż na tyle, żeby takich jak ci wypuszczać całkiem z ręki... Niech dla odmiany siedzą teraz u Mdan na Placu Wschodnim. Wyjdzie na jedno.

Imperator już teraz rzeczywiście nie płakał, chyba że przez sen, ale zasnąć zdarzało mu się rzadko. I nie wędrował po bagnach nad Janawą. Osiągnął spokój: nie było już na całej ziemi nikogo i niczego, co by cenił powyżej siebie. Kulał, to prawda, i bolały go krzywo zrosnięte żebra, których żadnemu lekarzowi nie pokazał, ale w duszy czuł się taki, jaki był w młodości: jasno myślący, nieugięty, pewny siebie. Jeżeli czego żałował, to tego, że pomysł tak pełnego wyzwolenia tak późno przyszedł mu do głowy.

List od Inutu nie wniósł do sprawy niczego nowego; utwierdził tylko Unganę w przekonaniu, że syn go chce utrzymać w niewiedzy co do swych zamiarów i przypuszczalnie ciągle jeszcze wierzy, że mu się to uda. Natomiast osoby posłów dały Imperatorowi wiele do myślenia. Nie kryli swoich imion, a on znał dobrze ze słyszenia oba; ale nie to było ważne, kim są, bo tanhidyjski Nehi zbyt mało miał siły, żeby za głowę ojca (żywą lub martwą, jaką by wolał) postawić do dyspozycji Imperium jakiegokolwiek warte zachodu wojsko. Co z nimi zrobić? Jako bardowie powinni by zginąć albo pójść do Wieży; ale Wieża już nie istnieje, o czym każdy się może naocznie przekonać, a sam Imperator jest obecnie władcą tak łaskawym, tak łaskawym... No więc posłał ich obu śladem tamtych na Plac Wschodni i zaczął się zastanawiać nad tym, co jedynie było ważne w ich zeznaniach: nad rolę Namui w całej sprawie. Delu Chwan w napisanym po mistrzowsku liście znalazł miejsce i dla formuły powitania, jaką stary pirat kazał wygłosić swoim posłom – a ci, zapytani, potwierdzili, że tak było naprawdę. Było więc jasne, że Namui, wykorzystując zdobytą tak chytrze władzę, będzie się starał zachować neutralność, aż póki się nie przekona, zdrajca, kto wygra tę wojnę. Trzeba było działać pośpiesznie, a bezbłędnie, żeby sobie zapewnić

posłuszeństwo tych wszystkich Fingajów, których on jeszcze nie zbuntował.

Tej samej nocy, świtu nie czekając, popłynął więc do Biruro goniec z dekretem wyłączającym lud Fehine osiadły w swej odzyskanej ojczyźnie spod władzy Starszego, a poddającym go dziedziczeniu królowi zależnemu oczywiście od Imperatora. Starszemu mieli odtąd podlegać ci tylko żeglarze, którzy mieszkają na wyspach lub zgoła na swoich okrętach, jak to od pradawnych czasów robiło wielu. Jednocześnie Imperator mianował królem niejakiego Sesego syna Leoli, Fingaja będącego właśnie wielkorządcą w Biruro; Starszym zaś nad żeglarzami (wbrew niecnym knowaniom zbrodniczego pirata Namui, który głosi, jakoby to on otrzymał ten urząd od Imperatora) niejakiego Kalelego syna Kalelego, mieszkającego na Małym Archipelagu. Tam to właśnie Ungana chciał zastawić pułapkę na małpią eskadrę syna.

I tu mu dopisało szczęście. Wysłannicy Namui zjawili się wprawdzie w Feinumie nieco wcześniej niż jego dekrety, ale stary pirat nie był popularny, bo dobrze pamiętano, że przez całe życie łupił równie bezlitośnie swoich, jak i obcych. Toteż wysłańcy nie mogli od razu rozkazywać w jego imieniu: musieli zacząć od żmudnego i powolnego kaptowania stronników, ale na to już właśnie Imperator, w porę uprzedzony, nie zostawił czasu. Sese syn Leoli kazał wyłapać i powiesić agentów pirata, po czym ruszył na Wyspę Stołeczną, prosić tam uniżenie, by Imperator sam zechciał włożyć koronę swemu najniższemu słudze. Przy tej okazji obiecał też uroczyście, że zaraz po powrocie wyśle całą swą flotę w pomoc Kalelemu. Przy dobrym wietrze mogła ona jeszcze przed zimą dotrzeć na Mały Archipelag.

Po czym Sese syn Leoli, król Feinomy, wyruszył niezwłocznie w drogę powrotną do swojego kraju, odległego od Wyspy Stołecznej o dwa dni żeglugi. Jak to się stało, że przybył tam dopiero po miesiącu, nie zostało nigdy wyjaśnione. Był słowny, więc zaraz po przybyciu wydał swej flocie obiecany rozkaz i flota wyruszyła natychmiast; ale też i powróciła wkrótce, admirał zaś złożył królowi raport, że już niestety żegluga jest niemożliwa i trzeba czekać do wiosny. Kalele syn Kalelego nigdy więc tej floty nie zobaczył. I nikt o tym nie doniósł Unganie.

Kalele syn Kalelego był w bardzo trudnej sytuacji. Uroczysty odręczny list Imperatora postawił go na czele ludu, którego już na Małym Archipelagu prawie nie było, i na czele floty, którą dopiero miał zebrać, i to zimą. Dostarczyć jej miały państwa leżące na wschodnim wybrzeżu Wielkiego Łądu, na których wierność Imperator liczył niezachwianie. Otóż dalsze prowincje, o ile Kalele mógł wiedzieć, rzeczywiście gotowe były stanąć na wezwanie. Ale tuż blisko, w Mandagoriwie, wielkorządcą Tsamonume miał już na pewno korzystne propozycje od Inutu: kto wie, czy nie korzystniejsze od tych, którymi go próbuje skaptować Imperator. I montuj tu w takiej sytuacji

flotę i pierwszą linię obrony! W dodatku „pierwszą” znaczyło właściwie jedyną; między Małym Archipelagiem a Wyspą Stołeczną była już tylko pusta przestrzeń oceanu, na której nawet wielką flotę (założywszy, że Imperator wystawiłby jeszcze drugą) można było bez trudności po prostu ominąć. Nie, jeżeli Kalele nie powstrzyma małej fali na Małym Archipelagu, to następną linią obrony będzie dopiero brzeg samej Wyspy Stołecznej. Z trudnym do przewidzenia skutkiem.

A z Feinummy, mimo zapewnień Imperatora, nie zjawił się nikt. Pomimo to usilną pracą zdołał Kalele pod koniec zimy wystawić sporą eskadrę feineńską, co w połączeniu z łodziami Tsamonumego mogło stanowić już całkiem poważną siłę bojową. Sam Tsamonume wahał się długo, zanim się w końcu zgłosił u feineńskiego admirała jako stronnik Imperatora – ale się w końcu zgłosił, i to było najważniejsze. Co więcej, przyjechał osobiście i już na Małym Archipelagu pozostał. Kalele nie był tym zachwycony, gdyż eksbard szentyjski nie znał się nic a nic na morskiej strategii, a upierał się uczestniczyć we wszystkich naradach i nieraz bywał na nich naprawdę trudny. Trzeba to było jednak znosić, żeby go nie zrażać.

Plan, który w końcu wypracowano, opierał się na znajomości tak prądów morskich na południowy wschód od przylądka Galliwam, jak i sztuki żeglarskiej napastników. Galgal-pa'asz używali przede wszystkim ciężkich galer, o dość prymitywnym ożaglowaniu, ale za to wielkiej sile wiosła. Chociaż szybkie (zwłaszcza gdy już nabrały rozpędu), były niezbyt zwrotne i niezdatne do skomplikowanych manewrów. Otóż flota płynąca Cieśniną Megnijską na wschód musiała – gdyby chciała ominąć Mały Archipelag – wziąć kurs na północ na dzień drogi przed przylądkiem Galliwam, inaczej bardzo sobie utrudniała zadanie, wchodząc w tak zwany prąd szentyjski. Był to dość ostry prąd, zaczynający się u skalnych wirów przylądka i wpadający pomiędzy wyspy Archipelagu a wybrzeże Wielkiego Lądu; mniej więcej na wysokości Mandagoriwy zawracał nagle na wschód, jakby odbity od ziemi, i pędził odtąd niemal prosto ku Staremu Lądowi. Wiele już flot zdobywczych niósł ten prąd, jak niósł przed kilkunastu laty wodne dyski Tmutów; Inutu jednak, jak można się było spodziewać, będzie się raczej starał ominąć czekające na niego okręty ojca i uderzyć prosto na Wyspę. Żeby temu manewrowi zapobiec, Kalele postanowił posłać całą swoją feineńską eskadrę na wabia i wprowadzić napastników pozorowaną ucieczką w nurt prądu; właściwą zaś bitwę rozegrać u szczytu Archipelagu, między wyspami Sawandu i Tebendu. W tę to właśnie krętą cieśninę miał nadzieję wprowadzić nieprzyjaciela; u jej wylotu umieścił wrak, który kazał natychmiast po przejściu uciekającej eskadry wypchnąć na środek i podpalić, a na wysokim brzegu Sawandu ustawił kilkadziesiąt katapult szentyjskich. Okręty Tsamonumego, ukryte za obu wyspami, miały na dany sygnał wypaść z kryjówek i zamknąć wroga

w pułapce. Gdyby nawet Inutu nie wpłynął do cieśniny, wezmą go i tak w dwa ognie.

Szczegóły tego planu dopracowywano długo, ale ogólny jego kształt był gotów już w kilka dni po przyjeździe Tsamonumego. Zaraz potem zjawiał się na Archipelagu jeszcze ktoś inny, kogo Kalele nie oczekiwał zupełnie: Namui. Ten najspokojniej dał znać, że uważa się nadal za prawnego Starszego wszystkich Fehine, gotów jest jednak uznać Kalelego za swego następcę, oczywiście pod pewnymi warunkami, o których zresztą napomykał dość niejasno. Kalele pokazał list Tsamonumemu: obaj nie mieli wątpliwości, że stary pirat chciałby odegrać rolę jęczycza u wagi i że mu przede wszystkim zależy na zdobyciu wiadomości. Obaj też postanowili natychmiast się z nim rozprawić, zanimby zdołał namącić. Sił mieli dość i drogę bliską, bo Namui nie zimował tego roku w Hremie, ale na otwartym morzu na południe od Mandagoriwy, skąd znosił się bez większego powodzenia ze swymi rodakami z Wielkiego Archipelagu. W ostatnich zaś tygodniach przemknął po cichu na północ w nadziei, że zyska coś na udziale w przygotowywanej tam wojnie. I widać odkąd wziął się do polityki, zapomniał nieco pirackiego rzemiosła, bo wszystkie jego pięć okrętów udało się Kalelemu otoczyć i po krótkiej, ostrej bitwie zdobyć. Dwa z nich zatoneły przy tym, dwa nadawały się jeszcze do użytku, toteż zostały wcielone do feineńskiej eskadry i obsadzone mieszaną załogą. Piąty, flagowy okręt Namui, użyty został do kaźni, jaką na tych morzach był zwyczaj stosować wobec piratów: tych wszystkich, którzy nie zginęli w bitwie, przykuto wraz z samym hersztem do pokładu i okręt podpalamo.

Tak więc zginął Namui, pirat o aspiracjach politycznych, a było to na początku wiosny; Kalele posłał też natychmiast Imperatorowi wiadomość o pierwszym sukcesie. Ale o tym, co stało się tydzień później, nie miał już kto Imperatorowi donieść.

Stosownie do swego planu Kalele wysłał feineńską część swej floty na północ; sam czekał na Sawandu, skąd miał dowodzić bitwą. I chociaż wszystko było od dawna gotowe, zdziwił się niemile, gdy już piątego ranka po wypłynięciu eskadry (a nie co najmniej dwudziestego piątego, jak można się było spodziewać, zważywszy odległość i porę roku) ujrzał ją wracającą, ściganą przez wroga.

Wynikało z tego, że Inutu wyruszył o wiele wcześniej, niż oczekiwano, a także, że na prąd sentyjski wpłynął z własnej woli. Nie było czasu jednak zastanawiać się, co by to mogło znaczyć: uciekająca w popłochu eskadra była już coraz bliżej, a ogromne małe galery ścigały ją przecież i tak. Kalele wyszedł na wzgórze, gdzie była bateria katapult i urządzenia sygnalizacyjne. Widać stąd było doskonale całą przygotowaną pułapkę, a nawet tę część floty Tsamonumego, która stała za wyspą Tebendu. Już pierwszy okręt feineński wpłynął w cieśninę,

zajadłe sygnalizując meldunek: „Wszystko w porządku, gonia” – o którego prawdziwie admirał mógł się i tak naocznie przekonać.

– Patrz – rzekł Tsamonume – nie wejdą.

Rzeczywiście ciężkie galery wytracały szybkość i coraz większa odległość dzieliła je od uciekających łodzi.

– Ale i nie zawracają, to dobrze. Dam sygnał do okrążenia.

I Kalele własnoręcznie rzucił snopek wilgotnej słomy na żarzące się w glinianej misie węgle. Olbrzymi słup dymu wyrósł nad admiralską kwaterą; chwilę później podobne słupy uniosły się z dalekich wybrzeży obu wysp. Sygnał przyjęto.

– Patrz – rzekł znów Tsamonume, kładąc ciężką rękę na ramieniu admirała – oni jednak ścigają.

Było to o tyle niepomyślne, że użyte na wabia okręty feineńskie, wpędzone do cieśniny, nie mogły w niej zawrócić i przyłączyć się do walki toczonej na otwartym morzu wcześniej niż dopiero po okrążeniu całej (niewielkiej na szczęście) wyspy Tebendu. I najwyraźniej Galgal-pa’asz mieli zamiar zamknąć uciekających w tej cieśninie: może chcieli ich tam otoczyć? Ale jeżeli tak, to się będą musieli rozdzielić: a wtedy trafią tylko na oba skrzydła szentyjskie. Kalele spojrzał znowu ku Tebendu i zobaczył ku swemu zdumieniu, że stojąca za wysepką część floty mimo przyjęcia sygnału dotąd nie ruszyła z miejsca. Powtórzył sygnał i znów mu tak samo odpowiedziano; tymczasem już ostatnia z feineńskich łodzi wpływała do cieśniny. Za nią, bez większego pośpiechu, przebierając wiosłami jak tańcząca tarantula, sunęła jedna tylko nieprzyjacielska galera, mająca widać za zadanie zamknąć ściganym możliwość odwrotu.

– Patrz – powtórzył raz jeszcze Tsamonume – patrz!

I siłą odwrócił Kalelego ku wschodniemu wylotowi cieśniny.

– Oszaleli! – krzyknął admirał.

U końca cieśniny, na drodze napływających na pełnych żaglach Fehine, płonął już wrak, który miał zamknąć w tej pułapce nie ich, ale tych dopiero, co przyplłyną za nimi.

Ścigająca samotna galera sunęła już też po cieśninie, odcinając wszelką możliwość wycofania się z tego piekła ognia i wody tym nawet łodziom, które by jeszcze zdążyły zatrzymać się w porę.

– Katapulty! – krzyknął Kalele. – W nich!

Zaskrzypiały liny, poruszyły się olbrzymie ramiona machin podobnych z daleka do koników polnych. Raz – dwa – trzy – rozhuśtały się ich brzemiona i grad kamieni runął w dół... nie na wrogą galerę, na swoich!

Palce Tsamonumego zacisnęły się na karku admirała tak, że niemożliwy stał się wszelki ruch. I wtedy dopiero admirał zrozumiał. Bezwładny w tym katowskim uścisku patrzył szklanymi oczyma na nieruchome szentyjskie okręty stojące nadal za Tebendu. To tylko miał

jeszcze do wyboru: patrzeć albo w dal, albo tuż pod nogi, gdzie załoga małej galery dorzynała nielicznych uciekinierów z feineńskiej eskadry zatopionej ogniem i gradem kamieni.

I tak się zakończyła bitwa pod Sawandu. Tsamonume wa Tsamonume, dziedziczny już (z łaski Imperatora Inutu) wielkorządca Mandagoriwy, powrócił potem z całą swoją flotą do siebie, by utrzymywać pokój Imperium na wschodnich wybrzeżach Wielkiego Łądu. A Imperator Inutu na czele pięćdziesięciu bojowych galer małego ludu popłynął na swą koronację na Wyspę Stołeczną, słusznie przekonany, że ją bez trudu zdobędzie.



Rozdział dwunasty

Wilki na drodze

W Górach była już zima, kiedy do Daggesz dotarł goniec, przynoszący królowi Dżauriemu wezwanie Imperatora: „Przybywaj do mnie na czele pięciu tysięcy”.

Goniec wioził też ze sobą trzech chłopców megnijskich, z których jeden miał jakieś lat piętnaście, dwaj pozostali może jedenaście. Sam goniec był to dość głupawy Szentu, który nie umiał nic o chłopcach powiedzieć, oprócz że Imperator dał co do nich wyłącznie polecenie ustne: król Dżauri ma ich wychowywać u siebie i ma być zawsze gotów ich odesłać na jego żądanie, ale na niczyje inne. Dżauri przyjrzał się chłopcom, zmęczonym, zmarzniętym i oszołomionym; odprawił gońca i zapytał ich o imiona. Ostrożność była zbędna: podali oczywiście fałszywe.

– Dobrze – powiedział król – tylko ich nie zapomnijcie. Będziecie mieszkać u mnie jak ci wszyscy chłopcy, którzy tworzą drużynę mego syna. Ale najpierw pójdziecie spać!

Odprawiwszy ich, kazał wezwać do siebie Kertiego. Najstarszy z pięciu królewiczów dobiegał już także piętnastu lat, a wyglądał na osiemnaście: rosły i zdrowy, pełen życia i radości. Przybiegł do ojca prosto z dziedzińca, gdzie razem z braćmi i kilkunastu wyrostkami tłoczyli się na ślizgawce. Dżauri uśmiechnął się na jego widok; nikogo w świecie nie kochał tak jak tego syna. Chłopiec także odpowiedział mu radosnym uśmiechem. Głos ojca jednak, wbrew temu powitaniu, był poważny i zatroskany.

– Słuchaj, Kerti... dostaniesz dzisiaj do drużyny trzech małych Megnitów. Słuchajże: to są dzieci, nad którymi wisi nieszczęście. Daję ci ich po to, żebyś ich krył i bronił. Jak będziesz królem, znajdziesz dla nich jakieś urzędy na dworze; na razie niech rosną spokojnie i niech

tutaj odnajdą to, czego w domu nie mieli: dzieciństwo. Nigdy, pamiętaj: nigdy nie wydasz nikogo, dorosłego czy dziecka, kto by u ciebie szukał schronienia, i nigdy też nie będziesz wykorzystywał takich zbiegów do polityki, rozumiesz?

– Rozumiem, ojcze. Nie napiszę do obcego króla: „Mam u siebie twojego brata, ustąp mi ziemi, inaczej wprowadzę go na twój tron zamiast ciebie”.

– Aż za dobrze rozumiesz. Wracaj, synku, do swoich.

Potem Dżauri stał długo w oknie, jakby to już dzisiaj miał żegnać Góry. W jego rodzinnym Dżug-byr na równinie, patrząc z tarasów pałacu na zachód, widziało się miasto i miasto aż po sam pas morza na widnokręgu: szerokie ulice, przestronne place, kolumnady. Tu w tej jaskółczej stolicy inaczej: tu, patrząc z okien zamku, trzeba się było dobrze z nich wychylić, żeby w przepaści dostrzec ciemnorude dachy najbliższej, bo najwyższej położonej dzielnicy miasta. Dżauri, kiedy zobaczył Daggesz po raz pierwszy, sądził z początku, że jest ono po prostu wykute w skalnej ścianie. Teraz, patrząc przed siebie, widział tylko, jak mawiał: niebo, a za tym niebem niewyobrażalnie daleko drugą ścianę doliny, przeciwległą (i wyższą jeszcze) łańcuch górski. Gdyby był orłem, potrzebowałby wielu godzin, żeby tam dolecieć. Gdyby był wichrem, musiałby chyba zwołać do pomocy siedmiu braci, żeby najmniejszy ze żlebów tej góry – stąd widoczny zaledwie jako ciemna zmarszczka, w rzeczywistości większy od jego stolicy – zapełnić śniegiem choćby do połowy. Gdyby był wolny, nigdy by stąd nie odchodził, ale musi... musi.

Kerti zostanie. Ileż to razy tłumaczył Kertiemu: „Kiedy już będziesz dorosły, a zapragniesz podróżować, podróżuj. Ale na wszystko, co na świecie zobaczysz, patrz tak, jakbyś to widział z okien daggeskiego zamku”.

Był wprawdzie kiedyś wojowniczy dziad, Dżauri Zdobywca, który właśnie stąd patrzył inaczej i odszedł; poszedł na Równiny, by wplątać się w ich płaskie, zawikłane dzieje, jak nieostrożny królik w nazbyt gęstą trawę. Teraz jednak krew Dżauriego Zdobywcy powróciła w rodzinne Góry bogatsza o to doświadczenie. Nieprędko znów stąd odejdzie.

Oderwał się od okna – jeszcze przecież nie dzisiaj! – i poszedł do komnat świekry. Stara królowa nic dotąd nie straciła ze swojej dawnej energii, nadal też miała w ręku wiele spraw: nie tyle może, ile by potrafiła, ale dość, żeby nie cierpieć na brak pracy i znaczenia. Balit zupełnie się w nią nie wdała: tej rządy nie interesowały, pochłaniały ją dzieci.

Dżauri zastał je obie razem i przeczytał im list Imperatora. Balit słuchała dosyć obojętnie: zrozumiała to tylko, że Dżauri musi wyjechać na krótko, ale przez myśl jej nie przeszło, żeby panu Połowy Świata,

a przy nim jego wasalowi, mogło grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Nad głową córki Kera utkwiała badawczy wzrok w oczach zięcia. Przymknął lekko powieki na znak przyświadczenia: tak. Już.

Potem zaproponował żonie przechadzkę po dziedzińcach, na których bawiły się dzieci. Odtąd nie widział już i nie słyszał niczego, co się wokół niego działo, chociaż potrafiłby dokładnie wyliczyć wszystko: z kim i o kim rozmawia świekra, jakie rozkazy i komu wydaje. To było tak oczywiste – ale mieli tyle dla niego życzliwości, oni wszyscy, że milkli, kiedy się zbliżał: żeby mógł nie zdradzić przysięgi.

Patrzyli też na niego z żalem, ale maskowanym, żeby i tym mu nie utrudnić drogi; a może także i dlatego, że nie byli go tak całkiem pewni? Może gdyby się nie urodził na Równinach, może gdyby pochodził z dynastii górskiej po mieczu, a nie tylko po kądzieli, mówiliby z nim otwarcie, wiedzieliby na pewno, że nie zawiedzie? A tak, woleli nie wystawiać go na próbę, żeby się nie okazał mniejszym, niż myśleli, nie w pełni godnym tego szacunku, którym go darzą.

Nawet i Adun milczał, ten chyba tylko dlatego, że się nie śmiał wtrącać: dżugidzkie pojęcie honoru nie było mu wprawdzie obce, ale pochodził z ludu, który już cywilizacja doprowadziła do większej pobłażliwości. Wymagałby może jako bard bohaterstwa sam od siebie, ale nie od innych. Nie tak górale! Hej, będzie w Górach pieśń o królu Dżaurim Wiernym – ale żeby ją móc ułożyć słowem, wszyscy oni pilnują teraz, by najpierw czynem została odśpiewana.

W przeddzień świętego Przesilenia król znikł z pałacu: Adun, ku swemu zdumieniu, znalazł go następnego rana w świątyni Ognia, klęczącego w przedsionku pomiędzy uczniami, którzy tego rana mieli zostać wtajemniczeni na siódmy, najniższy stopień Bractwa. Miecz otrzymany niegdyś od Ungany król złożył na stopniu znicza. Nie będzie potrzebny bardowi! Ale i do obrony kraju nie będzie już także potrzebny. Nie wejdzie tutaj nieprzyjaciół, nie zapłoną omszałe strzechy nad głowami górskiego ludu. Wolny odtąd będzie ten lud, jak wolny był, odkąd istnieje. Nie wplecie go więcej w swe tryby Imperium Połowy Świata osłabione wewnętrzną walką. Nie sięgnie po niego nikt, jak i on po niczyje ziemie nie sięgnie.

Noc spędził Dżauri przy Ogniu, a pierwszy dzień po święcie – przy żonie i dzieciach. Posłał tylko rozkaz w dolinę, gdzie u stóp wodospadu był obóz wojska, by na jutro pięciu tysięcy przygotowało swych zbrojnych do drogi. A rano zszedł do nich sam, bez jednego giermka czy sługi. W bramie obozu wsiadł na konia, którego mu podano, i pojechał na plac, by odbyć przegląd wojska. Setka po setce przechodzili przed nim, wszyscy z oczami utkwionymi gdzieś przed siebie, wielu z nich starzy towarzysze broni – król także podniósł wzrok ponad ich głowy, patrzył na postrzępione lodowe nawisy wodospadu. Przeszli. Stanęli w pozycji, gotowi do marszu. Pięciu tysięcy podjechało do króla,

czekali komendy.

– Naprzód... na rozkaz Imperatora! – zawołał Dżauri.

Nie powtórzyli za nim, jak był zwyczaj. Najstarszy, Warru, który już za Zdobywcy był sławnym wojownikiem, wysunął się do przodu. Wysoki, starczy głos dziwnie brzmiał na tym polu, ale był czysty i nie drżał.

– Dżauri, synu Tanmuka, słuگو Imperatora! Wypowiadamy ci posłuszeństwo. Nigdyśmy ani tobie, ani twemu panu nie przysięgali...

To była prawda: w Górach słuchało się króla bez przysięgi.

– ...i nie jesteśmy ci nic winni. Na rozkaz twojego pana ani na twój nie pójdziemy; a królem chcemy odtąd mieć nad sobą twojego syna, nie ciebie. Aż do granicy damy ci eskortę, bo twojej krwi nie pragniemy, ale odjechać musisz zaraz; i powiedz swojemu panu, że wolni Dżugidowie Górscy nie są mu odtąd poddani.

Dżauri milcząc zsiadł z konia; już kiedy wjeżdżał, widział, gdzie stoją sanie i oddział wyznaczony do eskorty. Podszedł w tę stronę pieszo, powoli. W wojsku zerwał się nagle szum i zaraz ucichł. Król nie odwrócił się: już wsiadał. Nie wiadomo skąd, zza sań czy zza koni, zjawił się Adun.

– Jadę z tobą, miłościwy panie – rzekł.

– Nie. Potrzebniejszy jesteś mojemu synowi. Zrozum... – tu Dżauri uśmiechnął się nagle: – Nie jesteś Dżugidą, nie wypowiedziałeś mi posłuszeństwa. Tobie jednemu mam jeszcze prawo rozkazywać. Zostań!

I Adun został. Woźnica świsnął batem, konie same ruszyły. Droga była zimą bardzo łatwa, bo tuż poniżej Daggesz kilka górskich strumieni zbiegało się w sporą rzekę, po której lodzie można było pędzić bez przeszkód aż do samego jej ujścia do Czun – a więc do obecnej granicy państwa. Dżauri, zmieniając konie, potrzebował zaledwie paru dni, aby tam dotrzeć. Nie zajmował się zresztą drogą, od tego była eskorta. Traktowali go z takim szacunkiem, jakby był i królem, i Wielkim Bardem w jednej osobie – ale się do niego nie odzywali. Ani on do nich.

Na granicy czekał już inny oddział. Kera zadbała o wszystko: byli to najemnicy sentyjscy, których Dżauri, jak każdy władca, miał w swojej służbie i zwykle używał właśnie do straży granicznej. Ci nie wiedzieli o niczym, sądzili po prostu, że ich król, do którego byli zresztą po swojemu przywiązani, wybiera się w prywatne odwiedziny do nowego króla Feinumy. To samo niewątpliwie myślał i gubernator granicznej prowincji feineńskiej, który przyjął Dżauriego z wszelkimi honorami, a na pożegnanie dał mu spory oddział dodatkowej eskorty.

– Wasza królewska mość wie – mówił – że tutaj na północy kraj jest słabo zaludniony, a prawdę mówiąc, bardzo wyludniony. Wilki grasują zimą jak po puszczy. Dam i sań dwoje z chrustem i łuczywem... Czasem bez ognia z nimi nie poradzi. Ech, kto kiedy oglądał wilka na Wielkim Archipelagu!

– Tylko rekiny – uśmiechnął się Dżauri.

– Rekiny? Cóż to rekin: głupie, ciężkie bydlę. Kiedym był młody, polowałem ze sztyletem... Dobrze to były czasy. Niech wasza królewska mość napije się jeszcze przed drogą, bo mróz bardzo ściska. Aż drzewa pękają po lasach. Ale lasów tu na północy niewiele, goły step, drzewa chyba tylko w jarach rosną.

– Pamiętam – rzekł Dżauri, który nie bardzo słuchał. Gubernator spojrział na niego uważnie.

– Prawda, że to waszej królewskiej mości były ziemie. Przepraszam.

– Ja ich już dawno nie żałuję, przyjacielu! Szkoda tylko, że tak odłogiem leżą: gleba przednia.

– A skoro wasza królewska mość... jedzie po cichu do naszego króla: to może co dobrego z tego będzie? Może jeszcze odżyje ta ziemia? Niechby na czas jednego pokolenia spokój, bez wojen, bez... – tu zniżył głos do ledwo słyszalnego tchnienia – bez Imperatorów... Jedno pokolenie, miłościwy panie!

– Może – powiedział Dżauri i wstał od stołu. Wiedział i tak, że tej zimy w całej Feinumie bunt rośnie i nabrzmiewa jak soki w brzożach na wiosnę. Nie musiał pytać i badać, by się domyślić, z czym i do ilu imperatorskich wasali posyłał król Sese; jego samego też zapewne nie pominął, tylko że posłów przyjęła Kera. Słusznie i dobrze: niechże każdy ma wolność w swoim dachu. Sese na pewno także przysięgał Imperatorowi, ale jeżeli uznał to za wymuszone i nieważne, niechże idzie tą drogą, którą uważa za słuszną – i niech mu na niej szczęści Moc Południa!

Ruszyli. Pogoda była piękna, śnieg gruby po kolana pokrył się cieńszą od jedwabiu warstewką lodu, która w słońcu lśniła tak oślepiająco, że w saniach trzeba było co godzina zmieniać woźniców. Barwne światła grały w pyłe wybijanym spod kopyt koni i tak sunęli jakby w kuli tęczy pędzącej przez morze białego blasku.

Było już nieco po południu, kiedy dowódca eskorty cofnął się od czoła do sań królewskich.

– Wielki, miłościwy panie! – oznajmił. – Prosto na drodze przed nami.

– W biały dzień? – zdziwił się Dżauri. – Wiele?

– Kilka zaledwie, z daleka trudno policzyć. Czy mam podać łuk?

– Nie, sam zapoluj, jeśli masz ochotę.

Dowódca skoczył do przodu, ale zaraz powrócił znowu.

– Miłościwy panie – rzekł – to nie wilki: to dwaj tubylcy.

– Tu, w głuszy? Jak daleko jeszcze do Naina-Tuna?

Była to na ich drodze najbliższa osada, o której było wiadomo na pewno, że jeszcze jest zamieszkana.

– Będziemy przed północą.

– Tedy trzeba ich zabrać. Zatrzymaj przy nich.

Po chwili orszak królewski przegonił obu piechurów i stanął. Dżauri rozkazał popaść konie i przyprowadzić do siebie wędrowców. Było to

dwóch rosłych drabów, ubranych w kurty z kapturami i skórzane spodnie; kaptury były wokół twarzy związane tak ciasno, że ledwie oczy było widać spod futra, ale właśnie te oczy świadczyły, że wędrowcy, kimkolwiek są, tubylcami na pewno nie są. Obaj mieli masywne kije podróżne zakończone toporkami i torby przerzucone na sznurach przez plecy. Uprzedzeni widocznie przez żołnierzy, kto ich wzywa, przyklękli w śniegu przed saniami.

– Dokąd idziecie? – spytał Dżauri.

– Do Naina-Tuna, panie.

– Toście chyba szaleni, ale głupim szczęście sprzyja. Siadajcie ze mną.

Posłuchali bez wahania, ale i bez specjalnych oznak wdzięczności. Dżauri zabrał ich do swoich własnych sań dlatego, że one jedne nie były obciążone zapasami, żołnierzami i drewnem. Ale nie był właściwie ciekaw ani ich imion i pochodzenia, ani celu ich wędrówki; toteż jechali jakiś czas w milczeniu, aż póki ciszy tej nie przerwało pytanie:

– Czemuście to, miłośnicy panie, nazwali nas szalonymi?

Dżauri zdziwił się nieco, że włóczykij przygarnięty w stepie najspokojniej zaczyna z nim rozmowę, ale czuł się w tych saniach gospodarzem i wypadało mu gościowi odpowiedzieć.

– Bo wilki są na drodze – rzekł – i szliście na pewną śmierć.

– Tedyście wy sami bardziej jeszcze od nas szaleni – odpowiedział spokojnie tamten – bo mając dom bezpieczny, jedziecie szukać wilka, który by was zagryzł.

Król zdumiał się – i nie odpowiedział, a jego rozmówca umilkł także. Nie mógł on mieć na myśli prawdziwego celu drogi Dżauriego, nie mógł oczywiście, bo o tym nie mógł wiedzieć nikt w tym kraju teraz jeszcze; aniby też, gdyby wiedział, nie poważył mówić o tym w taki sposób! Ale – i to właśnie było bardziej nawet zdumiewające niż jego śmiałość – sam nie wiedział, jak trafił. Dżauri zapragnął nagle, by ktoś, ktokolwiek, ot taki nikt właśnie, przygodny towarzysz kilku godzin jazdy, który już nigdy więcej drogi mu nie przetnie, wysłuchał jego męki, tak starannie dotąd ukrywanej w sercu. Wahał się jeszcze: to przecież mogli być szpiedzy Imperatora. Ale co z tego? Co on miał jeszcze do ukrycia albo i do stracenia?

Więc patrząc w czerwoną kulę słońca, wiszącą już nisko nad ziemią i przekreśloną kilku poziomymi pasami mgieł, odpowiedział wreszcie:

– Sam nawet nie wiesz, jak blisko jesteś prawdy, bo ja może i rzeczywiście na śmierć jadę, a już na pewno nie na łowy: te mam i w domu.

Tamten poruszył się, jakby już zasnął i na nowo się na głos króla obudził.

– To pewno do Imperatora jedziecie – odrzekł – bo on jeden takich jak wy władców może sądzić.

– Do Imperatora.

– Ale że to was w kajdanach nie wiozą? Czyi to słudzy?

– Moi i króla Sesego. Kajdany im niepotrzebne, bo mnie własne słowo mocniej wiąże.

– Taak?... – rzekł przeciągle tamten i było w tym jednym słowie tyle zdumienia, zmieszanego z jakimś pogardliwym pobłażaniem, że teraz już Dżauri nie mógł na tym zakończyć rozmowy: musiał koniecznie, za wszelką cenę, wytłumaczyć się i usprawiedliwić. Może sam, nie wiedząc o tym, miał jednak jakieś wątpliwości? Może potrzebował jakiegoś potwierdzenia? A może gdzieś tam w najciemniejszym kątku czaiła się nadzieja, że jeszcze teraz, w drodze, ktoś mu na czas udowodni, jak bardzo się pomylił – i wróci?

Drugi wędrowiec milczał przez cały czas, jakby go w ogóle w saniach nie było. Nie zważając na niego, półodwrócony ku temu, który z nim zaczął rozmowę, król mówił. Wszystko: od samego dzieciństwa, od lat straconych na obmyślanie odwetu, poprzez to stracone na Wyspie, aż do wydarzeń, które go uczyniły władcą w Daggesz, wiernym wyznawcą pierwotnych obyczajów swego ludu i skruszonym czcicielem Pana Hallora. Kończył właśnie, kiedy wypadł im popas i wieczerza: trzeba było przerwać zwierzenia, coś mówić z oficerami, coś jeść. Może i dobrze, bo co mógłby na to wszystko odpowiedzieć taki przygodny nikt? Nic nie mógł odpowiedzieć i nie musiał: potrzebny był tylko do słuchania.

Była już noc zupełna, kiedy orszak ruszył znowu. Mgła leżała nad śnieżną pustką gęstymi, ale poszarpanymi tumanami. Wjeżdżali w nie i wyjeżdżali co chwila, jakby pędzili przez jakieś komory i korytarze bez dachu; gwiazdy wciąż było widać, bo tuman leżał nisko, więc nie groziło im zmylenie drogi. Wilki jakoś nie dawały znać o sobie: widocznie tętent tyłu naraz koni nie zapowiadał im łatwej zdobyczy. W tym absolutnym spokoju, wypowiedziawszy już wszystko, można by się było zdrzemnąć – gdyby nie to rosnące przekonanie, że właśnie teraz, za chwilę, ma się zdarzyć coś rozstrzygającego, coś, do czego cała ta dziwna jazda naprawdę prowadzi.

Jakby odpowiadając temu oczekiwaniu, nagle znów się odezwał wędrowiec-rozmówca:

– Takiego jak wy władcy nie ma drugiego na świecie. I nie powinniście ginąć, ale żyć i rządzić.

Należało na to odpowiedzieć... Dżauri wiedział doskonale, co należało odpowiedzieć. Ale nagle wydało mu się to jakieś banalne i płaskie, zbyt proste i oczywiste, żeby o tym w ogóle mówić, a nawet jakby zbyt uproszczone, zbyt po prostu nieokrzesane i ciemne, żeby to głośno wypowiadać. Rozmówca też i nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej, rozwijając ten temat tak szeroko i kwiecicie, jak nie umieliby tego zrobić najbieglejsi nawet bardowie. Było – jak twierdził – wiele różnych możliwości. Idealną, z punktu widzenia nie samego króla oczywiście, ale nieszczęśliwego świata, byłoby objęcie władzy nad całym Imperium

przez kogoś takiego jak on, w miejsce krwawego szaleńca Ungany czy też jego nieodrodnego synalka Inutu. Jakkolwiek zrozumiałe skrupuły powstrzymują Dżauriego od otwartego buntu, należałoby się jednak zastanowić, czy nie ma jakiejś drogi pośredniej? Ungana już przepadł i tak, i sam to niewątpliwie czuje, skoro synów odesłał z Wyspy. Z jego śmiercią ustaną wszelkie zobowiązania Dżauriego wobec Imperium. Gdyby przeczekał aż do tej śmierci – i wtedy sięgnął po władzę? – Albo jeżeli zbyt małe ma siły, żeby w całym Imperium ład zaprowadzić, to może tylko w tej jego części, która leży na Starym Łądzie? Zacząwszy od przymierza z królem Sese, można by pomalutku stać się w tym przymierzu siłą decydującą: a czyż królowi Sesemu nie przydałby się ktoś, kto by łagodnie a stanowczo naprostował niektóre jego błędne pojęcia moralne? Jeśli zaś, bo i to także możliwe, Dżauri już się przed czasem zestarzał (pewne wierzenia i kultury potrafią do tego doprowadzić mężów szlachetnych o delikatnym sumieniu) i jeżeli koronę odrzucił już ostatecznie jako ciężar słusznie należny młodym i niedoświadczonym – to czyż nie lepiej by było jechać na przykład na Megni i tam osiąść jako bard i Sługa Ognia przy świątyni? Albo skoro tak wiele nauczył się na Wyspie, której zwyczajnie sam wprowadził wtedy zwalczając, ale przy okazji przynajmniej poznał dobrze – czyż nie mógłby reszty dni swoich poświęcić... Oczekiwaniu?

Na ten temat, kiedy już do niego doszli, wędrowiec zaczął mówić jeszcze płynniej i piękniej niż przedtem. Rozwodził się szeroko nad różnymi możliwościami wyboru miejsca, wplatając w to uzasadnienia samej decyzji i malując obrazy takiego życia, pełne radości i nadziei, jak widok dalekiego ognia dla zmarzniętego podróżnego nocą. Coraz bliżej i bliżej był blask, coraz cieplejszy i coraz bardziej upragniony. Wprowadzając mówiący nie wspominał ani razu o możliwości nie tylko Oczekiwania, ale i doczekania się Oczekiwanego – ale to przecież było tak oczywiste, że nie wymagało wzmianki.

Skąd, skąd on wiedział, skąd tak bezbłędnie potrafił uchwycić to, o czym Dżauri nie mógł mu nic mówić, bo i sam dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy: ciężar tęsknoty nadaremnej?

Bo była nadaremna. Bo może gdyby Dżauri nie miał za sobą, nie miał stale w żalosej pamięci swojej walki z Orem na Wyspie, byłby się teraz radośnie i beztrudnie uchwycił tej nadziei i może by się nie przejął znanym, że progiem do niej musi być złamanie słowa. Ale wiedząc, kim był poprzednio, nie mógł: nie mógł dodawać jeszcze do tamtych rachunków. I nie potrafił uwierzyć, żeby Pan Hallor spełnił oczekiwanie przeniemięcy.

– A przecież, jeśli tego nie zrobisz – ciągnął wędrowiec – to idziesz w służbę wroga, by upaść z nim razem. Czy to jest wierność Oczekiwaniu, służyć tak do ostatka siłom Północy? Odpowiedz mi na to, królu Gór!

Dżauri wyrzucił ręce do przodu, jak ktoś, kto pada i nadaremnie szuka oparcia lub podtrzymania. Nie mógł odpowiedzieć, odpowiedzi nie było. Wił się w futrach bezradnie jak płaczące dziecko. Odpowiedzieć nie mógł, a musiał natychmiast, jeżeli nie tamtemu, to sobie!

Nagle jego palce trafiły na coś i zamknęły się na cudzej dłoni: to drugi jego towarzysz podróży, dotąd milczący, a teraz pewnie zaniepokojony o zdrowie króla, podał mu rękę, jakby chciał mu pomóc. Czasami widać taki drobny gest wystarczy: Dżauri poczuł się pewniej, jak gdyby jego myśli znalazły grunt pod nogami. I zanim jeszcze sam sobie ułożył odpowiedź, usłyszał, jak już mówi zupełnie spokojnie:

– Pan Południa będzie wiedział, dla kogo jest ta wierność.

– Przekreślisz całą swoją nadzieję! – krzyknął pierwszy wędrowiec.

– U nas w Górach – rzekł Dżauri – król żywi swoich wojowników, ale im żołądka nie płaci. Nie wezmę i ja.

– Ilgu telenni! – odpowiedział tamten, już bez krzyku, ale znów tonem gryzącej ironii – Wiesz, co to znaczy? To znaczy coś, na co ty już nie masz żadnej szansy!

Tak, Dżauri słyszał ten zwrot kiedyś na Wyspie: sądził wtedy któregoś z tubylców, chyba jakiegoś Imanu oczywiście, który się ośmielił świętować Przesilenie i składać przy tej okazji tradycyjne życzenia. I znów zobaczył całą tamtą scenę: zobaczył siebie w roli Tanu, potem swoją ucieczkę, tułaczkę – ale nagle pojawił to wszystko inaczej niż dotąd: nie tylko jako ciąg swej własnej winy i niedoli, ale jako drogę dla niego ułożoną, drogę, po której ktoś go prowadził jak dziecko, powoli i pośród udreki, ale pewnie i zawsze w tę samą stronę: z ciemnej pustki lodowych otchłani ku słońcu, ku wyzwoleniu.

Powiedział:

– Nie trzeba czekać na to, co jest zawsze blisko.

Jego rozmówca parsknął śmiechem tak gorzkim i drwiącym, jakby to śmiał się Ungana nad grobem Dejna Imanu. Ale nie odpowiedział; zerwał się nagle i wyskoczył z sań. Jeszcze tylko krzyknął we mgle:

– Ilgu telenni!

I tyle go widzieli. Ten drugi puścił rękę króla, ale milczał nadal. Dżauri także nie zwracał na niego uwagi, zaprzątnięty muzyką własnych myśli. Dopiero kiedy sanie stanęły przed zajazdem w Naina-Tuna, przypomniał sobie o towarzyszu podróży i z tej radości, która go teraz nad ziemię unosiła, zaprosił go na wieczerzę. Niewiele co podczas niej gadali, bo król miał już rozmów dość i patrzył tylko, czy goście czego nie brak. Ten także jadł w milczeniu, a choć po zdjęciu futer okazał się bardem (siódmego stopnia, jak i król), nie narzucał się z pieśnią. Wstali wreszcie od stołu i zanim Dżauri zdążył go zapytać, czy przypadkiem nie wybiera się dalej i nie chce jechać z nim także i jutro, obcy bard spojrzał mu w oczy, uśmiechnął się i powiedział tylko:

– Dziękuję.

I zniknął jak zdmuchnięty płomień.
Nie trzeba zatrzymywać tego, co jest zawsze blisko.



Rozdział trzynasty

Błazen

Ungana jesienią nie uważał jeszcze wcale, że już przepadł: przeciwnie, był jak najlepszej myśli, tylko że mimo wszystko usiłował się na wszelki wypadek z każdej strony zabezpieczyć. Liczył najpierw na flotę, która pod Kalelem miała rozkaz i wszelkie szanse rozbić buntowników koło Małego Archipelagu. Gdyby to się nie powiodło albo powiodło tylko w części, oblężenie Wyspy Stołecznej było nieuniknione, ale nie było niczym strasznym: jej garnizon, już i tak silny, wzmocniony spodziewanymi pięciu tysiącami Dżugidów, a zaopatrzony od dawna w ogromne zapasy żywności i broni, mógł się trzymać przez lata całe. Tymczasem Sese, Tsamonume, Kneh i inni imperatorscy wasale (Ungana posłał każdemu z nich starannie opracowane instrukcje) nadciągną z odsieczą i tak położy się kres rebelii. Inutu oczywiście da głowę. W ostateczności, gdyby coś mimo wszystko zawiodło, trzeba będzie na czas jakiś Imperium podzielić – ale nie na długo: tylko dopóki Inutu jeszcze żyje, a on długo już nie pożyje tak czy siak. Więc jeśli Imperator odesłał młodszych synów na bezpieczną odległość, to po prostu dlatego, że podczas oblężenia o przypadek nietrudno, a nie mógłby się zdarzyć przykrzejszy przypadek niż utrata innych poza Inutu następców.

Sese pomimo zimowych sztormów słał do Władcy gońca za gońcem; jeżeli nawet co trzeci ginął, dwaj pozostali przynosili wszystkie potrzebne wiadomości. Tak, wyprawił flotę, która ma wspomóc Kalelego. Tak, ułatwił drogę gońcowi posłanemu do Daggesz, do króla Dżugidów. Tak, zbiera wojsko. Nie, nie potrafi niestety wyjaśnić imperatorowi, co się stało z kupcem Totą synem Oloi, ale najprawdopodobniej zatonął, bo jak twierdzi nadzorca portu, kupiec Tota uparł się, że wypłynie w końcu

listopada; najniższy sługa Sese nie rozumie zupełnie, czemu Imperator raczy się aż tak interesować losem jednego nic nieznaczącego Fingaja, ale jeżeli jest jeszcze więcej takich, których darzy swoją bezcenną protekcją, to gdyby najniższy sługa Sese znał ich imiona, może by zdołał otoczyć ich specjalną troską? Ungana, czytając ten list, zacisnął pięści w bezsilnej wściekłości: albo to bezdenna głupota, albo bezczelność zatykająca dech w piersiach. Wszelkie porachunki należało jednak, starannie zapamiętawszy, odłożyć na potem: na razie zbyt wiele zależało od tego, czy Sese wytrwa w wierności. Imperator nie usiłował więc już dochodzić, gdzie się podziiali wszyscy jego tajni agenci działający dotychczas na obszarze Feinumy i czemu od nich przestały przychodzić raporty. Poprzestawał na wiadomościach przesyłanych przez Seseego.

Oczywiście podejrzewał go jednak, a to nagłe zlikwidowanie całego jego wywiadu nie mogło tych podejrzeń nie wzmóc. Ale sygnały tego rodzaju Imperator zaczął już jakiś czas temu odkładać do specjalnej komórki przeznaczonej na takie rupiecie, których się wprawdzie nie wyrzuca, ale i nie używa. Choćby i całe Imperium stanęło przeciw niemu: czy on dlatego podda się zbuntowanemu synowi? Nie mógłby już planować niczego innego, niż planował, więc też i nie mógł się przejmować tym wszystkim, co by mu wskazywało konieczność zmiany planów.

Drugim takim sygnałem była rosnąca bierność Moźnych. Ta ich garstka, jaka jeszcze się znajdowała w bezpośredniej bliskości Imperatora, na Wyspie, służyła nadal ślepo i utrzymywała w ślepym posłuszeństwie tych wszystkich, nad którymi miała władzę. Ci jednak, którzy byli daleko, wyraźnie stracili już zapał i coraz mniej się interesowali wyznaczoną sobie rolą rasy panującej. Były nawet wypadki, nieliczne na szczęście, ale też i sami Moźni byli przecież nieliczni – że całe rodziny uciekały na Megni, pod protekcję tego tanhidyjskiego gołowaśa, któremu głupiec Inutu do tej pory nie zdołał dać rady. Uciekali, by, jak mówili, „prowadzić odtąd zwyczajne życie i niczym się nie wyróżniać spośród istot tej samej rasy”. Godny zaiste Moźnych ideał szczęścia! A ci nawet, którzy zostali, coraz słabszy już mieli wpływ na tubylczych królów i gubernatorów, toteż Imperator coraz bardziej się musiał wobec tych ostatnich posługiwać zwykłymi chwytami politycznymi. Te zaś, niestety, zawsze kosztują. Cóż z tego? Cofnąć się i tak nie chciał i nie umiał; musiał iść dalej, dokądkolwiek by to prowadziło. Było mu coraz weselej. W zimie potrafił już w jednej chwili przeskakiwać myślą najspokojniej od szczegółowych planów pomsty i kary, którą zamierzał po zwycięstwie szafować hojnie, do równie szczegółowych marzeń o hekatombie, jaką pociągnie za sobą jego klęska. Jedno i drugie było bardziej zajmujące niż to wszystko, co na razie z konieczności poprzedzało te tak wielkie wydarzenia, niż codzienny

pajęczy trud wiązania sieci, która musiała być tak po mistrzowsku spleciona, żeby złowić przynajmniej jedną z tych dwóch niepodobnych do siebie wzajemnie zdobyczy. Może nawet obie razem?

Szukając wykonawcy najważniejszego punktu tego planu, zdecydował się jeszcze na początku zimy na Szemiego Ulawe. Ten niedawny dowódca osobistej gwardii Pani był jednym z najzaciętszych wrogów Inutu, któremu naraził się wiele razy i od którego nie mógł się spodziewać żadnego pobłażania. Był też w ręku Imperatora narzędziem do tego stopnia posłusznym, że wyrok wydany na Nulani on sam bez chwili wahania przyjął i wykonał. Potajemna narada – Imperator nie wątpił, że Inutu ma nadal na Wyspie swoich szpiegów, ale choć wiele głów spadło z racji tej pewności, nie osłabła ona przez to bynajmniej – otóż potajemna narada odbyta z Szemim doprowadziła do nagłego zniknięcia tego ostatniego z dworu. Zgadywano po cichu, że poszedł śladem innych, którzy wypadli z łaski, i zapomniano o nim szybko. Przez kilka najbliższych nocy Imperator nawet trochę spał, tak uspokajający wpływ miało na niego załatwienie tej sprawy.

I nadal przygotowywał, z równym spokojem i dokładnością, oba możliwe zakończenia wojny. Dopiero przybycie Dżauriego spowodowało wstrząs. Dżauri zjawił się na Wyspie Stołecznej w półtora miesiąca po zimowym Przesileniu, korzystając z pięknej i trwałej pogody, która w tym czasie na kilka tygodni uczyniła żeglugę tak bezpieczną jak latem. Przyjechał więc i stanął przed Imperatorem tak spokojnie, jakby mu przyprowadził całą feineńską flotę i całą armię Dżugidów, a nie tylko dziesięciu Szentów i własne dwie puste ręce. Puste, bo nawet u pasa zamiast wasalskiego miecza zwisała mu – czy na drwiny? – góralska gęśla!

Ungana patrzył przez chwilę w milczeniu, wreszcie rzekł cicho:

– Zdradziłeś mnie, królu Dżugidów, a to nie jest czas na pobłażanie zdrajcom.

– Jeśli zdradziłem – odpowiedział Dżauri spokojnie – to masz mnie w ręku i możesz ukarać. Ale wiesz dobrze, że tu na tej Wyspie właśnie ja jeden na pewno nie zdradzę.

To była prawda. Nie dalej jak tego ranka zginął Hwa, bo Ungana dowodnie przekonał się o tym, że jego szef wywiadu wie o wiele więcej, niż donosi panu – i że na podstawie zdobytych skrycie wiadomości już się ogląda za sposobem przejścia do obozu przypuszczalnego zwycięzcy. Przy Unganie był jeszcze Hadon Nile, też niezbyt pewny, chociaż brat – a poza tym już sami tylko dostojnicy świeżej daty, którzy doszli do swoich stanowisk przez ambicję, a Imperatorowi służyli ze strachu. Jeśli zobaczą, że go wasale opuścili, to sami go może nie zabiją – jest jeszcze dawna moc w jego spojrzeniu – ale uciekną na pewno. Jak pusta jest w tej chwili ta komnata: tylko on, Hadon i ten Dżugid niespełna rozumu – tak wkrótce może już być pusta i cała stolica. Imperator

uśmiechnął się, ale wyszło to dosyć krzywo.

– A nie zdradzisz – rzekł – boś na to za głupi i za dumny. Ale wszyscy inni na wschodzie już to zrobili, prawda?

– Dżugidowie ogłosili królem mojego syna i chcą być odtąd niezawisli. Do wojny nie wtrącają się po niczyjej stronie. Sese natomiast gotów jest przyjść ci z pomocą z całą swoją flotą, bo te okręty, które wysłał jesienią, wróciły i są w Biruro: ale chce to zrobić jako sprzymierzeniec, a nie jako podwładny.

– Aha... Bardzo łaskawy. Hadon, pojedziesz do niego i nie odstąpisz na krok, aż go zmusisz do posłuszeństwa! Chcę, żeby jego flota, skoro już cała jest u niego...

– Władco – przerwał Dżauri – nie посыłaj księcia Hadona na pewną śmierć. Wszystkich Możnych, którzy byli w Feinumie, zabito. Byłem tam wtedy i ledwo zdołałem uratować dzieci: wysłałem je w nasze Góry. Dorośli zginęli wszyscy. Moc wasza gaśnie: pojedynczo, oko w oko, nikt by nadal nie dotrzymał żadnemu z was, ale Sese podburzył tłumy... Zginęli wszyscy!

Hadon spojrział na Unganę i zdrętwiał. Imperator siedział nieruchomy, wpatrzony w Dżugida, ale w oczach miał śmierć nagłą i straszną, tak straszną, że jego brat, korzystając z tego, że sam znajdował się nieco z boku, zaczął się cofać z wolna... cał za całem, stopa za stopą... aż nagłym skokiem wypadł z komnaty. I już nie wrócił. Nikt nigdy nie umiał wyjaśnić Imperatorowi, gdzie się podział dostojny książę ani kiedy i jak zdołał sobie poprzednio tę ucieczkę przygotować.

Tymczasem Dżauri czekał na swój los. Nie czuł strachu, tylko wielką litość. Bo ten, który tam siedział przed nim i na mocy jego własnej przysięgi miał nad nim władzę nieograniczoną – ten, jak go ktoś niedawno nazwał pogardliwie, krwawy szaleniec, który napełnił połowę świata zniszczeniem i trwogą, wydawał mu się w tej chwili najniezwyklejszą istotą na ziemi. Zbudował swoją niebotyczną wielkość na tysiącach pobitych i tysiącach tysięcy zniewolonych. A nie wiedział, że każda śmierć z jego rozkazu zadana odbiera życie jemu samemu, kropla po kropli, i czyni go coraz bardziej marą, upiorem, groźnym jeszcze, ale już po wielekroć martwym. I nie wiedział, że każda niewola z jego rozkazu zadana obraca się przeciw niemu samemu i skuwa go, i zasklepia nad nim warstwa po warstwie kamienne sklepienie. Nie wiedział o tym, kiedy zaczynał; nie wiedział, gdy był u szczytu; teraz już wie, bo już czuje to w sobie, ale przykuty jest i związany, i przywalony z otwartymi oczami w mogile. Szaleje w męce i chce się ratować, i tylko jeszcze bardziej pogrąża się w śmierci, i jeszcze silniej się wiąże.

Oto skamieniał z gniewu i grozy, i chciałby jedno i drugie choć w części wylać z siebie krwawym słowem, przerażającym rozkazem – a nie może, nawet i tego już nie może, tak jest martwy. Nawet i nad

własnymi wargami traci władzę. Szaleniec? Szaleni przy nim wydawaliby się szczęśliwi.

Jak przynieść ulgę w takiej męce? Dżauri nie jest już królem na szczęście, bo może z nadmiaru litości próbowałby jeszcze ratować to, co jest nie do uratowania i co nie powinno ocaleć: Imperium. Jest natomiast bardem i może jeszcze ratować Imperatora.

Wobec tej wykrzywionej wściekłością i męką maski – cóż z tego, że z początku wywoła jeszcze większy gniew? – sięga po swoje gęśle. Lekko, cichutko płynie pierwszy ton... jak gdyby smyczek chciał przeprosić struny, że śmiały zamącić ich spokój. Drżenie przebiega przez napięte, sprężone ciało Imperatora. Dżauri nie patrzy, gra.

...Ciche, ciche wody, szeroko rozlane, ale nieruchome; chłodne i czyste. Nie morze bezkresne, nie gadatliwa rzeka, szukająca już dzisiaj w przybrzeżnym sitowiu tego, co zgubi tam dopiero jutro. Górskie jezioro: głębokie jak korzenie ziemi, ciemne od głębi. Nie widziałeś? Ja ci opowiem: stoisz na brzegu i masz nad sobą i pod sobą szaroliliową otchłań, tu i tam tę samą, równie świetlistą, równie głęboką. Stoisz na brzegu i nie wiesz: czy w tej dolnej, czy w tej górnej płyniesz? Cicho, cicho... spod twojej stopy osunął się kamyk, otchłań zadrżała i znów się wygładza. Gdzieś w górze wiatr westchnął jak struna pocałowana, z radości...

Tak się sam, grając, zasłuchał i zapatrzył, że go przebudził dopiero drwiący śmiech Ungany.

– To z tej radości! – powiedział Imperator. – Talent masz, rzeczywiście, niepośledni: potrafisz mi ulżyć, a takiej sztuki nikt jeszcze dotąd nie dokonał. Cóż, wygnańcze? W sam raz zajęcie dla byłego króla: posada błazna na dworze kończącego się Imperatora. Przyjmujesz – co?

Dżauri skłonił się. Miał już przed sobą zwykłego Megnitę: przedwcześnie postarzałego, wychudłego od wewnętrznej męki, pełnego nadal złowrogiego jadu, ale przynajmniej zdolnego – na jakiś czas – spokojnie myśleć.

– Przyjmuję, władco – rzekł. – Ale jeśliś mnie mianował błaznem, a nie bardem, będę korzystał z przysługującej błaznowi swobody i mówił z tobą szczerze.

– To może być nawet zajmujące. Mów.

– Jest, władco, koło Daggesz dolina zwana u nas Jasną. Wysoko to w górach i nikt tam nie mieszka, jeno pasterze latem, a zimą myśliwi. Tamże dziad mój Dżauri pobudował dworzec myśliwski dla siebie i osadził kilka rodzin służebnych, by miejsce mieć zawsze gotowe. Tam właśnie...

– Dość – przerwał Imperator. – Jeśli tak się boisz śmierci, nie trzeba było przyjeżdżać. Dla mnie twoja przysięga bez twojego wojska tyle warta, co twój stary but: nie będę ci dziękował, żeś ją aż tutaj przywiózł. Ale jeśli już zdecydowałeś, z właściwą sobie wzniosłą szlachetnością, że

twoje miejsce mimo wszystko przy mnie, to wypijże to swoje szlachetne piwo aż do końca i ze mną razem giń. Ja cię z tej służby nie zwolnię na pewno!

– Nie o zwolnienie proszę...

– Tylko o to, żebym ja sam jechał z tobą w twoje Góry. Wolne błaznowi żarty, byle się nie powtarzały. Otwórz no tę skrzynię za twoimi plecami.

Były w niej dokumenty, w większości pergaminowe, ściśnięte pierścieniami z kości słoniowej lub złota i obwieszane pieczęciami. Na rozkaz Imperatora Dżauri rozwinął pierwszy, na jaki natrafił.

– To moja nominacja na króla Dżugidów z ramienia waszej możności – powiedział.

– Nieaktualne, skoroś się umiał pozbyć tej korony. Rzuć na ziemię. Następny?

– Nominacja... Sesego...

– Sposób inny, skutek ten sam. Wyrzuć. Dalej?

– Nominacja Kneha.

– Który dowiedziawszy się o szalbierstwie mojego syna, próbował ostrzec Mdan, ale nie mnie. To samo. Dalej?

I tak jeden po drugim padały na ziemię dokumenty, które przez kilkanaście ostatnich lat stanowiły o porządku połowy świata.

– To już wszystkie?

– Wszystkie, władco.

– Dobrze. Zostaję więc władcą nad jedną dość pustą wyspą i jednym dość głupim błaznem. Na co twoim zdaniem nadają się jeszcze te dokumenty?

– Na latawiec – odparł Dżauri bez wahania. Imperator przechylił głowę na bok jak dziewczyna usiłująca obejrzeć w lustrze własny profil.

– Doskonale – rzekł. – Sklej z nich latawiec, ale w nocy. W dzień musisz być stale przy mnie, nie mam innych błaznów na zmianę. A teraz pójdziemy zrobić przegląd wojska.

„Wojsko” były to trzy oddziały sentyjskie, mające każdy po stu kilkudziesięciu wojowników, oraz kilkanaście załóg feineńskich bojowych łodzi. Dżauri był przekonany, że Wyspa Stołeczna liczy co najmniej dziesięć razy tyle załogi, i niewątpliwie liczyła – dawniej. Obecnie pozostali już tylko ci, którzy – jak mógł się przekonać idąc za lektyką Imperatora wzdłuż ich szeregów – wyżej cenili honor uczciwego najemnika niż możliwość przejścia do obozu zwycięzcy. Ci już zostaną – i zginą. Strasznie było tak iść przed nimi, znając z góry nieunikniony los ich wszystkich. Jakby wtórując tym myślom, Imperator zaśmiał się znowu i skinął na Dżauriego, aby podszedł bliżej.

– Sama załoga – około tysiąca trupów – rzekł. – Urzędnicy – drugie tyle. To mi przypomina... Wezwij no do mnie Samoru.

Był to Szentu dowodzący garnizonem, ogromny, ponury i jedno tylko

rozumiejący: służbę. Kiedy się zbliżył, Imperator na znak szczególnej łaski podał mu do ucałowania koniec długiego rękawa.

– Samoru – powiedział – od tej chwili zamykam wszystkie porty Stolicy. Dostać się do środka nikt prawdopodobnie nie będzie próbował, ale wpuszczać możesz; gdyby jednak ktokolwiek, choćby nawet najwyższy urzędnik, chciał Stolicę opuścić czy to okrętem, czy łódką rybacką – nie pytaj o nic, ale go każ zabić natychmiast. Choćby też miał ode mnie pozwolenie na piśmie, nie zważaj, bo będzie na pewno fałszywe. Przy wszystkich przystaniach zaciągniesz strażę i łodziom patrolowym każesz krążyć. I nie będziesz przysyłał do mnie, żeby się upewnić, ale od razu w łeb. Chyba żebym to ja sam ustnie ci powiedział „Przepuść”, albo żeby rozkaz przyniósł mój błazen, ten tutaj: to wtedy przepuścisz. Zrozumiałeś?

– Tak jest, władco.

– Dobrze. Odejdź. – A do niosących lektykę: – Wracam.

Milczał przez całą drogę; dopiero kiedy byli już z powrotem sami w jego gabinecie, nagle zachichotał.

– No i co? Wieluś już zamyślił ocalić? Tylko ci wybrać trudno, co? Głupiś ty i głupi oni! Pozostawiając ich siłą tutaj, daję im tylko okazję umierać z tą, no, jakże wy to nazywacie? Z godnością, aha. I w miarę lekko. A umierać muszą i tak! Myślisz, że te małe równikowe, które prowadzi Inutu, zostawią tu przy życiu choć jedną istotę do siebie niepodobną? A gdyby próbowali płynąć do Feinomy: czy myślisz, że ich Sese nie weźmie zaraz na tortury, każdego żeby wy badać, który z nich jest może moim szpiegiem? Chyba żebyś ty kogo wiózł, ten ocaleje... Ale ty nikogo stąd nie wywieziesz, nawet tych, co są na Placu Wschodnim: nie wywieziesz, chociaż ty jeden mógłbyś, ale nie pojedziesz, boś mi przysiągł, a ja cię nie zwolnię z przysięgi, bo tutaj twój psi obowiązek, szlachetny zdrajco, zaprzysiężony błaznie!

Długi, chudy palec, uderzający z coraz większą pasją w poręcz fotela, wybijał rytm tej przemowy.

– Nie sięgaj od razu po skrzypki! Dopiero jak zobaczysz, że mi brak słów i oddechu. I nie pokazuj mi tu swojej twarzy: będę dziś wesół! Czymże się różni, wojaku, jeden trup od tysiąca? Chyba tym, że się bardziej w pamięć wbija! No więc przypomnij sobie, że na tej wyspie pierwszy trup padł z twojego rozkazu!

Dżauri zbladł. Pamięć śmierci starego Dejna Imanu leżała mu na sercu ciężarem, który z biegiem lat raczej rósł, niż malał. Czuł przy tym, że Ungana umyślnie go dręczy, podsuwając mu nie tylko sposoby ucieczki, ale i różne jej usprawiedliwienia. I co to znaczy, że ktoś jest na Placu Wschodnim? Czyżby Derszen żył jeszcze? Imperator umilkł tymczasem, trzeba mu coś odpowiedzieć, ale co?

– To widzę – rzucił bez namysłu – żeś przez te lata dobrze korzystał z przykładu błazna!

– A, tak, to już lepiej – rzekł uprzejmie Imperator. – Może się jeszcze wyrobisz, jeśli zdążysz. Idź, każ, żeby mi już teraz podano wieczerzę: będziesz mnie przy niej bawił. A jutro rano ze szczytu Din puścimy obaj tego latawca. Wiesz, po co? Żeby moi oddani i wierni ministrowie, a jest ich tu jeszcze spora gromada, pomyśleli, że już oszalał zupełnie i spróbowali ucieczki: prosto w łapy Samoru! Od jutra więc zaczynam budować sobie grobowiec. Jeśli okażesz się wiernym błaznem, możesz leżeć obok.

Dżauri skłonił się i poszedł ku drzwiom, myśląc z ulgą, że przez parę chwil będzie mógł odpocząć od obecności Ungany i zebrać myśli. W progu dogonił go jeszcze następny rozkaz:

– A powiedz też, niech Hadon przyjdzie na wieczerzę: nie ma się czego bać, bo chcę być dzisiaj wesoły!

Więc trzeba było tego samego wieczoru grać po raz drugi, kiedy wyszło na jaw, że Hadon uciekł, i co gorsza, zdążył to zrobić jeszcze przed zamknięciem portów. Gdy Dżauri mógł już wreszcie odejść od Imperatora (z obowiązkiem stawienia się u progu jego sypialni wczesnym rankiem z gotowym latawcem), czuł się tak skołowany i nieszczęśliwy, jak to tylko na tej Wyspie było możliwe. Do wyznaczonej sobie kwatery miał blisko, ale jeszcze do niej dojść nie zdążył, kiedy już wiedział, że wszelkie próby udowodnienia sobie samemu, że to, co robi, ma jakiś sens, lepiej zarzucić: prowadzą tylko na bezdroża rozpacz. Na myślenie był czas w Górach. Tu trzeba już tylko jednego: wytrwać za wszelką cenę na drodze wytyczonej wtedy, kiedy jeszcze było można myśleć.

A na najbliższe godziny: trzeba dowiedzieć się, kto jest na Placu Wschodnim, trzeba w miarę możliwości samemu tam zajrzeć, a poza tym – może uda się tam właśnie przygotować ucieczkę i uratować Unganę, a z nim razem tych wszystkich, których jeszcze uratować można.



Rozdział czternasty

Słowa niezapisane

Do mojego syna Kertiego, króla Dżugidów w Daggesz w Górach, ojciec twój Dżauri syn Tanmuka, radośnie. Ponieważ postaniec, któremu powierzyłem swój pierwszy list, musi odczekać kilka dni z powodu niesprzyjającej pogody, dopisuję jeszcze i ten drugi. Sądzę przy tym, że ta niepogoda ustanie z chwilą skończenia i wręczenia posłańcowi tego listu, albowiem to, co mam ci w nim do powiedzenia, ważniejsze jest niż los mój i barda Derszena, cokolwiek by się w końcu stało z nami dwoma. Słuchaj, mój synu. Ja, który, jak wiesz, winien jestem zabójstwa dokonanego z mojego rozkazu na Placu Wschodnim, dostąpiłem pomimo to zaszczytu wejścia na ten Plac i spędzenia na nim kilku godzin w towarzystwie tych, którzy tam przebywają. Z powodu tej ciężącej na mnie zbrodni nie śmiałybym nigdy, nawet gdyby moje obowiązki wobec Imperatora nie trzymały mnie stale przy jego osobie, nie śmiałybym – mówię – marzyć o zaliczeniu się do tych, którzy tam trwają i przyzywają wiernym oczekiwaniem przyszły triumf Pana Hallora. Ponieważ jednak Pan Hallor w inny sposób przyjął mnie do swojej służby, nie mam powodu do skargi, ale owszem, raczej do radości. A teraz słuchaj dalej i pilnie uważaj. Na Placu Wschodnim przebywa obecnie nie tylko Derszen, którego niegdyś Imperator nie chciał na moje prośby uwolnić, ale i pięcioro innych Sług Ognia. Jest więc dwóch przestawnych bardów: Kanum, niegdyś król tanhidyjski i zwierzchnik Bractwa, oraz Nuno Lagmi: obaj są Megnitami. Jest księżniczka Mdan, córka króla tmuckiego Kneha, oraz feineński żeglarz o imieniu Memuke, czcigodny starzec. Jest wreszcie Tagun Imanu, wobec którego niegdyś ja sam ciężko zawiniłem: mąż obecnie już w sile wieku, bo trzydziestoletni, zwany przez swych towarzyszy Synem Południa. On to, gdy ja stanąłem nocą u bramy

Placu, nie ośmielając się wchodzić, i prosiłem, abym mógł widzieć barda Derszena – podszedł do mnie z pochodnią wziętą ze Znicza i kazał mi wejść do środka. A kiedy, opierając się, wyjawilem mu, kim jestem, spojrzął mi w oczy i rzekł mi: „I tyś go spotkał”. Wtedy wszedłem, a on mówił dalej: „Spotkałeś go tak, jak ja, w mroku i niewiedzy, nie zaś spotkaniem ostatecznym i pełnym: dość jednak, abym ja widział to po tobie, jak i ty po mnie”. Spojrzałem więc i ja w jego oczy i odrzekłem: „Tak jest”. I zaprowadził mnie do innych, którzy siedzieli wokół Znicza, a oni rzekli: „Synu Południa, oto ten, przez którego tajemnica może wyjść z tego Placu i zostać ogłoszona mieszkańcom świata, choćbyśmy wszyscy zginęli”. Odpowiedział: „Po to go przyprowadziłem”.

Wtedy nauczyli mnie świętej, prastarej pieśni, mówiącej o początku świata. Posyłam ci na osobnej karcie zapis słów i zapis melodii, który zrozumie Adun. I niech bardowie uczą lud tej pieśni! Ale najważniejsze dopiero nadchodzi, więc ty, który teraz jesteś królem Dżugidów, wyteż uwagę serca i zapytaj posłańca, a on ci powtórzy ustnie Słowa dotychczas tajemne, teraz jednak mające się stać pociechą wszystkich mieszkańców świata. Nie zapisuję ich na jedwabiu, albowiem tak rozkazał Tagun Imanu, Syn Południa: „Te Słowa nie będą nigdy zapisane pismem czy to na pergaminie, czy na jedwabiu, czy na miedzi. Nie będą też ryte w kamieniu ani powierzone glinie. Ale będą przekazywane z ust do ust i z serca do serca, aby żyły. Albowiem niegdyś już mieszkańcy świata znali je, ale zapisawszy je na pergaminie i na miedzi schowali je pomiędzy skarby swojej wiedzy i zapomnieli o nich. I do dziś w starych księgach Tmutów, ludu ze wszystkich najbardziej długowiecznego, można je znaleźć, jak mówi księżniczka Mdan: ale zapisane bez Pieśni i bez żadnego autorytetu nie zwracają na siebie już od wieków uwagi mędrców. Dlatego zechciał Pan Hallor wzburzyć morza i lądy i pozwolić, aby jego nieprzyjaciel zatriumfował na czas jakiś, po to, by jego sługa przyniósł te Słowa z końca świata, uzyskawszy w trudzie i męce ich wyznanie z ust samego Wroga: a tak nieprędko znowu zostaną zapomniane”.

Tak mówił Tagun Imanu, który je przyniósł. A ja, który go kiedyś w tę drogę, nie wiedząc, posłałem, dostałem teraz od niego polecenie, abym przekazał je tobie, ty zaś abyś je głosił wszystkim dzie-knet żyjącym na ziemi. I mówił jeszcze Tagun Imanu: „Te słowa sprawdzają się już obecnie na dziejach tej Wyspy. Albowiem Północ zawyrokowała jej zagładę i znalazła pośród jej Ludu takich, którzy do tego pomogli; ale Pan Południa przez to właśnie sprawił, że co dotąd było skarbem jednej tylko Wyspy, teraz stanie się znane całemu światu. I każdy będzie mógł tutaj przyjechać, aby zaczerpnąć nadziei”.

I to także powiedział: „Nie wiem, jaki los spotka nas sześcioro, ani czy ja sam mam jeszcze po co żyć i na co czekać; ani kogo osadzi na tej Wyspie Pan Południa, gdy już upadnie Imperium, ani kiedy to będzie.

Ale wiem, że cała ziemia dozna wielkiej radości”. Wtedy go zapytałem: „A ze mną co się ma stać, panie? Czy to wiesz?”. I natychmiast zawstydzilem się tego pytania. On odrzekł: „Cokolwiek by się stało, dochowasz wierności. Czy to ci wystarcza?”. Odpowiedziałem: „Wystarcza”.

Wtedy odezwał się król Kanum, mówiąc: „Hej, chciałbym ja być jednym z tych, przez których ta nowina rozejdzie się po świecie!”. A to mówił, żeby ode mnie odwrócić uwagę, bo widział, że jestem zawstydzony. Rzekł i Derszen: „Chciałbym i ja zanieść ją w Góry!”. Zaś Nuno Lagmi mówił: „Ja chciałbym nie odchodzić stąd nigdy”. Sam Tagun milczał, a księżniczka Mdan podała mu swój szalán. I rozpoczął melodię, skinąwszy na feineńskiego starca, aby śpiewał. I nauczyli mnie jeszcze pieśni o Nahidene; posłaniec, będąc także Feinu, zna ją dobrze i was jej nauczy.

Potem musiałem już iść, aby przed świtem być u drzwi Imperatora. I wątpię, czy ich będę mógł często oglądać, bo moje obowiązki rosną, a mając wciąż jeszcze nadzieję, że uda mi się go uratować, staram się być z nim jak najwięcej, aby go do tej myśli przyzwyczaić. Zarządź w tej sprawie to wszystko, o co cię już prosiłem w pierwszym liście, tylko po namyśle dodałbym jedno: nie rób jego synom nadziei na to spotkanie. Bo nawet jeśli uda mi się go przywieźć, on teraz zmienia się tak szybko, że już nie będzie tym, kogo oni mogliby pragnąć zobaczyć. Posłaniec jest bratem tego, który ma nam posłużyć w tej sprawie, i da ci dokładniejsze wieści o przygotowaniach. Łaska Południa niech zawsze otacza ciebie, mój synu, twoją matkę i braci, i cały twój lud.



Rozdział piętnasty

Druga fala

Przyszła. Kiedy w ogrodach Imperatora zakwitły magnolie, kiedy Dżauri już wszystko przygotował do ucieczki, choć nadal nie miał na nią zgody Ungany, kiedy nie żył już na Wyspie ani jeden wysoki czy niski urzędnik, a pozostali tylko żołnierze i niewolnicy; kiedy w słonecznej, jak rzadko na Wyspie, pogodzie wielu budziło się z rana z radosną nadzieją, że fala morderców z zachodu okaże się baśnią zimowych nocy – przyszła, nie minęła, tysiącem wioseł zmaćła ciepłą ciszę popołudnia, ostatnią ciszę życia, po której już miała przyjść cisza śmierci.

Ze szczytu Din błysnął sygnał: „Flota na zachodzie”. Ungana, z Ked’Eszun, które uznał za najbardziej nadające się do obrony i zgromadził tam wszystkich swoich Szentów, dał znak dowódcy floty. Dawna rybacka przystań południowa, Alorena, była już od lat głównym portem wojennym Wyspy Stołecznej; z tarasów na szczycie Ked’Eszun widać było jak na dłoni, jak feineńskie żaglowce rozwijają się w swój zwykły szyk bojowy i biorąc w białe skrzydła wschodnią bryzę, okrążają przylądek, aby uderzyć z boku na galery wroga.

– No – rzekł Imperator – zawsze coś tam im urwą. Teraz możemy zejść na dół do apartamentów po nieboszczce żonie. Na ostatnią ucztę Imperatora Połowy Świata. Następnej nie będzie, bo drugiego, wiesz, po mnie nie będzie, co jest niewątpliwie jedną z przyczyn mojego dobrego humoru.

Szli po schodach na dół. Nie było już lektyki ani tragarzy: godzinę temu, gdy z Din dojrzano pierwszy sygnał, niewolnicy znajdujący się jeszcze przy Imperatorze uciekli tam, gdzie już cała reszta od dawna była zebrana: do Daweny, Ungana śmiał się i nie bronił.

– Rzucają się do stóp zwycięzcy – mówił – no i dopiero się zdziwią, jak on ich każe wymordować. Znam Inutu i znam Galgal-pa’asz! To już w sumie prawie cztery i pół tysiąca.

Nie było więc nawet komu przygotować owej ostatniej uczty. Imperator sam zszedł do kuchni i zaczął grzebać po garnkach i skrzyniach.

– Podłóż no drzewa pod ten kocioł, Dżauri. Mmm... całkiem dobra zupa zółwiowa, zagrzać i trochę dosolić. Nie wiedziałem, że u mnie nawet kuchenne paleniska są z marmuru... raczej u Imperatorowej. To?... z tego miał wyjść przypuszczalnie pasztet z kwiczołów, ale to już nie są kwiczoły, a jeszcze nie jest pasztet. Wrzuć do tej zupy. Kraby! Uwielbiam kraby. Wrzuć także: jak się rozgotują, chyba się jakoś dobierzemy do mięsa. Stój tu i mieszaj, ja może jeszcze coś znajdę.

Znalazł niejedno; potem obaj wnieśli kocioł z tą dziadowską polewką na górę, do wielkiej jadalni. Tam Imperator uparł się koniecznie wyszukać najlepszą zastawę Pani, ale oczywiście zastawy nie było w jadalni, tylko na dole w kredensie, gdzie znaleźli ją dopiero po dobrej godzinie poszukiwań. Garnek tymczasem wystygł, więc znów go znieśli na dół i podgrzali, przy czym im bardzo przeszkadzał Samoru swymi raportami. Z tego, co mówił, wynikało, że bitwa morska trwa, ale skończy się niewątpliwie przed zachodem słońca; z piętnastu feineńskich łodzi broni się jeszcze siedem, reszta już zatopiona, ale zatoneły też, płonąc, cztery nieprzyjacielskie okręty. Desantu dotąd nie było; bitwa trwa tak długo dlatego, że tylko część małych galer bierze w niej udział, reszta zaś stoi w szyku bojowym, gotowa przyjąć spodziewany atak drugiego skrzydła floty...

– Którego nie ma! – zaśmiał się Imperator.

– ...I w ogóle widać najwyraźniej, że nieprzyjaciel spodziewał się zastać na Wyspie o wiele większe siły i wciąż jeszcze obawia się, że je znajdzie. Zgodnie z nakazem Władcy, żołnierze rozstawieni po wszystkich co wyższych wieżach sygnalizują coś co chwila, co sprawia wrażenie, że cała Wyspa jest pełna doskonale zorganizowanych obrońców...

– Dobrze już, dobrze – przerwał Imperator. – Te kamienie przygotowałeś?

– Władco... w nawale zajęć...

– Zapomniałeś. To źle. Weź ze sobą dziesiątkę najlepszych i najpewniejszych i zaraz tam idź i zrób tam wszystko, co kazałem. Potem ich tam zostawisz, sam wrócisz. Odejdź.

– Tak jest, władco.

– Nie nadawałby się do towarzystwa – stwierdził Ungana po wyjściu oficera. – Musiałem go gdzieś wysłać, niech przygotowuje miejsce, które sobie wybrałem, żeby tam umrzeć. Mam przy sobie truciznę, wiesz? Umrę, gdzie będę chciał i kiedy będę chciał. Bierz kocioł.

Dżauri był wyczerpany do ostateczności i gorszy jeszcze tego dnia niż zwykle w swojej roli błazna. Gdyby miał zupełną pewność, a nie tylko prawie pewność, że z jego planów nic ostatecznie nie wyjdzie, toby się zaraz, już tutaj, położył i zasnął, i niechby go w tym śnie zabił czy sam Ungana, czy potem najeźdźcy. Ale wciąż jeszcze sądził, że w ostatniej chwili może mu się uda choćby siłą zaciągnąć Imperatora na Plac Wschodni i na czekającą tam łódź. Znajdowali się tak niedaleko, zaledwie o kilka godzin drogi. Ungana, jak było widać z przygotowań, także przewidział, że atak pójdzie ławą od zachodu, od Daweny: cóż prostszego, niż cofać się ku Ulladu i ku Placowi? Ungana sam liczy się najwyraźniej z taką możliwością, choćby tylko po to, żeby jego, Dżauriego, do ostatka jeszcze dręczyć nadzieją, której ostatecznie spełnić nie myśli. Ale może uda się ją spełnić wbrew niemu?

Najgorsze to, że Imperatorowi nawet ataki szaleństwa już przeszły: pozostała tylko drwina, zimna, czasem umyślnie gruba i prostacka, czasem chłopięca, koleżeńska, niemal miła, ale zawsze i tylko drwina. Ze wszystkiego na równi: z Północy i z Południa, z tych, co zostali, i z tych, co uciekli. Dżauri stokroć by wolał mieć do czynienia z tym szaleńcem jeszcze sprzed trzech miesięcy, który miał w sobie przynajmniej coś zrozumiałego. Oszałeć mogła w pewnych warunkach każda istota myśląca; ale tak... tak podeptać i podrzeć wszystko, tak sercem umrzeć za życia?

Może źle zrobił, że go w szaleństwie ratował. Może należało już wtedy, pierwszego dnia, porwać na ręce tę obezwładnioną gniewem kukłę i zatkać jej usta, i zanieść ją na statek? Teraz, nawet jeżeli w końcu tak właśnie zrobi, zawiezie już w Góry coś, co być może nigdy nie zawróci, nie ożyje. Nie dość miał przedtem litości.

I znów, jak pierwszego dnia, śmiech Imperatora wyrwał do z zadumy.

– Widzę, że ledwo stoisz... Siadaj. Co mi tam, mogę raz w życiu i błazna gościć przy stole. Siadaj i jedz, ja już mam dość, twoja kolej. Jadłeś kiedy w życiu podobne paskudztwo? Ta zupa jest całkiem jak moje Imperium, dlatego musisz jeść ją ze mną. Niby wszystko w niej jest, i więcej nawet, niż potrzeba, a nie trzyma się kupy i nie pasuje jedno do drugiego. Poza tym te kraby były prawdopodobnie nieświeże, ale to już nie ma znaczenia wobec bogactwa innych przypraw. Nie wylejemy reszty, niech zostanie dla mego następcy. Skończyłeś? Chodź. Na parę godzin sił nam po niej powinno wystarczyć.

Kulejąc, poszedł znowu na dół. Dżauri dopiero teraz spostrzegł, że Imperator ciągnie za sobą prawą nogę, której stopa wyraźnie jest krzywa. Starannie też trzyma się poręczy; chwilami staje i łapie oddech jakby z bólem. Ile ma lat? Przecież nie więcej niż najwyżej sześćdziesiąt? Megnici nie starzeją się aż tak szybko, ten jeden sam siebie od środka wypalił.

Może ten właśnie widok przyśpieszył ostateczną decyzję Dżauriego.

Imperator tymczasem wszedł na podwórze, gdzie wokół ognisk siedzieli sentyjscy żołnierze. Na jego widok zerwali się na nogi i stanęli w szyku.

– Zdrowo, chłopcy!

– Zdrowia ci życzymy, Najmoźniejszy...

– Skutecznie, skutecznie... No co? Gotowi przygrzać małpiszonom?

– Gotowi, Najmoźniejszy! – krzyknęli dosyć nieskładnie.

– No to doskonale. Generał Samoru wróci tu za parę godzin i wyda rozkazy. Tymczasem sobie jeszcze odpocznijcie... I żeby mi każdy, zanim umrze, miał co najmniej dziesięć małp zakarbowanych. Jeden Weha powinien dać radę naraz tylu, cóż dopiero po kolei. Niech wiedzą! Co? Ja będę na to patrzył z wieży, pamiętajcie. No, pięknie. Idziemy na górę, Dżauri.

Weszli znów do sklepionego krużganka. Imperator skierował się ku schodom, ale Dżauri dogonił go i schwycił za ramię.

– Nie – powiedział szybko. – Teraz idziesz ze mną.

– Ach – rzekł Imperator – jesteś silniejszy, wiem. Ale jeżeli ja nie zechcę iść?

Zamiast odpowiedzi Dżauri chwycił go na rękę. Rosły Dżugid w pełni sił może bez kłopotu podnieść Megnitę, a Ungana nawet za młodu nie był wysoki ani tęgi. Teraz ważył w ramionach Dżauriego niewiele więcej niż dziecko.

– Ale ja się zabezpieczyłem... – westchnął jeszcze.

– Gdzie masz tę truciznę?

– Będziesz tracił czas na szukanie?

– Nie: będę cię tak trzymał, żebyś nie mógł podnieść rąk do twarzy.

– To nawet bardzo miło z twojej strony – rzekł Imperator tonem nieśmiałego dziecka – tylko nie ściskaj za mocno, bo ja mam dwa zębra złamane. Dokąd chcesz iść?

– Na Plac Wschodni. Tam czeka łódź.

– Aha.

I już nic więcej nie mówił, tylko oparł głowę na ramieniu Dżauriego i pozwolił się nieść tak spokojnie, jakby zasnął. Dżauri przeszedł przez bramę i mozaikowy dziedziniec; zdążył już poznać tę część Pałacu i wiedział, jak iść przez kolejne podwórze, ogrody i krużganki, by kierować się prosto na wschód, dawną linią Drogi Ora. Ilekroć miał nad sobą niebo, widział na nim błyski sygnalizacji świetlnej, szalejącej nad pustymi gmachami Wyspy niemal jak zorza polarna. Pomagało to nieco, bo noc była bezgwiezdna, a lamp, które niegdyś przez całą noc płonęły po wszystkich przejściach i dziedzińcach, nikt już oczywiście tego wieczoru nie zapalił.

Nagle gdzieś za nimi, daleko, rozległ się wrzask: przygłuszony przez ogromną odległość, ale wyraźny, widać z tysięcy gardzieli wydany. Więc jednak wpadli do Daweny nocą, pomyślał Dżauri. Nawet jeżeli będą iść ostrożnie, wietrząc zasadzkę, rano będą już pod Ked'Eszun: dobrze, zem

dłużej nie czekał.

Wrzask powtórzył się i odtąd rozlegał się co chwila w nieregularnych odstępach. Dżauri chciał przyspieszyć kroku, ale właśnie wtedy pogasły wszystkie światła: to sygnalizujący żołnierze, widząc, że ich podstęp się wydał, zalali ognie i uciekli z wież, prawdopodobnie chcąc się na czas przyłączyć do swoich. W dodatku Imperator okazał się cięższy, niż początkowo się zdawało, bo nawet po równych, odkrytych przestrzeniach iść było coraz trudniej. Dżauri po dwóch godzinach tej drogi zaczął wątpić, czy zdoła dojść.

Powitał też jak wybawienie bramę szerokiego krużganka, którym miał już iść dalej aż do samego końca. Było stąd jeszcze kilka mil do Placu, ale przynajmniej szło się cały czas wzdłuż ściany, o którą można się było coraz to oprzeć na chwilę, i już nie było trzeba szukać w mroku dalszej drogi. Ten krużganek prowadził prosto do mieszkań niewolników na wschodnim krańcu Wyspy, a że wobec tego nie musiał być specjalnie ozdobny, wykorzystano do niego stary kamienny bruk Drogi Ora. Szedł więc dokładnie tak jak ona, z zachowaniem nawet wszystkich zakrętów, zresztą nielicznych. Dżauri potknął się zaraz za bramą na wydeptanej, nierównej płycie; oparł się o ścianę. Czuł się coraz gorzej. Ungana, nadal milczący i nieruchomy, ale oddychający spokojnie, ciążył mu strasznie; w dodatku Dżaurim zaczęły trząść dreszcze i coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Pomyślał, że to ostatni raz idzie tą drogą i że płaci w ten sposób za pierwszy: za ten dzień, kiedy podając się bluźnierczo za Pana Południa zwiódł Lud Wyspy i zapoczątkował to wszystko, co teraz się właśnie kończy. I jeszcze pomyślał, że kiedy dojdzie do Placu, to będzie stąd mógł odejść z przekonaniem, że jak mógł, tak się starał zło odrobić. Powoli, sunąc też przy ścianie, ruszył naprzód.

Wkrótce potem usłyszał przed sobą jakiś dziwny hałas, jak gdyby ktoś krużgankiem pędził konno, budząc oszalałe ze strachu echo. Odsiecz? Sese? Było to zupełnie nieprawdopodobne, ale chwilowo żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło Dżauriemu do głowy, więc ruszył na spotkanie tętentu z siłami wzmocnionymi nadzieją. Już coraz bliżej, już zza dalekiego zakrętu widać światło: jeździec z latarnią, sam jeden, Samoru.

Dżauri znów oparł się o ścianę. Tamten dopadł ich, osadził konia.

– Zdobyli już chyba Dawenę! – krzyknął. Imperator poruszył się, ale nie odpowiedział. Dżauri poprosił cicho:

– Pomóż mi, Samoru. Niech Najmożniejszy wsiądzie na konia, a ty chodź także z nami. Uratujemy go jeszcze.

– Mam inne rozkazy – odrzekł Samoru. Imperator podniósł głowę.

– Postaw mnie, pójdę już sam – powiedział. – Samoru niech jedzie bronić Ked’Eszun. Żegnaj, generale: powodzenia!

Tamten wzniósł jakiś szentyjski okrzyk wojenny i pogalopował.

Ungana rzekł:

– Chodźmy...

I poszli. Dżauri trzymał Imperatora, obejmując go za ramiona, nie tyle po to, żeby zapobiec zażyciu trucizny, o której już zapomniał, ile żeby go podtrzymywać, bo Ungana nie tylko kulał, ale najwyraźniej cierpiał także na zawroty głowy. Posuwali się wolno i niepewnie jak dwaj pijani. Świt już był, a oni jeszcze nie doszli; okrzyki Galgal-pa'asz brzmiały za nimi z zachodniej połaci Wyspy coraz silniejsze.

Wreszcie zrobiło się jasno i wtedy Dżauri zorientował się, gdzie są: dobrze już za miejscem, gdzie dawniej leżało Ulladu, tu niegdyś droga Ora szła przez brzozowy gaj. Jak on pamiętał ten gaj... Nagle Imperator potknął się i o mało nie pociągnął go za sobą; po krótkiej szamotaninie obaj bez tchu zatoczyli się na ścianę.

– To nic – powiedział Dżauri – to już blisko. Jeden zakręt tylko. – Objął znowu tamtego i poprowadził, ale nie mógł już milczeć dłużej: mówił mu, jaką przygotował łódź i kim jest Feinu, który ją przyprowadził, i jak wszyscy oni, wraz z tymi, którzy są na Placu, wsiądą do niej i popłyną na wschód, i przejdą przez ziemie Sesego, i dojdą w Góry, i tam odpoczną od wszelkiej męki, w zupełnym uciszeniu, nie mając już władzy nad nikim ani żalu do nikogo, a tylko rosnącą wdzięczność za wyzwolenie, należną Temu, którego może nigdy nie zobaczą, ale który otworzył im drogę ucieczki. Zanim wrogie galery otoczą porty, oni w ostatniej chwili wymkną się jeszcze we mgle, która dziś znów otula Wyspę, tak jak w tamtym strasznym dniu, kiedy się wszystko zaczęło...

Drżeli obaj coraz bardziej w tej mgle. Ungana milczał. Dopiero kiedy doszli do miejsca, z którego brama Placu powinna już być widoczna, szepnął:

– Mówiłem ci, że jesteś silniejszy. Jak stary Tagun Imanu: póki on żył, nie mogłem niczego zaczynać...

Dżauri nie odpowiedział: szukał już wzrokiem zbawczej bramy. A jej nie było! Na końcu drogi ściana poprzecznego krużganka, pokryta białym tynkiem, była gładka, jak gdyby nigdy nie miała w sobie żadnych drzwi. Dowlekli się aż do niej: żadnych.

– Zabłądziłem... – jęknął Dżauri. – Gdzie my jesteśmy?

– Chodź tu, na prawo... – szepnął Imperator, wskazując na odkryte podcienia, przez które schodziło się do małego wirydarza. Nie było tam drzew ani kwiatów, nic oprócz trawy; pośrodku wciąż jeszcze biła mała fontanna, z której niegdyś pili niewolnicy. Tuż obok stopni ziemia była świeżo rozkopana: obok dwóch jam piaszczystych leżały dwa ogromne, nierówne bloki białego kamienia.

– Odpocznijemy – rzekł Imperator i usiadł na jednym z kamieni. Dżauri zatoczył się i padł na ziemię obok.

– Gdzie my jesteśmy? – powtórzył.

Imperator szepnął załośnie:

– Czyż ci nie mówiłem, że musiałem się zabezpieczyć? Na wszelkie możliwe sposoby... Bo jesteś silniejszy ode mnie, zobaczyłem to zaraz, gdyś przyjechał. Byłbyś mnie jeszcze uratował i ja bym, jak głupiec, pozwolił... Musiałem się zabezpieczyć. Nie ma już ani bramy, ani żeglarza, ani łodzi. Twoi przyjaciele na Placu żyją jeszcze, bo Szentu nie ośmielili się ich zabić, nawet na mój rozkaz... zobaczymy, co zrobią Galgal-pa'asz. A raczej już nie zobaczymy. Mówiłem ci...

– Coś ty zrobił? – zapytał Dżauri, unosząc głowę.

– Tę truciznę... wiesz? Nie byłbyś jej przy mnie znalazł: wsypałem całą do kotła. Tyś się bardziej zmęczył w drodze, więc i odejdiesz pierwszy. Ale i ja zaraz, zaraz...

Dżauri opuścił głowę na ziemię, po chwili jednak podniósł ją znowu. Uśmiechał się.

– Ale doszedłem – rzekł. – Do końca. To po to było...

– Czekaj no! – zawołał Imperator. – Tyś to przecież zrobił dla mnie!

A Dżauri szepnął jeszcze tylko:

– Jak tu ciepło...

I skonał.

Ungana próbował zerwać się z kamienia, ale już nie mógł. Gorączkowo, coraz bardziej drętwiejącymi palcami szukał czegoś w zanadrzu, wreszcie znalazł: był to mały rożek. Trzeba go jeszcze było przytknąć do ust: długa praca! Przytknął jednak w końcu i zdołał wydobyć jaki taki dźwięk. Zza kolumn otaczających wirydarz wyszło dziesięciu Szentów.

– Najmożniejszy...

– Złóżcie go w tamtym dole, od strony Placu – rozkazał, dla pewności pokazując także i palcem. – Dobrze. Teraz połóżcie kamień.

Położyli, stanęli, czekali dalszych rozkazów.

– A teraz weźcie mnie na ręce, bo sam już się ruszyć nie mogę... i złóżcie w tym drugim dole.

Spojrzeli po sobie, niepewni, czy się nie przestyszeli.

– No, już! Na co czekacie?

Więc spełnili także i ten rozkaz i pomyśleli, że Imperator Połowy Świata, położony w piaszczystym dołku, przypomina tylko małą lalkę w haftowanej sukience.

– A teraz połóżcie kamień. I idźcie! Idźcie małpy zabijać! Szybko!

Położyli i uciekli.



Rozdział szesnasty

Drugie Imperium

Inutu rzeczywiście spodziewał się większego oporu, a już zupełnie się nie spodziewał, że Wyspę zastanie właściwie pustą. Zwiadowca jednak (nawiasem mówiąc, jedyny oprócz samego księcia nieGalgali w całej flocie) upewnił go już wieczorem, że poza małym garnizonem na Ked'Eszun i tymi kilkunastu feineńskimi łodziami, z których ostatnią właśnie zatopiono, nie było i nie ma nikogo, kto by się ośmielił stawić mu opór zbrojny. Inutu jeszcze się wahał, jeszcze się naradzał z admirałem Weh Teszem i z nieodstępnym Delu Chwanem; ostatecznie przecież przez szal bojowy tych kilkuset Fingajów stracił w sumie pięć galer z całą ich załogą. Wreszcie zgodził się, by o północy przypuszczono atak na Dawenę.

Ten niegdyś mały port rybacki w okolicy Placu Zachodniego był za czasów Imperium siedzibą wszystkich urzędów, które miały coś do czynienia z handlem: pieniężnym czy wymiennym, wewnątrz czy poza Imperium. Gmachy były tam wielkie i tak luksusowo urządzone, że od lat już po cichu nazywano to miejsce nie Dawena („Dawiehena”, port zachodni), ale Kabena, co znaczyło po prostu „łapówka”. Teraz stały zupełnie opuszczone, ale nadal błyszcząły złotem i widać było, że pełne są wspaniałych łupów, czekających tylko na zdobywców. Natomiast na głównym dziedzińcu siedziało, rząd za rządem, około trzech i pół tysiąca nieruchomych postaci: to niewolnicy, którym osoba imperatora była całkowicie obojętna, oczekiwali w ciszy rozkazów nowego władcy.

Nie drgnęli nawet, gdy Galgal-pa'asz z okropnym wrzaskiem wdarli się na niebronione przez nikogo nadbrzeże i rozlali się po gmachach i placach, wydając coraz dziksze okrzyki dla dodania sobie ochoty do bitwy i rabunku. Nie drgnęli, gdy pierwsi żołdacy z pochodniami

wpadli na dziedziniec. A taka była moc ich bierności, że Galgal-pa'asz zatrzymali się zdumieni, widząc te ciche szeregi, z których ostatnie ledwo majaczyły gdzieś daleko w ciemności i mgłę. Że zaś małpi lud, póki go opór wroga nie rozjuszył, skłonniejszy był zawsze do rabowania niż do walki, więc i ci, którzy pierwsi zobaczyli siedzącą gromadę, pomyśleli sobie od razu „Własność!”, nie zaś „Nieprzyjacieli!”. I rzucili się ciągnąć każdy swego, ale w parę chwil potem znalazł się przypadkowo na placu oficer dowodzący atakiem; ten zorientował się natychmiast w sytuacji i kazał odtrąbić, że wszyscy niewolnicy na Wyspie są własnością Imperatora Inutu i są poddani jego (oficera) osobistemu nadzorowi. Spodziewali się bowiem słusznie, że w ten sposób przywłaszczy sobie większą ich liczbę, niżby to mógł zrobić przy niekontrolowanym rabunku. Zarazem jednak oznaczało to dla samych niewolników pewność życia, gdyż Imperator na pewno miał ich czym wyżywić, poszczególni zaś żołnierze mogli nie mieć. I tak w tym jednym punkcie zawiodła zamierzona hekatomba Ungany, choć po prawdzie nie wiadomo, co lepsze: szybka śmierć czy niewola w rękach Galgal-pa'asz. Natomiast garnizon szentyjski na Ked'Eszun, po bezprzykładnie żaźartej obronie, został w ciągu następnego dnia w pień wycięty.

I to było wszystko. Nikt nie potrafił powiedzieć nowemu władcy, gdzie podział się stary; od niewolników dowiedział się tylko, że trzech młodych książąt już od wielu miesięcy nikt na Wyspie nie widział na oczy i chodziły słuchy, że ich gdzieś wysłano. Niewątpliwie uciekł tam i sam Ungana; ale ponieważ jego osobista służba przysięgała, że jeszcze wczoraj rano był w Pałacu, musiał uciec w ostatniej chwili. Mając nad ewentualnym pościgiem dzień przewagi, dotrze na pewno do Feinummy bez przeszkód: ale co zrobi dalej? Nie było znaków Sesego na łodziach fingajskich ani pod Sawandu, ani pod samą Wyspą. Czy Sese usiłuje zachować neutralność? A jeżeli tak, to czy zagrożony atakiem z morza będzie się bronił – ma przecież całą swoją flotę – czy też dla świętego spokoju, wytargowawszy jeszcze jakieś ustępstwa, zgodzi się wydać uchodźców nowemu Imperatorowi? Sprawa była tak ważna, że sam Delu Chwan dał się swojemu uczniowi uprosić i jeszcze tego samego wieczoru odpłynął jako jego poseł do Biruro. Na wyspie tymczasem trwało poszukiwanie, obsadzanie – i rabowanie gmachów. Inutu uznał bowiem, że Imperium jest i tak zasobne, a jego samego z dwojga złego bardziej stać na utratę części kosztowności niż na zrażenie sobie małego ludu, od którego posłuchu (czy też łaski, to na jedno wychodziło) zależało obecnie wszystko.

Sala tronowa była jedynym miejscem, którego tknąć nie pozwolił, wiedząc, że to w niej właśnie, chyba w stopniach tronu, ukryte jest wejście do głównego, podziemnego skarbcza. Poza tym chciał tam odbyć uroczystą koronację; czekał z tym tylko na powrót Delu Chwana, którego nieobecność przy takim triumfie ucznia byłaby nie

do pomyślenia. Delu Chwan jednak spóźniał się, a niecierpliwość Inutu rosła. Po nocach, zamiast spać, błędził po Pałacu, powtarzając bezwiednie drogi swego ojca: odbierał raporty straży, pił z oficerami. Którejś nocy, wracając wreszcie do siebie, kazał zatrzymać lektykę u drzwi sali tronowej i wszedł do środka. Był sam. Światła nie potrzebował, bo dawał go dosyć księżyc, zresztą w sali nie było nic prócz szerokiego tronu z kutego złota i ław dla dostojników pod ścianami. Nie było się o co potknąć.

Po puszystym dywanie szło się tak cicho, że oddech lepiej było słycać niż własne kroki. Inutu obejrzał się na drzwi: zamknięte. Posunął się na palcach w stronę podwyższenia: chciał po prostu obejrzeć tron z bliska. Wyżej... wyżej... Pochylił się wreszcie nad rzeźbionym krzesłem, postukał palcem w podstawę: krzesło nie miało nóg, tylko postument szeroki jak skrzynia, pokryty płaskorzeźbami, no ale wewnątrz oczywiście pusty: na pełną bryłę za dużo by złota wyszło. Inutu wyprostował się i nagle usłyszał coś jakby szelest czy chichot.

– Kto tu jest? – krzyknął.

Obejrzał się i zobaczył, że na najniższym stopniu tronu siedzi – jakim cudem dotąd niezauważony? – ów zwiadowca, który badał dla niego Wyspę tuż przed atakiem. Był to bardzo dobry zwiadowca, ale jego fachowa zręczność nie tłumaczyła zupełnie, dlaczego Delu Chwan i Weh Tesz odnoszą się do niego z czymś dziwnie podobnym do maskowanego szacunku, ani nie usprawiedliwiała obecnej bezczelności. Wielki drab w starym, porozpruwanym miejscami kozuchu mógł się przydać na wojnie i tam zasłużyć na sporą nawet nagrodę, a tu, w sali tronowej, wyglądał jak pluskwa na koronacyjnym płaszczu; i w dodatku w takiej chwili!

– Szpiegujesz mnie? – zapytał Inutu z wściekłością. Tamten skrzywił się pogardliwie. Nawet nie wstał.

– Po co? – burknął. – Nie byłeś na Placu Wschodnim.

– Ty śmiesz... ty... Co ty Wiesz o Placu Wschodnim?

– Twój ojciec byłby poszedł. Im bardziej by się bał, tym prędzej by tam poszedł, właśnie dlatego. Ty nawet tego nie potrafisz, co on.

– Straże! – krzyknął Inutu, nie panując już z wściekłości nad sobą. Ale jakoś widocznie głos go zawiódł, bo nikt nie zjawił się na to wołanie. Zwiadowca tymczasem ciągnął:

– Mnie wszystko jedno: ja i tak żadnego narzędzia nie używam długo. Ale do ciebie mam słabość. Coś ci powiem: twój ojciec nie żyje. Chodź ze mną na Plac Wschodni, to ci pokażę grobowiec, w którym on się kazał pochować.

– Łżesz – powiedział Inutu. – Mój ojciec wszędzie by się raczej dał pochować niż tam.

Drab rozłożył ręce.

– No widzisz, nawet nie jesteś dość mądry, żeby mi wierzyć. A ja tym

razem prawdę mówię. Jeszcze drugą ci powiem: twój ojciec przed śmiercią zadbał o to, żebyś i ty nie żył za długo. Lepiej załóż stolicę Imperium w Bukrze i tam się koronuj: to wtedy jeszcze pożyjesz.

– Rozumiem – rzekł Inutu. – Jesteś agentem Sesego. To jemu zależy na tym, żeby Imperator zajął się raczej sprawami zachodnich królestw niż wschodnich... i żeby miał do Dżugne jak najdalej. Straże!

Ale strażę i tym razem nie usłyszały i nie weszły. W dodatku Inutu właśnie w tej chwili przypomniawszy sobie, że tego samego draba widział już kiedyś dawno – gdzie? Kiedy? Śniegi, lawina – także było ciemno – aha! Tak, to na pewno ten sam: przewodnik, który chciał go koniecznie prowadzić przez pole śmierci na Larri, a potem nie dał się pochwycić wartom. Teraz też by się pewnie nie dał, już on to umie. Kim może być, że tak usilnie nastaje na życie Inutu Nile?

– Już raz próbowałeś mnie zgubić... na Górze Ndami – powiedział ksiączę powoli, bo strach go ogarniał. – Czego chcesz teraz?

– Ciebie zgubić? – parsknął tamten. – Nie ciebie: Larri! I byłbym cię przeprowadził, ale się bałeś. Teraz też się boisz wszystkiego dookoła. I to ma być syn Ungany! No, miejże sobie swoją uciechę, ja już do ciebie nie mam nic. Siadaj sobie, siadaj!

Inutu nigdy by nie usiadł na nie swoim jeszcze tronie przy świadku – chociaż oczywiście po to właśnie tam przyszedł, żeby to zrobić na próbę w samotności. Teraz jednak odczuł to jako wyzwanie: czy tamten wyobraża sobie, że on, jutrzejszy Imperator Połowy Świata, będzie się bał czyichś oczu? Że nie sięgnie po to, co i tak już jego, tylko dlatego, że jakiś podejrzany drab jest przy nim? Właśnie zasiądzie tam i właśnie z wysokości tego należnego sobie miejsca rozpatrzy i rozsądzi sprawę tego łotra.

Usiadł. Rozsiadł się. Cóż, że ciemno i pusto? On już widział w marzeniu wspaniałą uroczystość, wszystkie kolory i blaski drogich kamieni, wszystkie hołdy kornie go wielbiących poddanych. Jeżeli zechce, to nawet może okaże łaskę temu...

Nagle uczył ostre ukłucie w łydkę, a zaraz potem okropny ból w całym ciele.

– Straże... – jęknął jeszcze, i jakoś tym razem go usłyszano, bo wpadli i żołnierze, którzy trzymali wartę przed salą, i sentyjscy tragarze, noszący jego lektykę. Salę zastali pustą, tylko na najwyższym stopniu tronu leżał, już martwy, niedoszły Imperator Inutu.

– I nie ma czego żałować – mówił Dir rano do Weh Tesza i Delu Chwana, który właśnie wrócił. – To oczywiście Ungana zamknął Szemiego Ulawe w komorze pod stopniami tronu, a w samej podstawie krzesła wywiercił dziurę. Jeśli Szemi nie drasnął się potem tą samą trucizną, to wyciągnijcie go stamtąd: będzie z niego świetny kiszbarúk. A Imperium przechodzi odtąd na wasz lud. Będzie zapewne trwalsze, skoro dodamy skarby Ungany do potencjału ludnościowego,

którym wy rozporządzacie. Tamto było Imperium po prawdzie niczyje: tylko jakby wstęp do waszego władania nad światem! Co do osoby Imperatora... he? Któryś z was dwóch?

– Władco! – jęknęli obaj razem, rzucając mu się do nóg. Dir podsunął im pod nosy swoje bose, ubłocone stopy.

– Trudny wybór – rzekł. – Każdy z was ma niewątpliwie zalety, których brak drugiemu. Rządźcie na razie obaj, potem zobaczymy. Stolica oczywiście będzie w Bukrze. A tu zburzycie wszystkie te pałace, niech wie cały świat, że nowe Imperium gardzi tym, co po swojemu pobudowały i budują inne ludy. Zaczyna się nowy ład! Cały świat pokryjemy naszą równiutką architekturą. I niech się spróbuje sprzeciwić! To burzenie niech już dzisiaj złączą tutejsi niewolnicy, potem nowych przywieziecie z Feinumu. Na Feinumę ruszycie jutro: niechże i Sese wie, kto światem rządzi, i że dla niezależnych już na nim miejsca nie ma. Jedźcie! Ja tu zostanę i dopilnuję rozbiórki. Potrwa długo, zanim się wszystko zwali; potem zbuduje się równiutkie mury, ale bez dachów, i tutaj będziecie zwozić tych wszystkich, którzy by się gdziekolwiek sprzeciwiali waszym rządóm. Kilku takich już tu jest, gdzieś na wschodnim wybrzeżu Wyspy; zależy mi na tym, żeby nie zginęli, ale żyli jak najdłużej i oglądali wasze Imperium. Wydacie stosowne rozkazy. Wstańcie, Imperatorzy świata!

– Rozkazałeś, Władco – odpowiedzieli obaj, podnosząc się z ziemi, ale Dir już znikł. Więc spojrzeli na siebie, ale nic nie powiedzieli jeden do drugiego: tylko obaj jednocześnie uderzyli sztyletami w leżącą na stole tarczę i obaj jednocześnie kazali zwołać wojsko, i obaj ramię w ramię udali się na wielki dziedziniec przed salą tronową (na samym tronie woleli na wszelki wypadek nie siadać), i obaj, mówiąc jednocześnie te same słowa, ogłosili tam swojej armii początek Imperium Galgal-pa'asz oraz rządy podwójnego Imperatora. I wydali stosowne rozkazy.

Armia zaś wiwatowała na ich cześć, aż pochrypła, a i potem jeszcze też, chociaż to już było mniej efektowne. Zaiste wyprawa ta była godnym początkiem światowładnego Imperium: bić się jak dotąd prawie nie było z kim, za to łupy wzięto w ciągu tygodnia takie, że nawet ostatni ciura nosił na sobie bajeczne bogactwa. Oczekiwano także i po Feinumie podobnych zysków, a ci z oficerów, którzy wiedzieli lepiej, nie odbierali wojsku złudzeń, żeby mu nie odebrać zapału. Toteż następnego rana ci wszyscy – a było tego trzy czwarte przybyłej floty – którzy mieli jechać na Biruro, pchali się na okręty na wyścigi, jeszcze ochryplym szeptem wiwatując; ci zaś, którzy musieli zostać, byli tak wściekli, że trzeba było przeznaczyć stu niewolników na kiszba-harúk, żeby utrzymać garnizon Wyspy w jakim takim ładzie.

I jak to nieraz bywa, wygrali ci właśnie, którzy uważali się za pokrzywdzonych. Z trzydziestu czterech galer wysłanych na Biruro

wróciło zaledwie dziewięć, a i to pokiereszowanych i napełnionych nie łupami, a wrzaskiem rannych marynarzy. W morderczej bitwie stoczonej na pełnym morzu z całą flotą feineńską rozbiły one wprawdzie tę ostatnią w puch, ale i same nie miały już sił do dalszej walki. Miasta ani lądu nie zobaczyli Galgal-pa'asz nawet z daleka. Oczywiście obaj Imperatorzy oskarżali się wzajemnie przed Direm o nieudolność, ale Pan Północy przyjął te skargi obojętnie.

– Potęgę morską Feinu złamaliście ostatecznie – rzekł – bo tam jest taka nędza, że ich już nie stać więcej na budowę floty. A ci, co są na zachodzie, już tutaj nigdy nie wrócą i na wiele pokoleń możecie o nich zapomnieć. Sese wie o tym i drży przed waszym następnym atakiem: bez trudu teraz zawrzecie z nim traktat poddający go wam na tych samych warunkach, co przedtem Unganie. Od was zależy, jak tę umowę ułożyć, żeby wasze wpływy w Feinumie rosły z roku na rok, a nie malały. Kiedy to załatwicie, wracajcie do Bukry: ja tu zostanę. Dałem już znać, żeby tam reszta armii i floty była w pogotowiu; ale więcej kupicie za te skarby po Unganie, niż wywalczycie mieczem. Zresztą myślcie sami!

I znowu zniknął, nie dając im nawet czasu na odpowiedź. Więc pomyśleli sami. Skonfiskowali cały depozyt po tych żołnierzach, którzy zginęli w bitwie, dwie trzecie łupów tych, którzy zostali na Wyspie, i połowę łupów tych, którzy z bitwy żywi wrócili. Łącznie z tym, co już poprzednio z grabieży poszło na skarb Imperatorski i z zawartością podziemnej komory było tego więcej, niż kiedykolwiek oglądali nawet ich przodkowie za legendarnych czasów, kiedy to skarbiec Galgal-pa'asz słynął na całym świecie swym nieopisanym bogactwem. Przez piętnaście lat nieprzerwanie płynęły na Wyspę Stołeczną skarby połowy świata; piętnaście lat to niedużo, a jednak wystarczyło, żeby Ungana ograbił doszczętnie kilkanaście bogatych krain i wszystko, co w nich było cennego, zgromadził tutaj. Dla małego ludu...

A że mały lud bardzo lubił przychodzić na gotowe, więc obaj nowi Imperatorzy chwalili Pana Północy i nabrali ducha. Mimo poniesionej na morzu niemal klęski mieli Imperium w kieszeni. Żaden władca nie zaciągnie nowego wojska za darmo, ani broni nie zdobędzie za darmo, ani żywności dla armii. Żaden władca, który by wypadł z ich łaski, nie utrzyma nawet w ryzach własnego ludu, bo go może nie mieć czym karmić – a już oni zadbają, żeby taki lud takiemu władcy dostarczył kłopotów. Mieli Imperium w kieszeni; nie pod butem jeszcze, ale i to przyjdzie nieuchronnie.

Więc chwalili Pana Północy i rozesłali posłów do wszystkich krain, które wchodziły w skład państwa Ungany, a także i do kilku innych na Wielkim Łądzie, jeszcze niepodbitych. Król Sese miał najbliżej i odpowiedział pierwszy: przyjmował narzucone sobie warunki i obiecywał przyjechać z hołdem do Bukry, gdy tylko wyzdrowieje z ran

otrzymanych podczas bitwy morskiej. To oczywiście odkładało hołd o dobry rok, zważywszy odległość i trudności takiej podróży, ale Imperatorzy nie martwili się zwłoką: owszem, niech Sese przyjrzy się przez ten czas lepiej swej beznadziejnej sytuacji. Tymczasem sami zaczęli pomału zbierać się do podróży; a była już połowa lata i należałoby jechać, żeby móc w Bukrze jeszcze przed zimą przyjąć hołdy tych władców, którzy do niej mieli blisko. A jednak – było im jakoś niesporo.

Wyspa przedstawiała już jedno wielkie morze ruin, bo do burzenia wciągnięto także żołnierzy i robota szła śpiesznie; tu i ówdzie oczyszczono już nawet równe, prostokątne place pod niezbędne uprawy. Ale coraz bardziej szerzyła się pogłoska o jakichś jeszcze nieodnalezionych skarbach, o tajemnych korytarzach i komorach podziemnych pełnych złota i diamentów. Oczywiście żołnierze, którzy by na te komory trafili, mogliby przy tej okazji coś schować do własnej kieszeni, i oczywiście takiej zbrodni należało zapobiec: o znalezieniu się w sytuacji, która by pozwalała jej zapobiec, marzyli wszyscy oficerowie, i oczywiście generałowie osobiście pilnowali oficerów, i oczywiście obaj Imperatorzy nie spuszczała z oka generałów. Jak tu odjeżdżać i zostawiać na łaskę losu takie możliwości?

W dodatku od letniego Przesilenia Pan Północy, zamiast wpaść w lepszy humor (zaczynała się właśnie ta połowa roku, w której, jak twierdził, moc jego rośnie, i w której lubił pokazywać się w królewskich szatach), tym razem robił się właśnie z dnia na dzień coraz groźniejszy nawet dla swoich wtajemniczonych i wiernych poddanych. Gdyby można się było ośmielić porównywać go ze zwykłymi mieszkańcami ziemi, biorąc pretekst do takiej śmiałości z jego zwyczaju zjawiania się im widzialnie, toby go chyba trzeba było porównać do chorego na reumatyzm, który cierpi i traci humor przed zmianą pogody. Bo zaiste żadnych uchwytnych przyczyn nie mógł mieć, aby tak się srożyć! Obaj Imperatorzy, jeden w tajemnicy przed drugim, postanowili jednak wykorzystać te jego gniewy dla przyśpieszenia chwili, w której na tronie zostanie już tylko jeden: ja oczywiście, nie tamten. Mieli więc dużo do roboty naraz i odjeżdżać im było, jak się już rzekło, niesporo.

Aż nadszedł dzień, w którym stawiawszy się na szczycie Din na swoją zwykłą audiencję, zastali Dira tak gniewnego, że obaj razem, jak na komendę, zemdleli ze strachu. Może to zresztą była i sprawka pogody: już od tygodnia nie wiał żaden wiatr ani żadna mgła nie przesłaniała słońca i upał panował taki, jak w ich własnej południowej ojczyźnie. Tylko że nawet tam rzadko bywało aż tak duszno, zwłaszcza dostojnikom, którzy w swoich mieszkaniach mieli wszelkie urządzenia klimatyzacyjne.

Tak więc obaj Imperatorzy zemdleli z upału i strachu, i może właśnie dlatego, straciwszy z oczu to, co się działo widzialnie wokoło, zobaczyli

coś jeszcze straszniejszego. Zobaczyli nadciągającą bezimienną Grozę, straszną, wypełniającą cały świat wokoło, gniotącą i duszącą wszystko po drodze, tak że im się zdawało, jakby im samym coś miażdżyło zebra i pięścią wtlaczało na powrót oddech do piersi. I zobaczyli, jak przed tą bezimienną Grozą, tą Potęgą, której w ogóle być nie powinno, a jednak skądeś się wzięła i jest, ich wielki Władca cofa się i ugina, wściekły i przerażony, jak wilk pustynny zagnany przez myśliwych między skały. Wiedzieli, że będzie walczył, ale nie mogli już pojąć, jak on, nawet on, zdoła się przeciwstawić tej Grozie. Sami zapewne nie znieśliby długo żywi tej świadomości, że ona nadciąga; ale na szczęście omdlenie trwało tylko chwilę, potem uczyli obaj na twarzach orzeźwiający chłód wody i powrócili do zmysłów.

Niestety woda ta nie była deszczem, jak w pierwszej chwili z nadzieją pomyśleli, tylko po prostu to słudzy skrapiali imperatorskie oblicza płynem trzeźwiącym o ostrym zapachu. Pogoda nie zmieniła się w niczym, nie, nawet pogorszyła się jeszcze, bo oto nagle uczyli na twarzach powiew południowego wiatru tak gorący, że cały poprzedni upał wydał się im teraz jak rześki jesienny poranek. Obejrzeni się dookoła: Władcy nie było przy nich, tylko na horyzoncie na północy wstawał ciemny obłok, czoło burzy. Wyciągnęli ku niemu ręce, przyzywając jego nadejścia całą siłą strachu.

Rósł w oczach. Ale rósł i wiatr południowy. Ten nie niósł żadnej chmury: był jak konnica nieprowadząca taboru, jak wojownik, który tarczę i zbroję odrzucił, aby tym szybciej pędzić do ataku. Każdy podmuch był coraz gorętszy, aż przerażony Lud Równikowy, który nawet u siebie nigdy czegoś podobnego nie widział, zaczął kryć się we wszystkie kąty i szczeliny, dające choćby trochę osłony i cienia. Niestety na całej Wyspie nie było już ani jednego dachu, a słońce stało wysoko – chociaż im się właśnie wydawało, że spada im prosto na głowy.

Nie, nie zobaczyli nigdy nad sobą zbawczej chmury. Nie wiedzieli nawet, jak blisko zdołała dojść, zanim ją ostatecznie rozproszył i odegnał pałacy huragan. Leżeli przez kilka godzin każdy tam, gdzie upadł, czekając tylko, kiedy skóra na nich zapłonie. Potem upał zmalął, za to siła wiatru nadal rosła. Około trzeciej po południu Imperatorzy zdołali podczołgać się do najbliższej sterty gruzu i trzymając się jej z całej mocy wszystkimi czterema rękami – inaczej wiatr by ich zdmuchnął w dolinę – rozejrzeć się po niebie.

Chmury północnej nie było już ani śladu i tylko wzburzone morze świadczyło o zaciekłości stoczonej tu walki. Co więcej, Delu Chwan (doświadczeńszy w tej sprawie od Weh Tesza) natychmiast zrozumiał jedno: z tej Wyspy trzeba im umykać. Bez zwłoki takiej nawet, jakiej by wymagało przeniesienie reszty skarbów na galery. To już chodziło nie o skarb, ale o życie. Dir po kolejnej porażce mógł długo zbierać siły do następnej walki: długo, może przez wiele pokoleń istot śmiertelnych.

I na pewno się już nie zatroszczy o losy swych bezużytecznych obecnie narzędzi! Toteż narzędziom tym najzdrowiej było zmykać jak najprędzej do swej ojczyzny. Był tylko problem: jak umknąć, zostawiając na Wyspie Weh Tesza? Takiej okazji do pozbycia się współzawodnika mógł mu już potem długo los nie przynieść.

A Weh Tesh, który oczy miał lepsze, oglądał uważnie horyzont. I zanim Delu Chwan zdążył sobie ułożyć strategię, która miała doprowadzić do ich rozstania, on wskazał ręką na południowy zachód i rzekł:

– Flota. Nieprzyjaciel.



Rozdział siedemnasty

Trzecia fala

Na wschód, ciągle na wschód!
Czasem prosty kierunek nie był możliwy, coś stawało na drodze: wyspa, ląd. Czasem wiatr pchał ich w inną stronę. Tak było na Wielkim Oceanie, kiedy północny huragan zagnał ich daleko poza równik. Cóż z tego? Z każdego miejsca na lądzie i morzu można iść, płynąć, jechać, lecieć – na wschód.

Czasem myśleli, że Tinat prowadzi ich do miejsca, gdzie słońce unosi się znad horyzontu, żeby tam mogli ręką zaczerpnąć trochę z jego blasku. Niechże będzie! Byle na wschód.

Tinat mówiła im jednak coraz więcej i coraz dokładniej o ziemi, którą Pan Hallor – wielu górali słyszało o nim w ojczyźnie – przygotował im tam właśnie, na wschodzie. Niechże będzie i ziemia: byle na wschód, na wschód!

I nawet kiedy zniesieni – jak się rzekło – daleko na południe trafili na cieśninę Kaar między lądem Temi a wyspą Karimba, nie wiedzieli, że już od dawna zbliżają się z powrotem do ojczyzny, a nie oddalają od niej. Skąd mogli wiedzieć? Nikt pośród nich nigdy nawet nie słyszał o geografii. I kiedy w cieśninie Kaar spotkali łodzie feineńskie o znajomym kształcie burt i żagli – jakże różnym od ich własnego! – zdziwili się, ale do głowy im nie przyszła prawda. Ponieważ zaś z drugiej strony pajęczonogim żeglarzom do głowy nie przyszło, że ktoś może płynąć, nie wiedząc dokąd, przeto rozmowa Almuka z Oinim, Starszym uchodźczego Ludu, była równie serdeczna co pełna nieporozumień. Oini wyszedł z niej ze znajomością tych wszystkich mórz, przez które przepłynęli Dzugidowie, a na których on sam pragnął szukać spokojnego miejsca na nową ojczyznę; Almuk zaś wyszedł z niej

nadal nie wiedząc, gdzie się naprawdę znajduje. Co go zresztą niewiele przejmowało: od wytyczania Dżugidom kierunku była Tinat i Głos mówiący do niej.

Ich samych zresztą ten Głos wzywał już także z rosnącą siłą. Było w nim coś znajomego, swojskiego jak śnieg na jodłach, jak smak owsianej kaszy i wiejska piosenka. To coś mówiło: „Pamiętacie mnie przecież!”. Ale zarazem był w nim jakiś ogrom przerażający ich wściekłością, jak nic ich jeszcze nigdy dotąd nie przerażało i mówiący im: „Nie widzieliście mnie nigdy, teraz zobaczycie”. Więc pędzili, żeby zobaczyć tym prędzej. Na wschód, ciągle na wschód!

Potem znowu płynęli długo, nie widząc żadnej ziemi, a gdy ją wreszcie dostrzegli, była na horyzoncie na północy. Zapasy już się kończyły, ale Dżugidom tak było śpieszno, że nikt się nawet nie skrzywił, kiedy Tinat postanowiła, że zbaczać do tej ziemi, cokolwiek to jest, nie będą. I tak opłynęli od południa Wielki Łąd, nie wiedząc o tym wcale. Zaraz potem trafili na południowy kraniec Wielkiego Archipelagu; tam odświeżyli zapasy i byliby pożeglowali dalej na wschód, gdyby nie kolejna interwencja wichury.

Tym razem był to huragan z południa, o takiej mocy, że okrętom Dżugidów nie pozostawało nic innego, jak poddać mu się i pędzić tam, gdzie on zagna. Tinat na dziobie królewskiego statku dniem i nocą śpiewała z radości. Najstarszy syn jej i Almuka, mały Gordo, tańczył wokół matki, a załoga klaskała rytmicznie. Ten wiatr upajał; i nie liczył dni i nocy tego pędu, wiedzieli tylko, że to już, że blisko.

Którejś nocy królowa, stojąc samotnie na pokładzie, wpatrywała się w roziskrzoną, gadającą ciemność. Oszałała woda niosła okręty tak bezpiecznie, jakby była gładza od gwieźdnego oceanu w górze; fale podawały je sobie ze szczytu na szczyt, z piany na pianę. Takiej jazdy nie widzieli dotąd Dżugidowie, a gdyby był z nimi jakiś Feinu, powiedziałby od razu, że i jego lud, choć tak dobrze z żeglugą obznajmiony, żadnych takich wspomnień nie przechowuje także. A jednak załogi dżugidzkie już się do niej w ostatnich dniach przyzwyczały; uznawszy więc, że wszystko w porządku – i wiedząc, że królowa czuwa – spali spokojnie ci wszyscy, którzy nie mieli właśnie nocnej wachty. Tinat była sama. Nuciała cicho:

*Na całej ziemi
nie było doli
jak moja dola.
Na całej ziemi
nie było klęski
jak moja klęska.
Na całej ziemi
nie ma zwycięstwa*

*jak moje zwycięstwo.
Na całej ziemi
nie ma niewoli
jak moja niewola.
Na całej ziemi...*

Urwała. Coś się stało z gwiazdami: jakby któraś z wodnych gór sięgnęła aż do nich i zmyła pióropuszem całą świecą strugę z nieba. Potok świetlistych kropel lunął na statek, a pod jego dotknięciem cały świat kurczył się i malał. Tinat poczuła się pod tym jeszcze przed chwilą ogromnym firmamentem jak świerszcz zamknięty w dłoni dziecka. Już wiedziała: to Głos nadchodził.

Przyszedł, był obok. Mówił:

– Powiedz mi wszystko.

– Panie – szepnęła Tinat – po co? Żal mi go. Tyle czasu powstrzymywałam swoje usta i niczego się nie domyślił: a teraz, kiedy już koniec blisko, po co?

– To nie jest warunek twojego wyzwolenia – odpowiedział Głos na pytanie, którego nie ośmieliła się zadać. – Ale widzisz, tu chodzi o cały ten lud, a nawet i o świat cały. Kiedy na Wyspę Szczęśliwą przybyli Megnici, ich pierwszy władca objął ją w posiadanie w niezmaconej radości i dumie. I już z niego poczęło się zło i rosło przez pokolenia. Jest w waszych Górach zwyczaj, że na fundamenty domu jego właściciel rzuca parę kropel własnej krwi. Tę mądrość musicie sobie teraz przypomnieć.

– Panie – wybuchła – czyż nie dość tego, przez co ja przeszłam? Ja, która nigdy nie chciałam być żoną, zostałam żoną, ja, która nigdy nie chciałam rodzić, rodziłam posłusznie rok po roku, a takie nałożyłam wędzidło swojej twarzy, głosowi, nawet samemu biciu serca, że ten wielki dzieciak do dziś o niczym nie wie! Czyż tego nie dosyć?

Głos na to:

– Na jeden szczęśliwy dom byłoby dosyć, aż nadto. Ale na Wyspę Szczęśliwą nie dosyć.

A Tinat:

– Uważaj, władco, czy inaczej nie będzie za dużo!

– Jak to rozumiesz?

– Bo jemu może serce pęknąć! Bo gdybym tylko odeszła, jak miałam odejść, i zamieszkała pośród twoich sług, bolałby nad moją stratą, ale by się w końcu pocieszył, może by nawet znalazł sobie drugą. Ale jeżeli mu powiem, czym naprawdę był dla mnie przez te wszystkie lata, to taki cios... Władco, władco, ty nigdy nie byłeś matką!

Głos zaśmiał się cicho, ale po chwili odpowiedział poważnie:

– O ile mi wiadomo, i ty także nie jesteś matką Almuka.

– Ale mam dzieci! A odkąd je mam, nikomu, nawet jemu – nawet

jemu!, nie umiałabym zadać bólu, nawet potrzebnego, nawet koniecznego, nawet leczącego!

– Więc?...

– Więc... więc jeśli tego wszystkiego nie dosyć, to pozwól teraz, żebym to ja, matka, dodała także i resztę! Pozwól mi oddać życie, nie doczekać twojego Powrotu, ale jemu zostawić tylko żałobę – bez goryczy!

Głos zaśmiał się znowu.

– Chyba na całym świecie ty jedna znasz mnie tak dobrze – powiedział – żeby stawiać takie żądania. Ty, która od lat jesteś przy mnie tak, że żaden Powrót nic by tu już nie dodał! Chcesz się przekonać?

Już nie jak świerszcz w dłoni dziecka, ale jak ziarnko piasku była i ona, i cały świat przed tą obecnością. A obecność ta była śmiercią i życiem zarazem; jak istota lądowa wrzucona w morze bez dna i powierzchni, ale stwierdzająca ku swemu zdumieniu, że wcale nie umiera, a nawet się tam swobodnie porusza, tak Tinat zalana tą obecnością była w niej jednocześnie jak poza światem i jak u siebie w domu. Każdy oddech mógł przynieść śmierć z nadmiaru radości, ale nie przynosił; żyła nadal, a świat zwykły i świat Obecności przenikały się wzajemnie i były jak dwa głosy razem śpiewające i jak dwa serca bijące zgodnie.

Po prawej ręce niebo już się zaczęło rozjaśniać.

Tego rana Tinat mówiła już Dżugidom jasno o Wyspie pełnej ruin, na której osiadą, wypędziwszy z niej przedtem małpi, zły lud Haldira. I o bliskim o dwa dni drogi ich kraju ojczystym (zupełnie nie rozumieli, skąd on się tam wziął), z którego sprowadzą sobie żony, ale już tam mieszkać nie wrócą. I o sługach Hallora, którzy na nich czekają na Wyspie i pouczą ich, jak mają na niej żyć; albowiem jest to Wyspa Pana Hallora, Wyspa Szczęśliwa, Wyspa Oczekiwania, i to Oczekiwania, które się spełnia. Ponieważ oni sami od lat już byli pełni tego Oczekiwania (jak i kiedy w nich narosło, nie wiedzieli), słuchali jej teraz z zapartym tchem, porzuciwszy zwykle swoje zajęcia żeglarskie – toć fala sama ich niesie – stłoczeni wokół królowej, ale spuszczający oczy, bo jakoś dziwnie mocno świeciło słońce: tam przynajmniej, gdzie ona stała.

I tak mówiła do nich aż do południa, a w południe odwróciła się twarzą do dziobu okrętu i wskazała im palcem na mały ciemny obłok na samym skraju widnokrzęgu.

– Tam!

Obłoku nie dogonili: odeгнаła go przecież – na długo, na wiele pokoleń – ta sama wichura, która ich niosła. Ale po paru jeszcze godzinach pędu zobaczyli Wyspę, a z Wyspy zobaczono ich.

I wtedy właśnie wybuchł otwarty konflikt między Imperatorami. Bo Delu Chwan, widząc nadlatujące statki, puścił się biegiem z góry i krzychał do straży:

– Wszyscy do floty! Do floty!

A Weh Tesz biegł za nim i krzyczał:

– Do broni! Za nasze skarby! Galgal-pa’asz, do broni!

Około godziny trwało nieludzkie zamieszanie. Jedna z galer, nie czekając na dalsze rozkazy, wypłynęła w morze, i to właśnie na południowy zachód, gdzie wkrótce nie pozostawało jej już nic innego, jak samotnie rzucić się na wroga i zatonać. Ta krótka bitwa morska opóźniła nieco lądowanie Dżugidów, ale nie ukróciła chaosu na Wyspie. Całe oddziały małych żołnierzy pędziły w różnych kierunkach, nieraz wpadając na siebie wzajemnie i walcząc ze sobą krwawo o pierwszeństwo przejścia. Jedni biegli tam, gdzie najbezpieczniej i do statków najbliżej, inni tam, gdzie jeszcze leżały niezaladowane skarby, inni wreszcie tam, skąd zbliżał się nieczny wróg, pragnący im te skarby zrabować. Na drodze do portu wschodniego, dawnego Tengy, gdzie stały galery, ogromny tłum wojska skupił się wokół skłóconych Imperatorów, śledząc z coraz mniejszym szacunkiem ich sprzeczkę, a zagradzając im obu drogę do jakiegokolwiek działania. Niektórzy w tylnych szeregach zaczęli nawet pogwizdywać i krzyczeć, jak ci, co zapaśników podjudzają do walki:

– Delu Chwan, Delu Chwan! Brawo, stary! W łeb go!

– Weh Tesz, kopa mu! Niech nie mąduje!

– Fiuu...

Weh Tesz, acz głupszy, do działania okazał się szybszy. Nie dbając już o rozkazy Dira, który najwyraźniej zniknął z Wyspy, chwycił w końcu swą admiralską szpadę i przebił rywala przez serce. Ryk wojska powitał to zwycięstwo. Gdy umilkł, Imperator wrzasnął:

– Chłopcy! Ratować nasze skarby! Udział dla każdego!

Znowu ryk entuzjazmu. Weh Tesz szybko wydał rozkazy. Te a te oddziały utworzą front obrony, te a te zajmą się przenoszeniem reszty skarbów na galery, te a te staną na wszelki wypadek gotowe bronić samych galer. Niestety do Tengy było jeszcze parę godzin pieszej drogi, a w dodatku nie było wiadomo, od której strony nieprzyjaciel uderzy. Gdyby bowiem zatkał wylot długiej i wąskiej zatoki, w której galery stały, trzeba by się pożegnać z całą nadzieją ratunku. Dlaczego i Weh Tesz, i całe jego wojsko było tak pewne konieczności ucieczki, że nawet im nie przyszło do głowy policzyć dokładnie okręty wroga, nikt do dzisiaj nie wie. Może to jeszcze działał – po jego śmierci – strach Delu Chwana?

A Dżugidowie mieli tylko pięć okrętów i ludu zbrojnego też nie tak znów wiele. Zatopiwszy pojedynczą galere, która im tak głupio zagroziła drogę, nie próbowali nawet opływać Wyspy dookoła, badać sytuacji, oskrzydlać nieprzyjaciela. Nie mieli na to sił wystarczających, ani nie było potrzeby, bo ta Wyspa była im przecież i tak wyznaczona. Dopłynawszy późnym popołudniem do jej zachodniego brzegu, wylądowali w Dawenie, gdzie zastali zupełną pustkę. Zaczęli więc na rozkaz Tinat najspokojniej wynosić na ląd broń i sprzęty. Zajęło im to

cały wieczór, a nocą zdumiony małpi lud oglądał z daleka słup ognia nad Daweną. To Dżugidowie palili swe okręty.

Rano poszli przed siebie, prosto na wschód, szeroki potok zbrojnego ludu. Król i królowa razem szli na czele, tylko ich dzieci powierzono specjalnemu oddziałowi straży. Noc dała Weh Teszowi możliwość spokojnego przeprowadzenia wielu akcji, toteż Dżugidowie spotkali pierwszy opór dopiero po linii Janawy. I tu też, pokonawszy ten opór, rozdzielili siły: połowę wojska poprowadziła Tinat prosto na wschód, linią dawnej Drogi Ora, z drugą połową Almuk poszedł na północny wschód, by obchodząc stokami dawny Pagórek Leśny (Medin Eszuddi), zwieńczony ruinami ulubionej sypialni Ungany, uderzyć prosto na Tengi.

Tego manewru jakoś Weh Tesz nie przewidział: on pozostawiał pułapki na drogach, a nie na bezdrożach. Gdyby Almuk poszedł prosto na północ gościńcem zdążającym do tak zwanej Przełęczy między Din a Medin Eszuddi, znalazłby tam nie mniej niż trzy przygotowane starannie zasadzki i obronę tak zajadłą, do jakiej tylko małpi lud był zdolny, gdy chodziło o jego skarby. Tinat jednak kazała królowi przeciąć dzikie zarośla i błota, a potem piąć się po zwałach ruin – cóż to jest dla górali? – i ze szczytu wzniesienia zbadać sytuację. Wbrew przewidywaniom droga okazała się tak łatwa, że już pod wieczór Almuk stanął na wschodnim stoku Medin Eszuddi, u źródeł spływającego stąd w stronę Tengi strumienia. I stamtąd właśnie zobaczył zakończenie załadunku w Tengi i małpich gońców biegnących po drogach na wszystkie strony, zapewne w celu ściągnięcia na statki rozproszonych oddziałów. Kotwice przypuszczalnie zamierzano podnieść nad ranem.

Almukowi nie zależało na zatrzymaniu i zagładzie uciekających. Nic nie wiedział o ich władzy nad światem, o Drugim Imperium. Niechże sobie jadą razem z tym wszystkim, co ich! Zwłaszcza że już w Dawenie Dżugidowie znaleźli ogromne zapasy zboża ledwo napoczęte: tego najwyraźniej Obcy nie cenili aż tak bardzo, żeby zabierać. Natomiast w wielu miejscach, przez które górski Lud przechodził rano, całe szlaki okruchów i śmiecia na drogach świadczyły, że wywożono tędy ogromne ilości nie tylko złota w najróżniejszych formach, ale także i kosztownego budulca, głównie kolorowych marmurów. Almuk nie widział w tym żadnej szkody dla Dżugidów: przeciwnie, im więcej kamienia małpy z Wyspy wywiozą, tym na niej będzie przestronniej. I tak go jeszcze zostanie o wiele za dużo.

Zależało mu jednak na tym, żeby odjazd wrogów możliwie przyspieszyć, a przede wszystkim nie dopuścić do ich pozostania. Na rozkaz króla Dżugidowie przypadli w ruinach aż do zachodu słońca; niedaleko były resztki jakiegoś ogrodu pełnego krzewów i tam zaopatrzyli się każdy w dwie suche gałęzie. Kiedy już było ciemno, zapalili je wszystkie i rozstawili się szeroką ławą, trzymając każdy

swoje pochodnie w rozciągniętych rękach. Na ten widok i na ich krzyk bojowy, z którym bez pośpiechu schodzili ze wzgórza, Weh Tesz, mając przed sobą armię, która wydawała się dwakroć liczniejsza, niż była w rzeczywistości, przeraził się tak, że stracił głowę. Poświęcając tych wszystkich żołnierzy, którzy jeszcze nie zdążyli się zaokrętować, dał natychmiast rozkaz do podniesienia kotwicy. W porcie wybuchła straszliwa wrzawa, bo wiele oddziałów było jeszcze na lądzie; paruset Galgal-pa'asz rzuciło się w pław do odsuwających się już od nadbrzeża statków i poginęło od uderzeń wiosł. Galery sunęły jedna za drugą po spokojnej wodzie zatoki. Nikt w ciemności i popłochu nie zwrócił uwagi na to, że jak na swoje zwykłe możliwości, płyną o wiele za wolno.

Były tak ciężkie! Sztaby złota i srebra, setki płyt marmuru, wory całe drogocennych kamieni, wreszcie mnóstwo broni zrabowanej na Wyspie – to wszystko wielokrotnie przekraczało normalny ciężar ładunku. Sternik miał wrażenie, że ster wiązą chyba jakieś żelazne łańcuchy. Wiosła znajdowały wodę dziwnie blisko, ale też zagarniały ją płasko z niewielkim skutkiem. Niemniej – jakoś pełzli naprzód.

Dotarli wreszcie, nabrawszy już nieco rozpędu, do skał tworzących bramę zatoki. Flagowy okręt Weh Tesza przesunął się między nimi pierwszy i pierwszy dostał w prawą burtę cios szalejącej nadal na pełnym morzu fali.

I pierwszy też zatonął. A za nim wszystkie inne.



Rozdział osiemnasty

Or

Drugie Imperium Tagun ledwo zauważył. Oczywiście wiedział o tym, widział całe oddziały małych żołnierzy burzące ściany lub szukające skarbów, mówił nawet – bo on jeden na Placu znał ich język – ze strażnikami, których wyznaczyli Imperatorowie do pilnowania jeńców. Tylko że to nie było ważne. To nowe Imperium mogło trwać wieki lub dni, ogarnąć cały świat albo nie wyjść poza Wyspę: tak czy inaczej dla nadziei świata nie stanowiło zagrożenia. Pierwsze Imperium wbrew sobie samemu dokonało tylko tego, że na Placu Wschodnim znowu Znicz płonie. Drugie już się przygotowuje (żołnierze mówią otwarcie, na co przeznaczona jest Wyspa) do wydatnego zwiększenia liczby sług Ognia. Cokolwiek zrobi Haldir, posłuży w końcu i tak sprawie Hallora. Prawda tych Słów stawała się coraz oczywistsza.

On sam natomiast i jego los – to była inna sprawa. Tagun był coraz bardziej przekonany, że swoją rolę życiową już spełnił. Przywiózł zza morza Tajemne Słowa i na nowo rozpalił Znicz: to dosyć, żadna śmiertelna istota nie może pragnąć nic więcej, a jeżeli w dodatku taka istota wie dobrze, że dokonała tego wszystkiego nie z własnej woli ani przemyślności, ale tylko niesiona na fali wydarzeń i właściwie przypadkiem, to już tym bardziej nie wygląda za to żadnej nagrody ani dalszych wielkich zleceń. Tagun czuł coraz lepiej, że on i jego rola Syna Południa to dwie rzeczy tak do siebie niepasujące, jak skóra wieloryba do wiewiórki. Wprawdzie po tę rolę i po przywództwo na Placu nie sięgał sam, zostały mu one (jak i całe jego dzieło) narzucone przez bieg wypadków, a nikt z towarzyszy nie zgadzał się uwolnić go od nich: nie miał więc sobie tego przynajmniej do wyrzucenia, że się w tak do niego

niepasującą wielkość z własnej woli próbuje przyodziać. Ale to była mała pociecha. Bo – jeśli się już trzymać porównania wieloryba i wiewiórki, którym Tagun wyrażał kontrast między tym, czym był, a tym, za co mieli go inni – to pozostawał jeszcze drugi kontrast, kontrast między nim a Oczekiwanym, a tu już nawet skóra zdjęta z Wielkiego Łądu i podarowana do noszenia wiewiórcy nie byłaby dość dobrym obrazem sytuacji. Tagun czuł, że nie tylko niczym sobie nie zasłużył na spełnienie Oczekiwanego, ale przeciwnie, po wielekroć dał dowody, że takiego szczęścia niewart. I nie tylko dlatego, że w przeszłości miał sobie to czy tamto (coraz więcej zresztą) do zarzucenia. Także i dlatego, że wciąż, chociaż już tyle się wyjaśniło i takie wielkie spełniły się sprawy, on nadal nie znajdował w sobie dawnej tęsknoty, dawnego żaru. Jakoś się już to wszystko ostatecznie wypaliło albo może w rzeczywistości nie istniało nigdy? Może dawniej tylko wyobrażał sobie, że tęskni i czeka. A naprawdę był pusty i teraz już wiedział o tym coraz lepiej i coraz boleśniej.

Nie była to rozpacz ani zniechęcenie, tylko właśnie ból: ból taki, że nic, co się działo dookoła, nie mogło już go zwiększyć ani zmienić. Zapewne nawet Dir to zauważył i dlatego nie widział potrzeby dodawania mieszkańcom Placu jeszcze jakiejś specjalnej udręki. Byli jakby przesłonięci tym wewnętrznym konaniem Taguna i trudno było odróżnić, patrząc spoza ich grupy, czy to jeden z nich tylko tak cierpi, czy kilku, czy wszyscy. W rzeczywistości jednak przechodził przez to on jeden, inni niczego się nie domyślali. Tagun nie próbował, jak niegdyś przed laty Nulani, zapełniać pustego dzbana czymkolwiek, byleby tylko nie stał pusty. Nie zmienił więc w niczym sposobu życia ani mowy przez wszystkie lata. Mdan powiedziała kiedyś, i to zrozumiał od razu, że nawet ci, którzy nie mogą doczekać, pomimo to czekać mogą. Tak – i więcej: nawet ci, którzy czekać nie umieją, nie chcą, nigdy nie chcieli i nie potrafią zacząć, i cierpią nad tym bardziej niż zdrajca nad swoją zdradą, i byłoby im stokroć lżej i lepiej odejść, zapomnieć, upić się, utonąć – pomimo to, bez nadziei, nawet w pewności klęski, czekać mogą.

Był w tym jakiś rosnący pokój i pewność coraz większa, że tak właśnie jest słusznie i dobrze. Aż wreszcie przyszła ta noc, w której Tagun już ostatecznie przyjął swoją wewnętrzną klęskę i uśmiechnął się do niej, i po raz pierwszy od wielu miesięcy spokojnie z tym uśmiechem zasnął. Noc była duszna i parna, od tygodnia trwały upały jak w Bukrze; w Mandagoriwie mówią, że takie upały wróżą trzęsienie ziemi, a feineńscy żeglarze boją się ich bardziej niż burzy. Tylko na Placu powitano je z radością, bo dzięki nim wyschły w ciągu kilku dni szczapki z wyrzuconego niedawno przez morze sporego drzewa, toteż Znicz był na długi czas zabezpieczony. Właśnie tego wieczoru schowali je pod dach chałupki, którą kiedyś zbudowano tu dla Mdan, a której nawet Galgal-pa'asz nie zaszczycili aż taką uwagą, żeby ją rozwalić. Tym

spokojniej też Tagun zasnął, ostatni z całej gromadki – prócz Memukego, który jak zwykle czuwał nocą przy Zniczu.

On też zbudził Taguna, gdy jeszcze było ciemno, szarpiąc go za ramię coraz mocniej i powtarzając:

– Wstawaj, Synu Południa! Nadchodzi! Nadchodzi!

– Co? Kto?

– Alhoru!

Tagun uśmiechnął się w mroku. Wszystko było możliwe, nawet i to, że Fingaj pierwszy wyczuje bliskość Powrotu; nawet i to, że ten, przed którego dotknięciem on sam przed laty uciekał jak przed ręką Dira, będzie szarpać za ramię syna tej Wyspy, by mu przekazać taką wiadomość. Wszystko było możliwe, ale przecież chyba nie to, żeby on, Tagun, doczekał.

– Cicho, Memuke – szepnął łagodnie – Skąd wiesz? Ja nic nie słyszę.

– Wiatr południowy nadchodzi z niesłychaną mocą. Jest jeszcze daleko – patrz, nawet płomień się nie chwieje! Ale my, żeglarze, wyczuwamy to na odległość. Tylko że takiej mocy, jaka teraz idzie, najstarsi z nas nie pamiętają! Wstawaj, mały...

Jakkolwiek nieprzekonany, Tagun wstał posłusznie i zbudził innych. Usiedli pod Zniczem w ciszy. To już nie był czas nawet na pieśni. Ani tym bardziej na pytanie: czy przyjdzie?

O świcie byli już pewni. Tak niegdyś i Lud Wyspy bez zwoływania gromadził się, by witać Powracającego.

Nieco po wschodzie słońca poczuli na twarzach pierwsze leciutkie tchnienie wiatru: tak lekkie, że Galgal-pa'asz nie zwrócili na nie uwagi. Zatańczyło przez chwilę z płomieniem Znicza i zamarło. Wtedy wstali i zbudowali Brzozę.

Upał rósł, a oni siedzieli w ciszy wokół Ognia, maleńka garstka wychudłych i obdartych istot, ledwo widoczna na samym środku Placu. Było już prawie południe, kiedy wiatr nagle uderzył. Rozmiótł Znicz tak, że w mgnieniu oka nie pozostał na palenisku nawet ślad popiołu; płonące żagiewki poleciały gdzieś, hen, za zwały ruin otaczające Plac. Nie ruszyli się, aby zbudować nowy: nie był już potrzebny.

Patrzyli w morze, w ocierające się ledwo skrzydłem o brzeg, rosnące fale. Pędziły z południa, a im, siedzącym na ziemi, wydawały się wyższe niż wieże. Po płytach Placu ścigały się zielone blaski.

Nie oglądali się na północ i nie widzieli ostatniego szańca Dira: nie musieli widzieć. Rozumieli i bez tego, co się dzieje. Wiatr wzrastał. Przypadli twarzą do ziemi; Derszen szepnął:

– To już nie tylko sam Hallor...

Ten, który nie ma Imienia, wyciągnął rękę, by dać zwycięstwo Oczekiwanemu.

Dopiero pod wieczór cofnęła się ta ręka, dokonawszy dzieła, a oni podnieśli się z ziemi i przeszli na sam brzeg Placu, by być bliżej morza.

Wiatr i fale szalały wciąż z tą samą siłą, głośząc wszelkie inne odgłosy na Wyspie. Nocą ogromna łuna rozjaśniła niebo na zachodzie, ale oni nie wiedzieli o Dżugidach i o ich właśnie płonących okrętach.

Następnego dnia wiatr cichł powoli, tylko nadal burzyło się morze. Po południu zaczęły dolatywać z wnętrza Wyspy hałasy i dźwięki jakby szczęku broni, wrzasków i pieśni bojowych. Powtórzyło się to trzy razy, coraz bliżej; wreszcie wrzawa nieskładna ucichła, a pozostała tylko pieśń, długa i smutna, coraz głośniejsza, bo śpiewana przez nadciągający ku Placowi tłum. Była już noc, gdy doszli; blask ich pochodni wydobywał z mroku czarny, podłużny kształt niesiony na ramionach przez idących przodem. Długie, smukłe postacie w pasiastych płaszczach – Dżugidowie z Gór? Tutaj? Z Zachodu?

Tagun i Derszen wyszli im na spotkanie. Tłum wlewał się powoli na plac. Wyraźnie już brzmiały słowa pieśni:

*... Radość nasza zabrana, kto nam ją odda?
Światło nasze zaćmione, kto je rozpali?
Wsiąkła w ziemię niepowracalnie rozlana woda,
Padło drzewo, by już nie powstać, pod ciosem stali...*

Idący na przedzie przyśpieszył kroku, podszedł do Taguna i Derszena i rzekł:

– Jesteśmy słudzy króla Almuka syna Gordowego. Przybyliśmy objąć tę Wyspę w posiadanie, jak nam polecił Pan Hallor. Gdzie, o Słudzy Ognia, powinniśmy zbudować stos pogrzebowy dla naszej królowej?

– Tutaj właśnie – odpowiedział Tagun – ale ognia nie podkładajcie. Jest bowiem zwyczajem tej Wyspy czekać ze spaleniem ciała przez jedną dobę, a tej nocy jest to ważniejsze niż każdej innej zwykłej nocy.

A Dżugid na to:

– Matka nasza, królowa Tinat, zanim umarła z ran zadanych jej przez lud Haldira (pomściliśmy te rany!) powiedziała nam: Na końcu drogi znajdziecie plac, na którym przebywają Słudzy Ognia. Tam spalicie moje ciało, a cokolwiek by oni mówili, nie będziecie z tym czekać ani godziny, nie będziecie czekać nawet powrotu króla, waszego pana. Tak powiedziała, i tak musimy postąpić.

– Róbcie więc, jak macie nakazane – odrzekł Tagun. – Ustawcie stos na środku Placu, obok tej pustej kolumny. I zgromadźcie się tutaj wszyscy.

Z wolna Plac się zaludniał. Zza tłumu zbrojnych Dżugidów ukazały się gromady Szentów i Feinu: byli to dawni niewolnicy Ungany, których nie zdążył zabić ani zabrać ze sobą małpi lud. Wszyscy oni nieśli już gałęzie lub dźwigali po kilku znalezione po drodze belki cedrowe, pozostałość po dawnych stropach i dachach Imperatorskiego pałacu. Nie upłynęła godzina, a stanął stos tak wielki, jakiego Wyspa nigdy jeszcze

nie widziała. Na nim spoczęło ciało królowej. Pieśń żałobna płynęła ciągle – jak dobrze Derszen pamiętał te niekończące się pieśni obrzędowe górskiego ludu! – i głużyła wszystkie inne dźwięki, płacz dzieci, szum wichury. Wiatr jednak cichł coraz bardziej, tak że koło północy można już było podpalić stos bez obawy, że płomień zostanie zdmuchnięty. Krótco potem nadbiegł król Almuk, do którego jeszcze z drogi wysłano gońców z wiadomością o śmierci i ostatniej woli Tinat. Ta wieść doszła do niego, gdy patrzył na tonące w oddali galery wroga, i zmieniła jego triumf w gorzką żałobę. Płakał więc teraz pod stosem za tą, która mu była przez tyle lat radością, pociechą, natchnieniem.

A wiatr tymczasem zamarł całkiem. Nad ranem, gdy stos się już dopalał i ucichły pieśni, od morza zaczęła napływać gęsta mgła, jakby ręka matczyzna przesuwiała się po czole Wyspy, niosąc spokój, spoczynek, ukojenie. Nikt z obecnych na Placu nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego właściwie umilkli, ale nikt by także nie próbował odezwać się ani słowem. Z wolna szarzała mgła nad nimi i z wolna głowy całego zebranego tłumu zwracały się ku nadbrzeżu, gdzie zza nieruchomej grupy Sług Ognia widać było coraz wyraźniej ciemny skraj uciszonej, też już prawie nieruchomej wody.

Jeszcze słońce nie wzeszło, a On już przybył. Zobaczyli go wszyscy jednocześnie, wchodzącego po stopniach nadbrzeża. Stał przed nimi, poznali go od razu nie tylko ci, z którymi tak długo wędrował przez puszcę, ale i ci nawet, którzy go nigdy w żadnej postaci nie widzieli, ci nawet, którzy o nim nie słyszeli nigdy.

Dotknął lekko palcami schylonej głowy Taguna, a potem uniósł obie ręce w geście radosnego powitania.



Rozdział dziewiętnasty

Dziewięć kamieni

Na Wyspie Szczęśliwej nikt się niczemu za bardzo nie dziwił: na tym, między innymi, polegało szczęście. Stara pieśń, ponoć pochodząca z czasów – może legendarnych – sprzed osiedlenia się Dżugidów na Wyspie, mówiła:

*Nic się nie zdarzy
aż do Powrotu.
Nic się nowego nie zdarzy
aż do Powrotu.
Nic godnego uwagi
aż do Powrotu.*

Nie dziwiono się więc niczemu, nawet rzadkości Powrotów. Może prawdą, a może legendą było podanie, że za życia pierwszego pokolenia Dżugidów na Wyspie Or powracał co roku, a nawet i częściej. Mówiono także, że zjawiał się wtedy nie sam, ale w towarzystwie sługi, niebędącego Dżugidem, niewątpliwie jednak śmiertelnego. Do jakiego by ludu należał ów sługa, ani skąd mu była taka bliskość z Orem, legenda nie powiadała. Pokazywano tylko na Placu Wschodnim jego grób. Pokazywano go, oczywiście, Obcym; sami Dżugidowie znali przecież na pamięć od dziecka wszystkie siedem świętych grobowców otaczających Plac Wschodni i wszystkie z nimi związane legendy.

Obcy bywali różni, więksi i mniejsi. Zjawiali się na Wyspie bez zapowiedzi i znikali bez wytłumaczenia, może dlatego, że ich o motywy postępowania nie pytano. Podobno jeden tylko lud na całym znanym kręgu ziemi nie zjawiał się na Wyspie nigdy – ale jej mieszkańcy nie

wiedzieli nawet, gdzie ten lud mieszka i jak się nazywa. Nigdy też o to nie pytali. Z przybywających jedni handlowali, inni zawijali do portów Wyspy po drodze; jeszcze inni przyjeżdżali – jak powiadali – z pielgrzymką i budowali coś, co w swoich różnych językach określali jako przybytki albo wyżyny, albo święte kręgi. Każdy wiedział, że po jakimś czasie, nie doczekawszy się Powrotu, opuszczą je i odjadą do siebie, gdziekolwiek by to było. Zabierali ze sobą wszyscy niezmiennie po kamyku na pamiątkę – nikt się temu nie sprzeciwiał: kamienia na Wyspie było dość, miejscami całe ogromne zwały, jakby jakieś prastare rumowiska, których kształtu i przeznaczenia nie można już było odczytać. Czarne i różowe, żyłkowane żółto i zielono, gruzy, płyty i skały były tak charakterystyczne dla Wyspy, jak blada zieleń brzoź czy mgła kapiąca kroplami z gałęzi świerków. I tylko wzdłuż Drogi Ora nie było żadnych kamieni oprócz białych, stawianych tam na pamiątkę szczególnie ważnych wydarzeń, które miały miejsce oczywiście podczas Powrotów – a jakżeby inaczej?

Owe grobowce na Placu były też tylko nierównymi blokami białego kamienia, pozbawionymi jakichkolwiek figur, napisów czy znaków. I tylko ustne podanie przekazywane z pokolenia na pokolenie zachowywało pamięć o tych, co pod nimi leżeli. Tak więc pierwszy od morza na południowym krańcu Placu stał właśnie grobowiec owego legendarnego Sługi Ora, zwanego też Synem Południa, o którym zresztą wiedziało się najmniej. Zaraz następny krył kości feineńskiego żeglarza – tak właśnie zawsze przekazywano: feineńskiego żeglarza, chociaż Dżugidowie z lądu, którzy czasem zjawiali się na Wyspie, a znali świat zewnętrzny lepiej niż jej mieszkańcy, odpowiadali zawsze na to ze zdziwieniem, że to chyba pomyłka, bo Fehine czy Feinu są ludem rolniczym, osiadłym na południe od ich własnych siedzib, i zupełnie się nie interesują żegluga. Dżugidowie z Wyspy jednak, dla których stare pieśni i podania zawsze były ciekawsze niż nowe wiadomości, nadal trzymali się uparcie „feineńskiego żeglarza”. Ów żeglarz miał ze wszystkich siedmiu umrzeć ostatni, a swoje uprzywilejowane miejsce w rzędzie nagrobków zawdzięczał ponoć szczególnie bliskiej przyjaźni ze Sługą Ora.

Następna płyta należała do Dżugida i była pęknięta na dwoje nie wiadomo, od jak dawna. Nie zmieniano jej jednak, bo łatwiej było w ten sposób pamiętać legendę o tym Dżugidzie. Miał to być bard i przez długie lata przebywał gdzieś na wygnaniu, z dala od ojczyzny, którą jednak nie była Wyspa Szczęśliwa, tylko zamorskie Góry; tam to właśnie mieszkają Dżugidowie lądowi. Ten bard w końcu odzyskał wolność i odtąd (legenda nie tłumaczy, dlaczego) jego serce było rozdarte między tęsknotę za Wyspą i tęsknotę za Górą. I w końcu umarł w Górach, gdzie dotąd jego pamięć jest sławna jako wielkiego nauczyciela Dżugidów Lądowych; ale pochować się kazał na Wyspie.

Od zachodniej strony placu, między dwoma ramionami zaczynającej się tu Drogi Ora, leży płyta zwana grobowcem zamorskiej księżniczki. Ta miała być przez długie lata jedyną strażniczką Placu, wierną Powrotom i Oczekiwaniu; nie bardzo wiadomo, jak i kiedy to mogło być, może jeszcze przed przybyciem Dżugidów na Wyspę? Podaje się też o niej, że zmarła bardzo młodo, co niezbyt się zgadza z owym strażowaniem „przez długie lata”, ale jedno i drugie jest w zupełności potwierdzone przez całą tradycję tekstu. Nie wiadomo także, do jakiego ludu należała owa księżniczka: takie szczegóły łatwo giną w pamięci Wyspy.

Na skraju północnym, najbliżej drogi, znajduje się grób Megnity, którego nawet imię tradycja zachowała: nazywał się Nuno i był bardem, i to wysokiego stopnia (bo bardowie zamorscy dzielą się na stopnie), ale porzucił wszystko, co posiadał, bogactwa i zaszczyty, aby jako nędzny włóczęga szukać po świecie drogi do Głębi Południa: tak bowiem w jego kraju określano Powroty. Ten grobowiec jest do dziś ulubionym pomnikiem na Wyspie, albowiem jej mieszkańcom wydaje się nieraz, że są zanadto uprzywilejowani w stosunku do wszystkich innych ludów: toteż szczególną czcią i miłością otaczają miejsce spoczynku kogoś, kto tyle musiał porzucić, aby tu trafić – i znaleźć. Podaje się, że i on także spędził na Placu długie lata.

Zaraz dalej pochowany jest inny Megnita, król wielkiej wyspy leżącej daleko na zachodzie. O nim jest legend najwięcej, a wszystkie utrzymane w tonie dość wesołym, czasami nawet rubasznym. Temu królowi – Dżugidowie nazywają go Kanmuk – przypisywane są niezliczone przygody, w których występuje on najczęściej jako wędrowny rycerz, obrońca ubogich i uciśnionych, roznoszący po świecie radość. Czasami legenda przedstawia go jako barda, najrzadziej jako króla – niemniej słowo „król” stoi we wszystkich tekstach przy jego imieniu. Żadna też pieśń ani żadne podanie nie tłumaczy, dlaczego grób jego znajduje się na Wyspie Szczęśliwej, nie zaś w jego własnej ziemi, ani gdziekolwiek indziej na szerokim świecie, ponoć wzdłuż i wszerz przezeń objechanym.

Ostatni kamień po stronie północnej, najbliżej morza, ma być grobem pramatki dynastii gurdyjskiej rządzącej Wyspą; tutaj przychodzi co roku każda królowa w święto Przesilenia złożyć swej wielkiej poprzedniczce uroczyste życzenia: „Szeben ibu mahák Tumerti” – „Obyś doczekała Powrotu”. Legenda mówi bowiem, że czcigodna pramatka Tinat, która jakoby sprowadziła Dżugidów na Wyspę, zmarła tuż przed pierwszym oglądanym przez nich Powrotem. Przy jej nagrobku jest też tradycyjne miejsce pary królewskiej podczas wszystkich uroczystości.

Nie jest oczywiście pewne, na ile wszystkie te legendy opierają się na faktach historycznych, ani czy wszystkie te siedem osób istniało rzeczywiście, a zwłaszcza – żyło jednocześnie. O parę kroków dosłownie

od Placu, ale już przy drodze, leży jeszcze jedna płyta, zwana „grobem Wiernego”. Żadna legenda nie tłumaczy, dlaczego od niepamiętnych czasów istnieje zwyczaj, że król Wyspy w święto Przesilenia przychodzi na ten właśnie grób z tym samym życzeniem, z którym jego żona udaje się na grób pramatki Tinat. Wiadomo tylko, że żaden król Wyspy na pewno tu nie leży; kim zaś był ów „Wierny” i czym sobie na taką pośmiertną cześć zasłużył, nikt już za naszych czasów nie pamięta. „Szeben ibu mahák Tumerti” – szepczą przechodząc Dżugidowie i tylko pilnują się starannie, by to powiedzieć przy pierwszym od Placu kamieniu, nie zaś przy drugim, o krok zaledwie od tamtego oddalonym. Dlaczego? – chyba po prostu dlatego, że pod tym pierwszym na prawo leży ów „Wierny”, pod drugim zaś nie wiadomo, czy w ogóle ktoś leży, czy też jest to zwyczajna płyta kamienna, może pozostałość po jakiejś budowli, nieusunięta stąd tylko dlatego, że na jej białej, wygładzonej powierzchni pięknie grają zielonkawe cienie rosnącej obok starej brzozy.

Był kiedyś ktoś, kto zajął się tajemnicą tej płyty (zwykle najciekawsze jest to, o czym wiemy najmniej) i próbował dojść do jakichś wiadomości o niej, odnaleźć choćby jedną pieśń albo podanie. Był to Dżugid o imieniu Darti, słynny bard i zarazem księżę krwi z dynastii Dżauryjskiej; ten mając w Daggesz dostęp do państwowych archiwów, tam właśnie – a nie na Wyspie – szukał wiadomości. Wiedział bowiem, że istnieje ogromna, a dotąd jeszcze nie całkiem przebadana spuścizna podań, legend i pouczeń, pozostawionych przez owego Nauczyciela Dżugidów, który spoczywa również pod białą płytą na Placu. Znalazł podobno jakieś dawne pieśni o „Wiernym”, zapisane językiem tak starym, że częściowo już tylko zrozumiałe, ale w sprawie dziewiętej płyty jedyną rzeczą, do której doszedł, było związanie z nią imienia Ungana, imienia w żadnych pieśniach niewspominanego. Dalej już się jednak nie posunął i nie zdołał wyjaśnić, czyje to było imię; przypuszczał tylko, że było żeńskie, i że zapewne obok „Wiernego” pochowano po prostu jego żonę. Czy miał rację, czy nie, jedno jest pewne: że pod dziewiątą płytą leży ktoś, kto żadnego śladu po sobie nie pozostawił w historii.



Dramatis personae

Ponad światem

Nienazwany

Or, inaczej Hallor, Alhoru, Jasny Brat, Wiatr Południowy itd.,

Dżugidom znany ostatnio jako bard Łazęga

*Dir, inaczej Haldir lub Aldhiru, Ciemny Brat, Pan Północy, itd.,
znany także w Ut-mut jako Dir-Łowca*

Na Wyspie

Ród Imanu:

Tagun (I), ostatni świadek poprzedniego Przejścia

Dejno, jego brat, przełożony Sług Ognia

Olin i Agwen, dwaj spośród wnuków Taguna

Nulani, córka Agwena, później żona Ungany Nile

Tagun (II), syn Agwena, Sługa Ognia

Ród Nile:

Inu, ojciec i poprzednik Ungany

Ungana, książę Wyspy, potem Imperator Połowy Świata

Hadon, brat Ungany

Ren, pierwsza żona Ungany

Inutu, syn Ungany i Ren

Agwen, Inu i Dejno-Odiri, synowie Ungany i Nulani

Ród Ulawe:

*Zanga, Sługa Ognia, potem doradca Dżauriego, wreszcie przez
krótki czas władca Wyspy*

Omedon, jego brat
Szanem, syn Omedona, dziesiętnik u Zangi, potem dowódca
gwardii Imperatorowej

Ród Manwe:

Meno, stary ogrodnik
Amil, jego żona
Saen, kobieta z okolic Daweny

Z innych rodów:

Kasse Damuru, płatny zbój
Muki, sługa Zangi
Sanu Mé oraz Meigo Ganumi, dawni książęta Wyspy
Timun, postać z pieśni

Dżugidowie

Dźauri Zdobywca, władca Gór, a po podboju także i Równin
Tanmuk VIII, ostatni król Równin
Hagrit, córka Zdobywcy, żona Tanmuka VIII
Dźauri Wierny, syn Tanmuka i Hagrit
Gordo Daleko-Wiodący, syn i następca Zdobywcy
Harka i Nardi, jego młodsi bracia
Kera, żona Gorda Daleko-Wiodącego
Balit, jego najstarsza córka, później żona Dźauriego Wiernego
Kerti, najstarszy syn Dźauriego i Balit
Almuk, syn Gorda
Tinat, żona Almuka
Gordo Szczęśliwy, najstarszy syn Almuka i Tinat
Czuszir, dawny radca na dworze Tanmuka VIII
Derszen, Bard siódmego stopnia
Warru, stary wojownik
Darti, bard (w późniejszych czasach)

Fehine (Feinu, Fingai)

Memuke, syn Keoheki, kupiec
Geha-geha, kucharz okrętowy
Weote, syn Bimi, Hehega, syn Meomego – dawni Starsi Ludu
Fehine
Ahohoi, syn Emomego, Starszy Ludu Fehine
Tegatuga, syn Mumu, tłumacz i agent Ungany, później Starszy
pod Ahohoem
Kei-kei, syn Helilego, kupiec z Daweny, Starszy po Tegatudze
Akogi, syn Takewamy, właściciel łodzi z Tengii
Wahini, syn Keikego, kupiec, przyjaciel Kanuma
Seosete, syn Imy, Starszy gminy feineńskiej w Lhed

Namui, herszt piratów
Waana, pirat
Sese, syn Leoli, wielkorządca (później król) Feinumy
Kalele, syn Kalelego, admirał w służbie Ungany
Tota, syn Oloi, kupiec z Biruro, agent Ungany
Oini, Starszy uchodźców feineńskich

Megnici

Nuno Lagmi, Bard pierwszego stopnia
Damil, jego żona
Ilno i Mei, ich córeczki
Kame, dawny król Tanhidu, założyciel obecnej dynastii
Kanum, król Tanhidu, Bard pierwszego stopnia
Nehi, jego syn i następca
Tetannu Samga, gubernator w Adongo
Wai Gekko, szef policji z Adongo
Ibnu Tun, arcykapłan w Adongo, Bard pierwszego stopnia
Zanhi Tun, jego syn, również Bard pierwszego stopnia
Amudu, właściciel zajazdu
Min, służąca
Wama, król Amramy
Amelinda, jego córka, żona Inutu
Gabi, król Chaonu
Lili, jego córka, żona Inutu
Adun z Gehiny w Chaonie, Bard pierwszego stopnia, później przyjaciel Dżauriego

Tmutowie

Kneh I, król Ut-mut
Mdan, jego córka, pierwsza żona Tanmuka VIII
Ngun, dowódca gwardii
Khu, oficer
Geb i Kri, kupcy
Rha, Bard pierwszego stopnia
Hwa, Bard trzeciego stopnia
Hnuf, mistrz ceremonii
Czuk, urzędnik pałacowy
Kun, goniec
Reh, niegdyś król Ut-mut
Kerg, dawny poeta tmucki

Szentu (Weha)

Tsamonume, syn Tsamonumego, Bard pierwszego stopnia,
później zwolennik Zangi, wreszcie wielkorządca Mandagoriwy
Ambarame, syn Fianarany, król Szentów

Tsaunarana, syn Ambaramego, króla Szentów
Hiradaja, żeglarz
Chiamgarana, oficer, zwolennik Inutu
Samoru, oficer w służbie Ungany
Ninuma, Ahorahina – postacie z pieśni

Galgal-pa'asz
Delu Chwan, mistrz filozofii
Weh Tesz, admirał

Spis treści

Strona tytułowa	3
Strona redakcyjna	4
Spis treści	5
Rozdział pierwszy. Mistrz Delu Chwan	6
Rozdział drugi. Piętno niewoli	15
Rozdział trzeci. Sługa z Wyspy Szczęśliwej	22
Rozdział czwarty. Tajemne słowa	33
Rozdział piąty. W małym kraju	39
Rozdział szósty. Droga do Nahidene	49
Rozdział siódmy. Następcy, piraci i bagno	56
Rozdział ósmy. Powrót nieupragniony	62
Rozdział dziewiąty. Ślady na piasku	69
Rozdział dziesiąty. Duet filozoficzny	79
Rozdział jedenasty. Bitwa pod Sawandu	87
Rozdział dwunasty. Wilki na drodze	95
Rozdział trzynasty. Błazen	105
Rozdział czternasty. Słowa niezapisane	113
Rozdział piętnasty. Druga fala	116
Rozdział szesnasty. Drugie Imperium	123
Rozdział siedemnasty. Trzecia fala	132
Rozdział osiemnasty. Or	139
Rozdział dziewiętnasty. Dziewięć kamieni	144
Dramatis personae	148